

ZESZYT SIÓDMY I ÓSMY. Rocznik V. — 1872.

BOŻA OPIEKA.

POWIEŚĆ OSNUTA NA PODANIACH XVIII. WIEKU.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(CIĄG DALSZY)

W istocie Materski cały ten dzień boży na wąs motał, nikt mu dogodzić nie mógł, chłopców niemiłosiernie tłukł... żonę nielitościwie łajał, do gości się nawet czepiał i sam z sobą się kłócił; ku wieczorowi spotęgowany zły humor doszedł do najwyższego stopnia, czekał tylko na Janka, ażeby go wylać w całości na niego. Janek powoli rozmarzony idąc, opóźnił się wielce; już jedna połowa drzwi była przymknięta, co gościom przypominać miało, że czas się było wynosić, gdy chłopak ukazał się w progu.

— Ha no! przecież! przecie! — zawołał Materski — myślałem, że jaśnie wielmożny panicz już nie raczysz zawitać w ubogie progi moje! No cóż? jakże podróż się udała?

Janek wesół odparł: — A! bardzo szczęśliwie.

— To źle, że trochę za długo trwała — rzekł Materski. — Mówiłem ci, żebyś mi był na godzinę szóstą, a oto bije ósma u P. Maryi. Więc cóż?

— Bardzo przepraszam pana...

— I myślisz, że już po wszystkiem?

— A żem się opóźnił, nie moja wina — dodał Janek. —

— Czyjaż? moja zapewne? hę? — spytał kupiec.

— Nie, alem miał przypadek.

— Cóż to tam? Konie ponosiły, czy but, z pozwoleniem, trzasł? — Rozśmiał się złośliwie Materski.

— Nie, miałem spotkanie.

— Ha? z królem JMością, czy z ks. Prymasem?

— Z panią z pod Niepołomic... Janek dodał nazwisko, Materski się zdumiał, ale zaraz krzyknął:

— A nie łżyj że! a nie łżyj!

— Święta prawda...

— I cóż? co? gawędziłeś z nią?

— A! święta pani! — przerwał Janek — a dobra pani! a złota dobrodziejka moja...

— Cóż to tam? dała ci tynfa?

Janek się uśmiechnął, dobył chustkę, rozwiązał węzły i odkrył złoto swoje...

Materskiemu klucze z rąk wypadły... a oczy o mało z powiek nie wyskoczyły... Słów mu zabrakło.

— Widzi pan — rzekł Janek... Rusini mówią: Nad sierotą Bóg z kaletą...

Kupiec stał niemy. Gniew go odszedł zupełnie, ogarnęła jakaś niepewność i trwoga.

— Gadajże jak to było? Bajka jakaś czy kłamstwo...

Janek po swojemu opowiadać zaczął...

Osłupiał słuchając Materski...

— Daj pieniądze, trzeba je przeliczyć.

Siedli tedy na ławie, a Janek dobywał po troszę i składał w kupki dziesiątkami. Gdy pierwsze sto odliczyli, i zgarnął je na bok, kupiec nie mógł już słowa przemówić, a zaczęli rachować drugie sto... Janek znowu odłożył

je na bok. Cóż? jeszcze tam są? — zapytał kupiec — zajrzał w czapkę: leżało na dnie sporo.

— A! niechże cię kaci porwą! niech cię porwą! — chwytając się za głowę począł stary... toś się pod jakąś gwiazdą urodził, żeby na gościńcu pieniądze zbierać... a no licz...

Liczyli jeszcze i wyliczyli znowu sto... ale na dnie już pozostało tylko sztuk sześć... Janek zebrał swój skarb, zawiązał go znowu w chustkę... i milczał.

— To jeszcze nie wszystko — rzekł.

— A cóż masz więcej? jeszcze masz więcej? — krzyknął Materski...

Janek odsłonił suknię i na piersi pokazał łańcuch złoty... zdjął go z poszanowaniem całując relikwie... i podał kupcowi... który osłupiały odważył tylko na dłoni... Biorąc na jednę rękę dukaty, na drugą szczerozłoty, ciężki ów pancerzowy łańcuch, przekonać się było łatwo, że ów sam więcej ważył niż wszystkie razem pieniądze...

Kupiec westchnął, aksamitną czapeczkę nakształt jarmułki, którą nosił zawsze na głowie obawiając się zawiania, zdjął i pokłonił się z szyderską rewerencyą Jankowi.

— No, teraz tyś pan, a że nie lubisz łotrować, bylebyś się nie popsuł, byle cię źli ludzie nie odarli, byleś miał rozum i byle ci Bóg jak dotąd szczęścił... no... to ci świat otwarty. Ja... po ojcu wziąłem handel, ale widziałem wielu takich, co od czerwonego złotego poczynając dorabiali się krociów... Gdyby ci tylko ta głupia mania nauki odeszła... a ochota robić grosiwo napadła... pójdziesz daleko... Ale masz Janku lat ledwie piętnaście, nastają gorące życia godziny, pokusy straszne... jesteś bez opieki, grosz się uśmiecha wszystkiem, co dać może... Jedno waszeci powiem... niech Bóg szczęści... niech Bóg szczęści...

Janek starego w rękę pocałował...

— Dobry panie — rzekł — chociećcie mnie połajali nieraz, alež ja dobre wasze serce dla mnie cenię, szanuję i nigdy o niem nie zapomnę... Bóg niech wam płaci za sierotę!..

Janek całą noc oka zmrużyć nie mógł, modlił się, myślał, układał plany... Koniec końcem tyle miał teraz kłopotu z pieniądzmi, ile wprzód z powodu, że ich brakło. Przychodziła nareszcie obawa rabusia i złodzieja, rzezimieszków i oszustów, pieniędzy tak znacznych trzymać przy sobie nie było podobna, a oddać je lada komu — strach. Materski był uczciwy człowiek, ale nie wytrzymałby i zaraz wina z Węgier sprowadzał, a potem kapaniną odbierał... Bramiński zacny także, wielce goły był i nie zamczysto koło niego. Przychodziła tedy na myśl pani Salomonowa... ale z tem musiał Janek czekać do jutra...

Zrana pożegnawszy na dobre Materskich, posunął się chłopak do niej ze swoim skarbem...

Tymczasem, gdy go już nie było, nadciągnął Brzeski na swoję lampeczkę, a jak zwykł zawsze naprzód o Janka się dowiadywać, tak i tym razem zapytał... Gdzież mój chłopiec?

— E! już go pan tu nie zobaczysz — odparł Materski.

— A cóż się z nim stało? wygnaliście go, czy co?

— Nie, sam poszedł, anim go myślał strzymywać. Chłopcu się szczególniejsze trafiło szczęście...

— Cóż takiego? co?

— Wczoraj chodził do przybranej matki na Prądnik... a no, wracając spotkał panią... z pod Niepołomic...

Brzeski zbladł i za stół się pochwycił.

— Nie wiem, jak to tam było, czy jej ten Janek kogo przypomniał, czy się rozrzewniła jego sieroctwem... Dosyć że wyściskała, ucałowała, pobłogosławiła, dała mu łańcuch złoty z relikwiarzem, ważący ze trzysta dukatów, i dodatku gotowizną na edukacyą trzysta sześć obrączkowych...

Kupiec spojrzał na stojącego przed sobą Brzeskiego i aż się przestraszył. Kuternoga był trupio biały, wargi mu się trzęsły, oczy miał w słup stojące...

— Co panu takiego?

— Zgrzałem się czy coś... mdło mi...

Skoczył chłopak po wodę, Brzeski obalił się na ławę... Nie przyszło ani na myśl kupcowi, ażeby opowiadanie jego miało być przyczyną tak wielkiego wrażenia. Gość spuścił głowę i dumał. Przyniesiono mu wodę, podano lampkę miodu, wychylił jedno i drugie po kolei, i jak wrosły siedział na ławie nieruchomy. Kiedy niekiedy potoczył wzrokiem dokoła... i z piersi wyrywało mu się westchnienie.

W całym handlu ile było osób, z kolei wszystkim przygodę Janka poszedł opowiadać Materski... tak że o tem tylko gwarzono przy wszystkich stolikach, niektórzy już wprzódy z innego jakiegoś źródła o przygodzie tej wiedzieli, bo głośną była w mieście.

— Wszystko to — rzekł szlachcic ze wsi, siedzący opodal — bardzo się łatwo tłumaczy kto zna antecedencye familijne... a pono by nam najlepiej je opowiedzieć potrafił oto tu przytomny pan Brzeski, quorum pars magna fuit.

— Przepraszam pana Wojskiego — odezwał się pot ocierając ze skroni zagadnięty — ja przybyłem w dwór Podskarbica już poźniej nieco... gdy się miał żenić...

— Jako żywo — przerwał Wojski — byłeś asindziej jeszcze u wdowej... musiałeś znać i widzieć to dziecię, które tak nagle zmarło, a po którem ona utulić się nie może... Otóż ów synaczek podobny być miał kubek w kubek do nieboszczyka ojca, a chłopak wczoraj spotkany i do niego i do Wojewody... Cóż dziwnego, że rozżalona kobieta, której teraz na świecie tak bardzo dobrze pono nie jest... wspomnienie szczęśliwszych dni tak magnifice powitała.

— Przepraszam pana Wojskiego — powstając z ławy przerwał Brzeski — jestem oficyalistą Podskarbica, męża pani tej, i nie mogę tego ścierpieć, aby go niesłusznie obwiniano... Pani naszej chyba ptasiego mleka w domu braknie, a że dziecię umarło.. któż winien! Boże to zrządzenie.

Wojski uśmiechnął się.

— Albo Boże — rzekł — albo czyje inne.. Hej! wiedzą sąsiedzi jak kto leży i jak siedzi... Dziecko nie na rękę było... Różnie o tem piszą i mówią.

— Panie Wojski dobrodzieju — łamiąc ręce zawołał Brzeski — w publicznem miejscu takie rzucać słowo... a czyż to się godzi?..

— Nie godziłoby się — mruknął stary szlachcic — gdybym ja je sobie z palca wyssał... ależ to chyba waćpan jeden nie wiesz o tem, iż cała okolica trzyma, że dziecka się pozbyto...

Brzeski oburzył się strasznie.

— A! na rany pańskie..

— Cóż? relata refero, niech mi przytomni poświadczą — zwrócił się do milczących świadków... Podskarbic nie dbał coś o serce swych współobywateli, ani o dobre ich o sobie mniemanie, to też zbiera owoce... On nam, myśmy mu obcy. Plotka złośliwa rosła, urosła, rozkrzewiła się, nikt go nie bronił, a teraz...

Nie miał już co mówić Brzeski, chwycił za czapkę ze stolika... Czołem panom! — zawołał — ja tego słuchać nie mogę...

Wychodząc słyszeć mógł śmiech, który się rozległ za nim. Chwilę potem jakby namyślając się, stał jeszcze Brzeski w progu kamienicy pod wiechą i ruszył krokiem pospiesznym. Podskarbic miał przy ulicy Sławkowskiej kamienicę, która mu z jego ojczystych zmarnowanych majętności wielu jakiemś szczęściem ocalała. Za lepszych czasów przodkowie jego, piastujący godności dworskie, tu zamieszkiwali stale lub czasowo. Urządzoną też była dawniej z przepychem, który teraz ustarzał, i przy nowych gmachach przestronniejszych wydawała się ciasną, poznać w niej wszakże było można dom senatorski nie tylko po wykutym nad bramą herbownym znaku, ale z całego rozporządzenia... Zabudowana w kwadrat, z dziedzińcem w pośrodku, ozdobionym dawniej fontanną, i okrążonym krużgankami, opuszczoną była, ale mieszkalną. Najmować jej obcym nie chciał Podskarbic, trzymał w niej starego klucznika, stróża i dawnego swego totumfackiego okaleczałego, który się już z krzesła, na którem go wożono, nie ruszał. Podskarbic miał pewne w życiu chwile, pewne jakieś tajemnicze potrzeby, fantazye, dla których się tu zamykał i czasem bawił po kilka miesięcy... Niekiedy też przyjmował tu swych serdecznych przyjaciół młodości, z którymi pił i hulał nieprzerwanie po kilka tygodni. Sodoma i Gomorra działa się tam, jak mówiono, gdy na nich ta kanikuła przyszła...

Żona Podskarbica choć często i do zamkowego kościoła i do grobu św. Jacka przyjeżdzała do Krakowa, nigdy nogą w domu tym na Sławkowskiej ulicy nie postała. Smutne to było domostwo ale poważne jeszcze... opuszczone w części, a pełne nietkniętych prastarych pamiątek. Podskarbic mieszkał zwykle na pierwszem piętrze od tyłów i ogrodu, który był niewielki ale cienisty... Zajmował on kilka pokojów trochę odświeżonych i wygodniej urządzonych.. Od ulicy były sale sklepione, służące do przyjęć, pełne czarnych obrazów, ciężkich stołów i stołków, sprzętu nadniszczonego i zapylonego... Brama nigdy, nawet we dnie otwieraną nie była, chyba gdy kto obyczajem włoskim, ogromnym pierścieniem wiszącym ze lwiej paszczęki, uderzył we wrota... Naówczas przychodził stróż, przez zakratowane okienko z zasuwą wyglądał, pytał i nie puszczał, aż się poradził, gdzie należało..

Podskarbic właśnie był w mieście od dni kilku. Brzeski wiedział o tem i wprost od Materskiego szybkim krokiem pobiegł, o ile mu kulawizna jego dozwalała, na Sławkowską ulicę... Miał on taki umówiony sposób kołatania do wrót, że mu stróż jako domowemu natychmiast odryglowywał.

Stało się i tym razem, że ledwie miał czas pot otrzeć z czoła, już się furta dla niego otwarła. W podwórcu było jak zwykle pusto. Na wyschłej misie wodotrysku, w której pełno było piasku, świergocąc kąpały się wróble... ukośny promień słońca połowę krużganków oświecał fantastycznie... Na wschodach panował już cień wieczorny... kuternoga wdrapał się na nie, przeszedł cały szereg kurytarzy i sal, nareście do pańskich drzwi zapukał. Nie wszedł jednak skoro, bo wewnątrz słychać było kilka głosów różnych... dopiero za powtórnem pukaniem uchylono drzwi, rumiana twarz Podskarbica ukazała się gniewna...

— Kto tam?! — Postrzegłszy wszakże swojego pomocnika i duszę zaprzedaną, Podskarbic nie wpuszczając go do komnat, wyszedł ku niemu...

— Proszę na ustęp... wnijdźmy gdzie... bo są ważne rzeczy...

— A ty mi, dokuko nieznośna, ptaku złej wróżby, zawsze musisz przyjść coś złego zwiastować, gdy ja chcę nieco odetchnąć! — zawołał Podskarbic.

— Ja bym nie chciał, ale muszę — szepnął Brzeski — tu chwili do stracenia nie ma...

Podskarbic otworzył drzwi ciasnego gabinetu narożnego i wprowadził za sobą Brzeskiego...

Rzucił się na stojącą w kącie sofę. — Mów!..

— Stała się rzecz najgorsza, jaka tylko stać się mogła — szepnął Brzeski — nim zdołałem namówić chłopca, boć go przecie z pośrodka miasta siłą zabrać niepodobna... Pani go spotkała na drodze, uderzona została tem nadzwyczajnem podobieństwem... stała się scena wpośród

gościńca... Ludzie go otoczyli, widzieli znamię pod uchem... Pani zebrała, co było pieniędzy przy służbie, zdjęła z siebie łańcuch złoty i wszystko to oddała chłopcu... płacząc i błogosławiąc...

Podskarbic, który się był rzucił leżeć i spoczywać, zerwał się słuchając i przyskoczył w końcu do Brzeskiego, chwytając go za gardło.

— A któż temu winien, niegodziwcze jakiś — zawołał — jeżeli nie twoje tchórzostwo, głupota, niezgrabstwo?.. Czemużeś go nie uwiózł, nie uprzątnął, nie zaprzepaścił... nie...

— Dobierzże pan sobie lepszego sługę! — wyrywając się z jego rąk krzyknął Brzeski — dość tego!

Odstąpił krok ku drzwiom, jakby chciał iść.

— Stój... niedźwiedziu ty jakiś, stójże! gadaj mi — wołał Podskarbic. — Wziąłem cię gołego, napchałeś się u mnie, zbogaciłeś, nakradłeś, a teraz myślisz, że ja ci tak dam pójść bezkarnie, gdy ci się zechce?...

Na twarzy Brzeskiego bezsilny, ale straszny gniew się odmalował...

— Nie wziąłem u was darmo nic, takie usługi, jakiem ja wam świadczył, drogo płacić się muszą — mruknął — pójdę, gdy zechcę, i nie uczynicie mi nic, bo wiecie, że mogę sam zginąć, ale gdy zechcę, to i was zgubię...

— No, milcz... dosyć! — sucho przerwał Podskarbic — do rzeczy! Chłopca należy sprzątnąć...

— Teraz, gdy na niego wszystkie oczy zwrócone? — spytał Brzeski.

— Teraz, gdy ma kilkaset dukatów, a miasto całe wie o tem, zniknie i nikt nie posądzi innych sprawców, tylko zbójców, co na pieniądze czyhali — odezwał się Podskarbic. — Nie ma tu co myśleć... daj go tylko do kamienicy na ręce Hurdy, a ten będzie wiedział, co z nim ma zrobić... Do bramy go przyprowadzić o mroku nie wielka rzecz... więcej od ciebie nie potrzebuję...

— Tak! tak! łacno wam rzec! — niewyraźnie wyjąknął Brzeski — ale...

— Musisz go wziąć, czem chcesz i jak chcesz... Hurdę ja zawiadomię, co uczynić ma... byleś mu go do rąk oddał... Jeśli ty się nie sprawisz, znajdę innego, lecz mi się więcej nie pokazuj na oczy, i zrób testament a wyspowiadaj się... Sługą być nie chcesz, nieprzyjacielem musisz, a ja nie ścierpię wroga swobodnie chodzącego...

Podskarbic wstał i siadł trzęsąc się znowu i powstał raz jeszcze: — Rozumiesz... masz do wyboru... zrób swą powinność lub... gotuj się iść tam, zkąd się nie powraca... Ja już nic nie mam do stracenia — dodał z iskrzącemi się oczyma — albo było nie zaczynać lub potrzeba kończyć!!

Gdy ex-wojewodzina nazajutrz stanęła w swej rezydencyi nad wieczorem, znużona drogą i chora, z powodów zapoźno obmyślanej ostrożności zakazano dworowi o przygodzie na drodze u Prądnika rozpowiadać. Służba też, która dalej stała, nic nie wiedziała i nie widziała oprócz tego, że chłopcu ubogiemu na drodze dano sutą jałmużnę, co żadną osobliwością nie było. Dworzanin tylko rękodajny, który w podróży zastępował marszałka i koniuszego zarazem, i towarzyszka jejmości, co się zbliska chłopcu przypatrzyli, wiedzieli, dlaczego pani tak była wzruszoną, i wrócili pełni różnych myśli... Ex-wojewodzina położyła się czując niezdrową, a w parę godzin potem P. Bronisz powołany do towarzyszki jej, starej Łowczynej, wsunął się do jej pokoju...

Zastał ją na progu oczekującą, schwyciła go zaraz za rękę.

— Poczciwy mój Bronisz — zawołała — ty tu jesteś jeden człek z głową, na którego rachować można i zwierzyć mu się godzi... Byłeś świadkiem wszystkiego... Pani rozmarzona, spłakana... poruszona... Co to jest? co może być? mów... Nigdy mi się głupim gadaniom wierzyć nie chciało... ale to znamię, to znamię... złym ludziom... wszystko możliwe... któż wie, kto ten chłopiec...

— A pani Łowczyna dobrodziejka — rzekł Bronisz — jam się też przez całą tę drogę myślami nameczył... Bóg jeden wie, co to jest, ale dochodzić trzeba...

— A! śledź! dochodź! byłbyś dobroczyńcą tej kobiety — rzekła Łowczyna... — Ja co myślę, tego powiedzieć sama przed sobą się boję. Podskarbica nie winię, ludzie czasem chcą myśli pańskie zgadywać i gotowi choć na zbrodnię. Brzeskiego waćpan znasz... Bronisz głową kiwnął milczący.

— Łowczyno dobrodziejko, zawczasu ani mówić nic, ani obiecywać nie mogę, proszę się spuścić na moje gorące do pani przywiązanie... zrobię... co sumienie i rozum podyktują.

Pocałował w rękę staruszkę i wyszedł. Mrok padał... Od zamku, w którym mieszkała ex-wojewodzina, a któryby dziś właściwiej pałacem się już był mógł nazywać, lipowa stara aleja wiodła do miasteczka, do którego niedochodząc stała plebania, przy niej kościół i cmentarz... Bronisz pospieszył na plebanią do proboszcza... Był nim starzec, niegdy obowiązany rodzinie wojewody, człek zacny, pobożny, spokojny, ale wiekiem i chorobą złamany. Zastępował go w kościele i parafii wikary z Krakowa przysłany, czynniejszy nad niego, którego dla rozległych wsi, do kościoła należących, że je ciągle objeżdżać musiał, rzadko w domu było zastać.

Staruszek przywitał Bronisza jak syna... zaczął o podróż rozpytywać, o zdrowie pani, o Kraków, o nowiny... Wszystko to zbyło się słowy krótkiemi... Bronisz widocznie miał coś na sercu, i pilno mu było z proboszczem się rozmówić.

— Ojcze — rzekł, szepcząc mu do ucha — mam do was prośbę największej wagi... ale sub rosa... Na miłość

Bożą wysłuchajcie mnie... i pomóżcie do wyświecenia prawdy...

— Ale cóż to jest znowu? przestraszasz mnie! — rzekł starzec — żart czy prawda?

— A! prawda i bodajby nie była bardzo smutną — dodał Bronisz... Posłuchajcie, stare to są dzieje, ale nikt ich lepiej nad was nie pamięta... Gdy się pan Podskarbic z panią naszą żenił, dziecko mu było bardzo na zawadzie, ze wszech miar... Pani wyjechała na pogrzeb matki, a dziecię umarło, i zmarłe pochowano jakoś tak uwinąwszy się, że nikt go po śmierci nie widział... Ludzie pletli i powtarzali, że się chłopca pozbyto, a byli tacy, co imiennie Brzeskiego o to obwiniali...

Staruszek podniósł głowę i palec położył na ustach. Cicho, dziecię moje, cicho, Bóg sędzią uczynków ludzkich, co pomoże dochodzić przeszłości... Bezkarnie nic nie uchodzi... Cierpliwości.

— Ale posłuchajcież, ojcze kochany, jak się to składa — zaczął Bronisz, i opowiedział spotkanie z chłopięciem, i dojrzane znamię i rozczulenie biednej kobiety, która w sierocie ubogiej cień własnego dziecięcia ściskała.

— A jeżli ten przypadek wprowadza nas na drogę... dodał — może to palec Boży? któż wie? albož dziecka nie mogli rzucić tak na wieś gdzieś, by się go pozbyć...

— Przecież je przechowali, tu w familinych grobach... rzekł staruszek...

— Gdzie?

— Pod kościołem.

Bronisz starca w rękę pocałował. Niegodzi się to, prawda — rzekł — spoczynku zmarłych naruszać, lecz gdy się dochodzi zbrodni, zdaje mi się, że nie byłoby grzechem przekonać się, czy istotnie w tej trumience...

Proboszcz zrazu rękami się zasłonił i słuchać nie chciał, po chwili jednak jakoś z przestrachu tego ochłonął. Bronisz nalegał ciągle... trudno mu się było oprzeć.

— Od grobów familijnych klucze są u mnie — rzekł nareszcie staruszek — nie puszczę cię samego, bo byś tam nic nie znalazł, nikt prócz mnie trumienki tej wskazać nie potrafi... Trzeba iść, niech Bóg przebaczy, pomodlim się za ich dusze... Waćpan mnie podprowadzisz, bo mi nogi nie służą... Z nocą pójdziemy do kościoła, nikogo to nie zadziwi, czasem tego służba Boża i obowiązki wymagają, nie będzie to bezprzykładnem i żadnych podejrzeń nie obudzi...

Bronisz zapalił stojącą latarkę przy drzwiach, zabrano klucze, i przez podwórze plebanii, nie spotkawszy nikogo, przeszli łacno na cmentarz opasujący kościół. Dostali się ztąd do zakrystyi, a przez nią do głównej nawy, w której drzwi żelazne zakrywały schody wiodące do sklepów... Bronisz nie potrzebował pomocy, by je podźwignąć, po złych, wilgotnych schodach, niosąc latarkę w ręku, musiał prowadzić razem staruszka, któremu nogi i oczy nie służyły... Gdy nareszcie w dół zeszli, w świetle słabem latarki pokazał się sklepiony loch nizki, cały zastawiony trumnami. Niektóre z nich stały już jedne na drugich, bo wiele pokoleń grzebiono tu od wieków kilku, i miejsca zmarłym zabrakło... Wązkie tylko przejścia pozostawały pomiędzy kośćmi i okruchami desek... aby się dostać do głębi.

— Pamiętam dobrze — rzekł proboszcz — iż trumienkę małego Jasia zastawiono przy tylnej ścianie za inne, a powinnaby przypierać do kasztelańskiej. Zresztą napis na niej wykuty był ćwieczkami, a mocna dębowa trumna w lat jedenaście w miejscu tak suchem zbutnieć i rozpaść się nie mogła...

Z trudnością wielką dostali się na miejsce wskazane, i Bronisz postrzegł stojącą pod ścianą w kąciku, opisaną przez Proboszcza trumnę dziecka, nabijaną gwoździami białemi. Była jeszcze cała i trzymała się nieuszkodzona; Bronisz wcisnął się, jak mógł najbliżej, a że w miejscu otworzyć jej nie było podobna, musiał z ostrożnością, ująwszy za antaby, wysunąć bliżej... Wieko było szczelnie zabite... lecz idąc na tę nieszczęśliwą wyprawę, dworzanin uzbroił się wcześnie w dłuto i młotek, których potrzebę przewidywał... Kląkł na ziemi i po kilku uderzeniach poczuł, że wierzch odskoczył... Proboszcz schylił się z latarką, żegnając z trwogi jakiejś niewysłowionej... Drżącą ręką Bronisz podniósł wieko... pokazały się pod niem opony jakieś, które wnet w głąb opadły, bo były przebutwiałe... na dnie leżało... trzy kamienie...

Jeden z nich wyjął Bronisz milcząc i pokazał go proboszczowi... który równie jak on... słowa odezwać się nie mógł. Oba drżeli przejęci... Dowód występku popełnionego tajemniczo był jawny... Dla Bronisza nie pozostawało już najmniejszej wątpliwości, iż ów chłopak sierota... był synem wojewody, umyślnie rzuconym na zatracenie... Staruszek też w duszy wielbił opatrzność, która niepojętemi drogami prawdę odsłania i występkowi bezkarnie ujść nie daje...

Trumienkę, z kamieniami w niej, złożono w miejscu, wyszli nazad z grobów pomodliwszy się... Bronisz drzwi zamknął i zaryglował... powrócono spokojnie na plebanią. Tu staruszek natychmiast protokół oględzin podyktował, *sub fide et conscientia*, który obwarowany pieczęciami i podpisami, w dwóch kopiach sporządzono. Jedną z nich zabrał z sobą Bronisz, druga została na probostwie...

Wyszedłszy z domu przy ulicy Sławkowskiej, Brzeski mrucząc gniewny, wprost udał się do własnego, odziedziczonego po kanoniku Hodowskim. Nie mieszkał on w nim, zwykle będąc zmuszonym ciągle prawie odbywać podróże i objeżdżać dobra lub siedzieć na wsi; ale na drugiem piętrze, tem właśnie, które zajmował kanonik, mieszkała

jego żona. Schronienie to posłużyło jej dla odsunięcia się od męża, który przystał na to, żeby w mieście osobno zamieszkiwała. Niepotrzebując pomocy od niego, pani Tekla utrzymywała się z dochodów, jakie kamienica wynajęta przynosiła, ubogo wprawdzie, ale szczęśliwa, iż się pozbyła nienawistnego człowieka. Brzeski wymówił sobie tylko izbę od podwórza, sypialną niegdyś kanonika, w której czasem będąc w mieście odpoczywał, pisał, nocował. Od tej klucz nosił przy sobie. Rzadko kiedy jednak go tam widywano. Brzeska nie mając dzieci, nie mając zajęcia, ani celu w życiu, cała była oddana nabożeństwu. Od rana chodziła z kościoła do kościoła, wracała się pożywić tylko, szła na nieszpory, a wieczorami przed ustawionym w domu ołtarzykiem, z dwoma babkami, spiewała litanie i godzinki... Zdawało jej się, że w ten sposób i za grzechy męża odpokutuje...

Niespodzianie wpadłszy do domu Brzeski nie znalazł nikogo, oprócz Maciejowej, dawnej gospodyni kanonika, która tu wróciła, umiejąc się siostrze zalecić. Poszedł do swej izby... i legł na łóżko, potrzebował się rozmyślić i wypocząć...

Chociaż poźniej wróciła do domu żona, nie zaglądała do niego, zaniesiono mu jeść, przeleżał tak cały dzień do nocy się nie ruszając... Sen go naostatek zmorzył. Pani Brzeska zajrzała pod wieczór, co się z nim dzieje, i zobaczyła go wyciągniętego na łóżku, a chrapiącego strasznie... Była to godzina jej modlitw, poszła więc je odprawiać sama, bo tego dnia nie miała zwykłych towarzyszek, a Maciejowa wcześnie spać się kładła... Już klęczała u ołtarzyka, gdy od izby mężowskiej doszły ją jęki i jakby dwa różne głosy... Chociaż dwie ściany przedzielały izbę tę, w której klęczała, od sypialni, wśród ciszy nocnej słychać było wyraźnie, jakby kłótnię i wrzawę. Przerażona tem kobieta, gdyż nikogo wchodzącego nie słyszała, zerwała się od modłów, otworzyła drzwi jedne i drugie i stanęła w progu mężowskiego pokoju. Brzeski leżał, jak wprzódy na łóżku, ale się rzucał i przez sen gadał...

Tekla stanęła jak wryta i słuchała...

Wyrazy, które się z ust spiącego wyrywały, były jakby odpowiedziami na zapytania... milczał chwilę, potem głosem żałości pełnym odezwał się jak winowajca indagowany...

— Krwi nie mam na sumieniu... nie zabiłem go... nie chciałem... Nie zmazałem się krwią niewinną... Panie, ulituj się i przebacz... Winien ten, co mnie do występku namówił, co mnie do niego skusił...

Przebacz, o panie, grzesznej duszy mojej...

I przez sen bił się w pierś, aż jęczało w niej.

— Chcą, żebym im go wydał... Ja wiem, co z nim uczynią. Hurda posadzi go do lochu, i powoli głodem go umorzą... Lecz jakże ja go ocalę... Ty widzisz, Boże, iż mi cięży, com popełnił, a nie chcę grzeszyć więcej.. Pomóż mi panie, dźwignij, ratuj! ratuj! ratuj!

Ostatnie trzy wyrazy coraz głośniej wykrzykiwał Brzeski, aż się naostatek zbudził i porwał i siadł na łóżku... W mroku ujrzał stojącą na progu żonę i przeraził się, począł wołać: kto tam? gdzie jestem! gdzie?...

— Uspokój się! przeżegnaj! ja to jestem — odezwała się żona — Bóg z tobą... Co ci jest? męczyłeś się strasznie we śnie...

— I mówiłem co przez sen? — zawołał przelękły Brzeski.

— Powiedziałeś wszystko, coś miał na sumieniu, a o czem ja i tak zdawna wiedziałam — spokojnie poczęła kobieta... Pan Bóg chciał, bym była tu i w porę jeszcze zakląć cię mogła; Adamie, nie gub duszy Twej! błagam cię, umyj ręce od grzechu, zrzecz się spólnictwa z nieprawym... Gińmy lepiej, niżelibyśmy dla marnej godziny na tym świecie zbawienie sprzedawać mieli...

To mówiąc uklękła zapłakana.

— Kobieto — zawołał Brzeski — jeźli wiesz wszystko... powiedzże mi, jak siebie i... dziecko ratować mam... A co pomoże, iż ja ręki nie podam? albo on siepaczy i najemników nie znajdzie?

— Bronić trzeba dziecięcia — poczęła Brzeska — nie dosyć odstąpić od współudziału w zbrodni, obowiązek jest jej zapobiedz...

Brzeski zwlókł się z posłania i ciężkiemi nogami kląkł a raczej rzucił się na kolana przy łóżku... Oboje zaczęli się modlić głośno... grzesznik był nawrócony.

Od dwóch już dni stara biedna kobieta chodziła płacząc po mieście od domu do domu, dopytując o chłopca, który służył u Materskiego, a od niego się oddalił, wyszedł, jak powiadano, ze znacznemi pieniądzmi, udając się do kupcowej Salomonowej, i odtąd go już nie widziano. Krok w krok szukając jego śladów, wieśniaczka powlokła się do kupcowej i dowiedziała się tam, iż Janek u niej był w istocie, że się umówił z nią o dozór nad dziećmi, pieniądze i łańcuch u niej w depozycie zostawił, ale się więcej nie pokazał... Bramiński, do którego poszła także, zapewniał, że u niego tego dnia nie był, do Materskich nie wrócił, w ulicy nikt go nie widział... Znajomą będąc z Maciejową od dawnych czasów, Hruzdzina zawlokła się płakać do niej i lamentować...

— A moja pani, dobrodziejko moja! — zawołała rzucając się na ławę w kuchni — pocóż mi się już żyć zdało, kiedy go oczy moje nie zobaczą!! Widać ludzie źli dowiedzieli się o tych nieszczęśliwych pieniądzach, co mu tam ta pani jakaś na drodze dała, i choć ich już pono nie miał, bo je u kupcowej złożył... zabili go pewnie przez chciwość!

Maciejowa jakoś chłodno to brała bardzo...

— Ależ to nie może być — rzekła — w biały dzień... nie byłby tak głupi, żeby się dać tak wyprowadzić.. I gdzieżby zbójcy czas mieli dowiedzieć się, zasadzić...

— A cóż się z nim stało?

— Któż to może wiedzieć — westchnęła Maciejowa — Jejmość się módi do św. Antoniego Padewskiego... daj na mszę... chłopiec, choć go głupim nazywali, wcale był roztropny... nie dałby on się tak wziąć. Może się gdzie zawieruszył... może gdzie zapędził? kto to może wiedzieć... Przecieżby uchowaj Boże takiego nieszczęścia, jakiś ślad się znalazł.

Hruzdzina jednak, mimo tych perswazyi i uwag płakała a zachodziła się, ciągle powtarzając, że tego nie przeżyje... Słysząc te szlochy wyszła do niej i pani Brzeska, uwiadomiona już znać o wszystkiem, starając się kobiecinę pocieszyć... mało to wszakże pomogło...

Drugiego dnia wieczorem, już o swej sile nie mogąc się dowlec na Prądnik, Hruzdzina przysiadła się na wóz sąsiada, który ją złamaną tem nieszczęściem do domu odwiózł.

Gruchnęło tedy po całem mieście, w którem wczoraj o nadzwyczajnem szczęściu chłopca rozpowiadano, iż go już nie stało, i znać źli ludzie ułakomiwszy się na dukaty, których lik znacznie powiększono, gdzieś dziecko niedoświadczone zawlekli i zabili.

Szczególniej Materski głośno z tego powodu wykrzykiwał przeciwko niedbalstwu i nieładowi panującemu w mieście, w którem bezpieczeństwa nie było... Pani Salomonowa świadczyła, iż trzysta czerwonych złotych z łańcuchem zostawił u niej rano, że poszedł był tylko na miasto mając wieczorem powrócić, a więcej go już nikt nie widział... Domyślali się niektórzy, iż mógł do Wisły się pójść kąpać i utonąć. Trafiały się często podobne wypadki. Do trzeciego dnia słaba jeszcze jakaś była nadzieja, ale i ta znikła, gdy pomimo poszukiwań, które gorączkowo i zapalczywie robił Materski, nic odkryć nie potrafiono... Hruzdzina gorzko swe dziecię opłakiwała... Najgorliwiej pono jednak ze wszystkich krzątał się pan Podskarbic, mąż ex-wojewodzinej, z niewiadomych powodów, a jak sam mówił, dlatego, iż Jejmość to chłopię sobie upodobała. Wysłał on na zwiady swoich dworzan, Brzeskiego, naznaczył nawet nagrodę temu, ktoby poszlakę jaką znalazł, co się z chłopcem stało. Nic i to nie pomogło, zauważano tylko, iż w skutek tych niefortunnych poszukiwań, czy z innych niewiadomych powodów Brzeski, który był prawą ręką pana i od tak dawna w skarbie tym służył, zażądał uwolnienia od obowiązków. Człowiek już podżyły, przytem kaleka na nogę, miał zupełne prawo odpocząć, tem bardziej, iż sobie grosza przysporzył, a i spadek po kanoniku coś znaczył... Ponieważ majętności, mimo zamąż pójścia ex-wojewodzinej, do niej samej jeźli nie w rzeczy to z imienia należały, Brzeski oznajmiwszy się samemu panu, który go zfukał i za drzwi wypędził, pojechał do rezydencyi dla zdania rachunków i pożegnania pani, miał bowiem najmocniejsze postanowienie rzucenia tych ciężkich obowiązków. Dnia tego, gdy wyruszył z Krakowa, trzy razy po niego Podskarbic przysyłał, ale go naprzód sługa nie zastał w domu, potem już był wyjechał.

Sama pani, która rzadko Brzeskiego widywała, nie lubiła go też wcale, równie jak całe jej otoczenie. Znano go z niewolniczego posłuszeństwa panu i lekceważenia dziedziczki. Dwór dzielił się oddawna na dwa wybitne i prawie nieprzyjacielskie obozy, pana i pani. Z każdym dniem walka między niemi rosła, Brzeski stawał zawsze jeźli nie jawnie to skrycie za Podskarbicem... a że był zręczny i wykrętny, równie się go obawiano, jak nienawidzono... Bronisz, który grał tu rolę marszałką dworu, rzadko do niego się odzywał, Łowczyna głową mu nigdy nie skinęła, a pani sama, choć dziwnie dobra i przebaczająca, instynktowo wstręt jakiś czuła ku niemu. Nie dziwiło nikogo przybycie Brzeskiego do majątku, lecz gdy nazajutrz, ubrawszy się od święta, zażądał posłuchania u dziedziczki, nie wiedząc do czego to zmierzało, Łowczyna się nastraszyła... Chciano chorowitej pani oszczędzić tego nieprzyjemnego spotkania, lecz Brzeski mocno się domagał audyencyi; Łowczyna wolała sama przecierpieć, i kazała go prosić do siebie. Po pierwszem przywitaniu staruszka ozwała się.

— Pan Brzeski żąda się widzieć z panią? to pewnie jaki interes pieniężny? ale pani chora, do czego ją męczyć, wszakże i bez woli a wiedzy robi się, cokolwiek Podskarbic zażąda, pocóż te formy próżne? Oszczędź pan biedną chorę.

— Pani Łowczyno — przerwał Brzeski — daję pani słowo najuroczystsze, że żadnego interesu nie mam... Przyjechałem tylko pożegnać naszę panię i przeprosić, jeżelim w ciągu mej służby czem się mógł jej narazić. Czuję ja dobrze, iż nieraz musiałem nieukontentowania być powodem, ale położenie potrosze mnie uniewinnia. Zresztą w łasce i sercu anielskiem pani nadzieja. Nie chciałbym odejść nieusłyszawszy z jej ust pocieszającego słowa...

Wyrazy te wcale odmienne od tego, z czem zwykle przychodził i odzywał się Brzeski, niesłychanie zdumiały Łowczynę, równie jak zapowiedziane oddalenie się pana Brzeskiego.

— Jakto? więc waćpan oddalasz się? — zapytała.

— Muszę, jestem stary, nie podołam dalej obowiązkom, czas odpocząć, pani dobrodziejko — stanowczo rzekł Brzeski — niechże mi pani krótkie posłuchanie wyrobić raczy...

— A to co innego — odezwała się Łowczyna — zaczekaj pan tu, idę do pani.

Po krótkiej chwili oczekiwania, ukazała się Łowczyna z powrotem i skinęła na Brzeskiego, ażeby szedł za nią. Przeszli tak długi szereg sal i pokojów po staroświecku

umeblowanych, ale pustych, bo gabinet przytykający do sypialni ex-wojewodzinej znajdował się na drugim końcu pałacu... Tu zastali ją siedzącą w fotelu, bladą, osłabłą, z różańcem w ręku i książką od nabożeństwa na kolanach... Mała dziewczynka, karliczka, która jej nigdy nie odstępując u nóg z pończoszką siadywała, zobaczywszy obcego zwinęła robotę i odeszła. Łowczyna też ustąpiła... Brzeski został sam na sam z panią, i pokornie trzymał się, pokłoniwszy nizko, u proga... Ona podniosła nań oczy piękne jeszcze, pełne wyrazu słodyczy, i głosem dźwięcznym pozdrowiła.

— Cóż mi to mówi Łowczyna — rzekła powoli — że się waćpan oddalasz od nas, panie Brzeski.

— Tak jest, jaśnie wielmożna pani — począł wzdychając i wzruszony widocznie stary — czas mi już resztę dni Bogu oddać i staraniu o duszę... Pracowałem na chleb dosyć, na zbawienie za mało... podziękuję Bogu, gdy mi da czas do naprawy...

Ex-wojewodzina bardzo zdumiona popatrzyła nań długo.

— Niech Bóg, co waćpana natchnął, błogosławi! — rzekła — ale któż go ma zastąpić tutaj? Mój mąż nic mi o tem nie donosi?

— Właściwie pan Podskarbic nie chciał mi jeszcze dać uwolnienia i życzył, bym pozostał, ale ja nie mogę... Służyłbym, gdybym się czuł na siłach, tych braknie. Mam mocne postanowienie oddalić się, i dlatego ośmieliłem się dopraszać dziś posłuchania u Jaśnie Wielmożnej pani...

Tu zatrzymał się nieco, spuścił oczy, dumał i zaczął znowu głosem zmienionym, cedząc słowa, jak gdyby nad każdem zastanowić się musiał i wyważyć każde...

— Pani najłaskawsza... Bóg rozrządza liczbą dni naszych, nikt nie wie, kiedy go do siebie on powoła, gotuję się więc tak, jakbym jutro przed nim miał stanąć. W czasie służby mej mogłem pobłądzić, narazić się, zawinić, proszę pokornie o miłościwe przebaczenie... Odpuść mi, pani, winy moje! To mówiąc uderzył się w piersi, podstąpił bliżej, padł na kolana, twarzą schylił się ku ziemi i ręce do stóp ex-wojewodzinej wyciągnął. Postawa jego, twarz, dźwięk głosu płaczliwy dowodziły, że w tym człowieku, zwykle szyderskim i zimnym, zaszła jakaś dziwna, niepojęta zmiana. Niepodobien był do samego siebie.

Pani ruszyła się z krzesła przejęta tą skruchą, łzy jej stanęły w oczach, uczuła litość, zapomniała uraz, widziała tylko przed sobą upokorzonego grzesznika, błagającego o miłosierdzie w imię Boże.

— Wstań waćpan, wstań — zawołała łzawym głosem — nie mam urazy żadnej i powtarzam pierwsze słowa moje: Niech mu Bóg błogosławi!

— Powtórz mi pani, powtórz, błagam, to drogie słowo, że mi wszystko, wszystko przebaczasz — wołał składając ręce Brzeski... Wiem to dobrze, iż Bóg nie odpuści grzechu bez zadośćuczynienia, że kto popełnił winę, obowiązany nietylko ją odpokutować, ale krzywdy wyrządzone nagrodzić. Pani najlepsza, otoż na Chrystusa, którego wizerunek tu oto oglądam (wskazał na krucyfiks), przysięgam pani, że winy, jakich się dopuściłem, nietylko skruchą, lecz czynem zmazać się będę starał...

Ex-wojewodzina słuchała coraz bardziej zdumiona... Wyrazy te dziwnie się jakoś odbijały w jej sercu, choć wytłumaczyć ich nie umiała sobie.

— Ale waćpan mi nic nie jesteś winien — rzekła — spełniłeś rozkazy... nie mam żalu...

Brzeski podniósł się z ziemi...

— Niech Bóg pani nagrodzi, niech Chrystus ją pocieszy — zawołał i podniósł ręce w górę... Tu jakoś mu głosu zabrakło, trwożliwym okiem rzucił dokoła... i dodał ciszej:

— Może mi dano być prorokiem... ale widzę przed oczyma mojemi, iż po dniach wielkiej i długiej żałoby i smutku, nadejdą dla pani dni pociechy i wesela, nie ja to mówię, ale przezemnie głos z góry... Ufaj pani Bogu, który cuda czyni, a któż więcej anielską dobrocią na cud zasłużył nad panią...

Nagle jakby się własnych wyrazów przestraszył, zamilkł, przypadł do kolan ex-wojewodzinej, które uścisnął, pocałował podaną rękę i wyszedł szybko... Biedna kobieta, w której uszach brzmiało to osobliwsze proroctwo... padła na fotel zdumiona, i gdy chciała jeszcze pytać o tłumaczenie Brzeskiego, spostrzegła, że go nie było..

Z wielkim pośpiechem potem udał się Brzeski na ekonomią, zwołał oficyalistów, wezwał pana Bronisza, i natychmiast przy świadkach zdał kasę, klucze i archiwa. Szczęściem wszystko było w porządku tak, że przejęcie nie stawiło żadnych trudności. Krótkiemi słowy pożegnawszy towarzyszów służby, którzy go nie lubili, ocierając pot z czoła mocno wzruszony, wyszedł na podwórze Brzeski, aby konie kazać podać, gdy go Bronisz dogonił.

Może to było niedelikatnie, ale w czasie posłuchania u ex-wojewodzinej, z obawy człowieka, który się wydawał nieżyczliwym, wezwano Bronisza (pani Łowczyna to zrobiła) i kazano mu stać pod edrzwiami; Bronisz więc słyszał całą rozmowę jego z panią i równie był poruszony, jak ona. Co więcej, szlachetnego charakteru człowiek, powziął jakąś sympatyą ku Brzeskiemu, dla okazanej skruchy.

— Czekaj, panie Brzeski — zawołał w dziedzińcu — dwa słowa! wytłumacz mi, co się stało? Czyście się z Podskarbicem popstrykali? Jak on się bez waćpana obejść potrafi? co to jest? zkąd tak nagła rezolucya?

Brzeski się odwrócił kłaniając.

— Nie zgadujesz pan — rzekł — nic między nami nie zaszło, prócz że ja, przecieżem nie poddany, nie glebae adscriptus, zażądał uwolnienia. Dość mam i pracy i dosyć z łaski Bożej i państwa, chleba... Chcę odejść.

— Zapewne osiądziesz w Krakowie? — spytał Bronisz.

— Bóg raczy wiedzieć. Mam tam dom, to prawda, ale... nadtobym może był blizko...

Ruszył ramionami.

— Widzisz waćpan — dodał Bronisz wahając się nieco — tyle lat władałeś interesami, w wielu rzeczach poźniej może potrzebować możemy objaśnienia, gdzie my go szukać będziemy?

Spojrzeli sobie w oczy... Brzeski pobladł nieco, ale wejrzenie Bronisza nic w sobie niemające groźnego, zdawało się go uspokajać.

— Bądź waćpan pewien — rzekł — że gdy mnie będzie potrzeba... rozumiesz... gdy mnie będzie potrzeba, ja się znajdę...

Bronisz z kolei zdawał się zdumiony wyrazami, które coś w sobie miały tajemniczego. Brzeski jeszcze raz mu powtórzył dobitnie.

— Niech pan będzie pewny, że gdy mnie będzie potrzeba tu, ja się znajdę...

To powiedziawszy skłonił się i zostawując Bronisza na środku podwórza, pośpieszył kulejąc do bryczki, siadł na nią i pojechał...

Nie upłynęła i godzina po jego odjeździe, gdy z Krakowa na zdyszanym koniu nadbiegł umyślny od Podskarbica, z listem do drugiego zaufanego we dworze zausznika i poleceniem najsurowszem, ażeby Brzeskiego, gdy się tylko tu zjawi, przytrzymano i pod strażą osadzono, dając o tem znać, lub nocą wyprawiono zaraz dodając straż silną do Krakowa. Na przypadek gdyby Brzeski już odjechał, polecono ścigać i chwytać. Powodem miało być pochwycenie znacznej sumy, z której Brzeski jakoby nie zdał rachunku. Surowość ta jednak inaczej wyglądała, i wszyscy domyśleli się łatwo, iż to szło więcej o zapewnienie się, iż przypuszczony do wielu tajemnic i robót nieczystych Podskarbica Brzeski, oddaliwszy się ich nie wyda.

Popłoch tedy we dworze stał się wielki... Ponieważ nie było więcej nad godzinę, jak Brzeski wyjechał, łatwem się zdało dognać go, zwłaszcza że wedle wszelkiego podobieństwa drogą ku Krakowu powracać musiał. Posłaniec wszakże ztamtąd jadący upewniał, że nigdzie go nie spotkał.

Rozkazy ścigania wydane były wprawdzie przez wiernego sługę Podskarbica, lecz ludzie, co je spełniać mieli, należeli w większej części do Bronisza, a ten zmiarkowawszy, że należałoby teraz oszczędzać Brzeskiego, szepnął im, ażeby się ani bardzo nie spieszyli, ani nadto śledzili pilnie...

Może skutkiem tych kilku słów, choć stajenni rozbiegli się na wszystkie trakty i mieli dostawać języka o zbiegu, nigdzie z nich żaden go nie napytał, nie spotkał i nie widział...

W Krakowie też przeszukano napróżno kawiarnię przy Wiślnej ulicy, z której się i pani Brzeska dniem wprzódy niewiadomo dokąd wyniosła. — Kuternoga znikł... bez wieści, wysłano za nim listy gończe, i po Krakowie rozeszła się wiadomość, iż na znaczną sumę się sprzeniewierzył, a jak się zdawało, na Węgry uszedł. Naówczas ktokolwiek jak w wodę chciał wpaść, do Węgier ruszał... Trudno tam było odszukać.

Kilka lat upłynęło od opisanych wypadków życia głupiego Janka. W Krakowie ani o nim, ani o Brzeskim słychu nie było. Podskarbic pilno dochodził, gdzie się podział dawny jego współpracownik, nałożył nawet inhibicyą na majątek, gdyby się jaki znalazł, lecz kamienica żony uledz jej nie mogła, bo była własnością spadkową do niej wyłącznie należącą. Silne mając plecy i stosunki familijne przeważne w koronie całej, Podskarbic per fas et nefas byłby zgniótł buntującego mu się szlachetkę, gdyby go odszukać zdołał. To mu się wszakże nie udało. Gniew ostygł nieco z latami, a jednak obawa jakaś o zachowanie się dalsze Brzeskiego trwała ciągle, i od czasu do czasu wysłańcy Podskarbica śledzili po Krakowie, czyliby się zbieg nie pokazał...

Życie tego pana, chociaż podeszlejszy wiek powinien był wpłynąć na stygnięcie namiętności, wcale się nie zmieniło. Epoka to była, w której i za granicą i w Polsce na zabój się wszyscy bawić i rozrywać i wrażeń szukać potrzebowali. Szukano ich na wszystkich drogach i wszelkiemi sposoby... Delikatniejsze organizacye rozpustowały z wykwintem tracąc czas, zdrowie i majątek na pseudo-artystycznych rozrywkach; charaktery namiętniejsze puszczały wodze wszystkim zachciankom i fantazyom, które naówczas miały, jak utrzymywano, znamionować szlachetniejsze, wyższe natury. Tym wyjątkowym jenialnym ludziom było niemal wszystko wolno... a że się kosztem świata bawili i rozporządzali drugimi bez ceremonii, winna była owa niepohamowana ich organizacya, znamionująca krew i pochodzenie! Podskarbic straciwszy na karty, kochanki, konie i bankiety znaczną ojcowiznę i nie jeden spadek, ożeniony został za poparciem przyjaciół i rodziny z bogatą młodą wdową, aby świetność imienia miał za co z cudzej utrzymać kieszeni; małżeństwo to jednak, jakeśmy mówili, nie zupełnie się powiodło. Ex-wojewodzicowa nie chciała się poznać na przymiotach Podskarbica, chociaż one nawet na dworach zagranicznych wysoce były cenione... Małżonkowie nie mogli zrazu przystać do siebie, a w końcu, po mnogich przykrych przejściach, zupełnie się prawie rozstali. Ex-wojewodzicowa siedziała na wsi, ze swym smutkiem i modlitwą. Podskarbic najczęściej przebywał w Krakowie w swym domu przy Sławkowskiej ulicy i prowadził życie w gronie kilku poufałych przyjaciół nie nazbyt przykładne...

Zarządzał on wprawdzie majątkami żony i czerpał obficie z kasy, ale długów robić nie mógł, a po kilku daremnych próbach wyprzedawania kluczów, gdy się te nie powiodły, od idei zrujnowania żony musiał rad nie rad ustąpić; dziwił się tylko nie pomału temu, iż ona śmiała chcieć majętność zachować, nie mając dzieci. — Co tu oszczędzać, na co mamy trutniom, którzy Bóg zapłać nie powiedzą, zostawiać fortunę... Lepiej by przecie było zjeść ją i przepić wesoło, ale baba uparta!

W Krakowie cichym, na ustroniu życie Podskarbica upływało tem swobodniej, że go tu nikt kontrolować nie mógł... Robił co chciał... Miał też tu pozawiązywane stosunki, poułatwiane drogi, i nikt go nie szpiegował, co on tam za drzwiami zamkniętemi w swej kamienicy robił. Gdy czasem o niezwykłej godzinie błyszczało z niej światło i huczały wykrzyki, mieszczanie przechodząc podnosili głowy, żegnali się, ruszali ramionami, ale co komu było do tego...

Co parę lat, a niekiedy i częściej, gdy się Podskarbicowi naprzykrzyło jeść ciągle chleb z jednego pieca, a udało się albo zboża na pniu sprzedać, albo kawał lasu zniszczyć, wyruszał pokazać się, że żył w stolicy... i odnowić dawne stosunki i znajomości; polityka, jakkowiek ona w życiu panów polskich grała rolę wielką, Podskarbica zajmowała jak najmniej. — Miał za zasadę służyć sile i być jak najlepiej z tymi, co najlepsze dawali obiady. Książę Repnin i rezydent francuzki, czy angielski, bodaj turecki, równie mu miłymi byli, jeśli karmili i poili. — Miał to najmocniejsze przekonanie, iż Polska się właśnie dla tego utrzyma, iż wszyscy z niej rwą i korzystają. Kury, co złote jaja niesie, nie zabijają — powiadał... Do konfederacyi się nie mieszał, bo gdzie tylko szable z pochew wysunąć się mogły, tam bywać nie lubił. Nosił się po francusku i podobniejszy był do starego wychowańca dworu Ludwika XIV. i XV. niż do dziecka rzeczypospolitej. Za Sasów Podskarbic w wielkich był łaskach u Brühla, teraz trzymał zdala z Repninem i nazywał go: un galant homme. Nic dziwnego, bo jak wiadomo, wiele osób dobrze wychowanych płci obojej, podzielały to zdanie.

Jednego ranka ziewnąwszy przy wstaniu nad czekoladą i obliczywszy kasę, w której do trzech tysięcy czerwonych złotych się znajdowało, Podskarbic zawołać kazał swojego marszałka dworu, bo tym tytułem obdarzył jednego ze sług starych, i nakazał mu wybór w drogę do Warszawy. Fantazyom tym pańskim zawsze wszystko stało w pogotowiu dogodzić. Dwadzieścia cztery godziny starczyły na wybór... Podskarbic wyjechał... Drugiego dnia na nocleg mieli opoźniwszy się zajechać do gospody, i ów marszałek poszedł z niej podróżnych wyrzucać — bo dla panów ustępować musiał, czy kto chciał czy nie — gdy taka w karczmie powstała wrzawa, że drzemiący Podskarbic, porwawszy szpadę stojącą w karecie, sam z nią wyleciał ludziom na ratunek. Wpadłszy wewnątrz austeryi, postrzegł marszałka dworu i jednego ze swych sług szamocących się straszliwie ze szlachcicem w bieliźnie tylko, który znać z łóżka wyrzucony, zebrawszy manatki uciekał od napastników. Ci go wrzeszcząc przytrzymywali. Jakież było zdziwienie Podskarbica, gdy zbliżywszy się poznał w tym pochwyconym człowieku... nieszczęśliwego, od tak dawna ściganego Brzeskiego!!!

— A tuś mi, złodzieju! — zawołał — a no! przecieżem cię do rąk dostał... Wiązać go...

Ludzie mieli się już zabierać do spełnienia rozkazu, gdy Brzeski się zawrócił i krzyknął, że łeb rozwali pierwszemu, co do niego przystąpi, chociażby i samemu Podskarbicowi. Trzymał w istocie w ręku potężne polano, chwycone znać na prędce w izbie, i zawijał niem nie żartem. Ludzie stali nieco strwożeni.

— Jakiem że to prawem śmiecie mnie, szlachcica, na drodze imać — począł krzyczeć—myślicie, że to tak płazem ujdzie jak inne gwałty! Jako żywo... i ja też znajdę po sobie obrońców, a jeśli mi się stanie gwałt, ujmą się za mną i prawnie krzywdy dochodzić będą. Masz pan pretensyą, pozywaj! zobaczymy! złodziejem nie byłem i nie jestem... przed kratkami rozmówimy się o wszystkiem... zobaczymy wówczas, komu cieplej będzie...

Zuchwała ta mowa opamiętała nieco Podskarbica, zawahał się, lecz mimo to kazał Brzeskiego do izby pędzić, chcąc się z nim rozprawić oko w oko...

— Chcesz pan rozmówić się, dobrze, od tego nie jestem... — zawołał szlachcic — ale jeszcze raz powiadam, są tu ludzie moi, są w gospodzie obcy, biorę ich za świadków... a więzić się, ani wiązać nie pozwolę... Jeśli kogo trupem położę, nie moja będzie wina...

Podskarbic nie nawykły, aby mu się opierano, gniewny był strasznie, lecz zmiarkował, że gra była niebezpieczna, kazał tylko Brzeskiego do izby gnać.

— Ja sam idę, nie potrzebuję przymusu — rzekł Brzeski — rozmówimy się, dobrze.

Służbie więc odstąpić kazano, a szlachcic z polanem w ręku ciągle, poszedł za Podskarbicem. Drzwi pilnowano zdala, aby się Brzeski nie wymknął.

— Więc cię tedy mam ptaszku! — śmiejąc się ze złością wołał Podskarbic rzucając na stołek. — Zdasz mi rachunek z robót twoich... Dla czegoś uciekł odemnie jak złodziej?

— Boś mnie przemocą chciał trzymać — rzekł szlachcic — i zmuszałeś do popełnienia gwałtu...

— Ja? ciebie? śniło ci się! — krzyknął Podskarbic — miałeś coś na sumieniu, gdyś uciekał.

— Miałem, prawda, ale nie swój grzech, tylko wasz... Podskarbi zaciął usta. — Potwarz — zawołał — potwarz; ja o niczem nie wiem...

Brzeski dziko się śmiać począł. Śmiech ten rozgniewał pana, poskoczył doń z pięściami — Gdzie chłopiec? coś z nim zrobił?

Z kolei Brzeski, znać ośmielony, zawołał: — Jaki chłopiec? o żadnym nie wiem...

Popatrzyli na siebie, a wzrok obu przekonał, iż sobie rady nie dadzą.

— Brzeski — począł Podskarbic łagodniej — uderz się w piersi, winieneś mi wszystko, obsypałem cię dobrodziejstwami, podły jesteś i niewdzięczny.

— Cóżem zrobił? — zapytał zimno zagadnięty.

— Dla czegoś uciekł?

— Podziękowałem za służbę, zdałem rachunki, przecież na całe życie zgodzonym nie byłem...

— Gdzie chłopiec? coś z nim zrobił? Znikł; to twoja sprawa...

— Nie wiem o nim nic; co mi było do niego — odparł Brzeski — gubić go nie chciałem, ale ratować nie miałem obowiązku. Ja nie wiem, co się z nim stało! Jużci się go sam pan pozbył...

— Ja? ja? — zakrzyczał przyskakując Podskarbic — Jak ty mi śmiesz powiedzieć co podobnego! To urągowisko? Słuchajże, co chcesz? ile?... mam z sobą pieniądze, zapłacę ci... ja o nim wiedzieć muszę... a przekonany jestem, że ty wiesz... że ty...

— Opamiętajże się pan — powoli począł Brzeski, który znacznie ochłonął, zkąd to posądzenie, żebym ja o nim mógł wiedzieć, żebym ja się nim miał zajmować? a mnie to do czego? co mnie obchodzi jego życie lub śmierć? Chłopca pewnie rabusie zasłyszawszy o pieniądzach zabili i trupa przechowali...

— Byłby ślad; nie! to twoja sprawa! — powtórzył Podskarbic — mam poszlaki, uwiozłeś go z Krakowa, skryłeś... czekasz chwili...

Brzeski ramionami ruszył.

— Zkądże by mi to tak nagle przyszło? — spytał szydersko — przecieżem was od niego uwolnił; toćbym ratując sam na siebie postronek kręcił!...

— Chcesz się ratować, ratując jego...

— Zastanów się pan: gdybym ten zamiar miał, czemużbym go już przez te lata nie doprowadził do skutku?

Podskarbic począł chodzić po izbie niespokojny...

— Wszystko to wykręty i kłamstwa... — rzekł — ty czekasz godziny i zasadziłeś się na mnie.

— Gdzież dowody? gdzie?...

Podskarbic podszedł i poczęli, jak dwaj zapaśnicy, którzy się za barki pochwycić mają, przypatrywać sobie. Brzeski wytrzymał wejrzenie i dostał kroku...

— Jadę do Warszawy — rzekł Podskarbic — jedziesz ze mną.

— Po co? na co?

— Zobaczymy...

— A gdybym nie chciał?

— Wezmą cię gwałtem...

Brzeski podumał. — No, to pojadę — rzekł — lecz jeśli się pan spodziewasz, że może bezbronnego pokrzywdzić potrafisz, mylisz się. Teraz jam ostrożny, nie dam się. Spodziewałem się napaści... mam za sobą takich, co mnie podtrzymują... Jechać? jadę! Ciężar pan mieć będziesz ze mnie, nie pociechę, a jeśli myślisz, że co wskórasz, mylisz się srodze...

— Jedźże do diabła i idź mi z oczów! — zaryczał Podskarbic w gniewie.

Brzeski się rozśmiał. — A tak! dobrze! teraz z dobrej woli za jegomością pociągnę. Dobranoc, ja jutro w trop za nim do Warszawy... Chciałeś mnie, no, to będziesz miał. — I drzwiami trzasnąwszy wyszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PAN BOLESŁAW.

SZKIC POWIASTKOWY

PRZEZ

BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO.

(DOKOŃCZENIE.)

X.

Jest wieczór ciszy pełen, ros i woni.
Całą swą gwiezdną lśni lazur przeźroczą —
Niekiedy tylko w jej bezdennej toni
Gwiazdy zbłąkane skroń swą rozwarkoczą,
Cel z siebie dając obłoczków pogoni,
Co się z księżyca promieniami droczą:
Udając to lwią postać, to znów smoczą,
Co z mnóstwa głów swych wciąż po jednej roni;
Albo się nagle po niebie rozskoczą
Igrzyska stepnych naśladując koni,

To znów się w ciężkie kształty przeistoczą
I jako bogi, na skrzydlatych wozach,
Pragnące zdobyć nocy złote runo,
Majestatycznie eterami suną —
Aż w końcu wszystkie rydwany zatoczą
Niby tabory w niebieskich obozach
Poza widokrąg, znów całą pogodę
Oddając gwiazdom, a oku swobodę.

Jest późny wieczór; już księżyc dwurożny
Kryształy rosy swem złotem nakrapia,

Jako czarodziej ów z bajki, przemożny,
Co wszystko, czego tknie, w złoto przetapia.
A taki dzisiaj w blaskach swoich szczodry,
Że zda się perły z szat wieczoru kapią
I jak łzy fontan w konsze toną modrej,
Gubią się w zmierzchu... Sny się dziś nie kwapią
Na świat — ach, czyjeżbo się oko zmruży
W porę rozkwitu nocnych wdzięków róży!

Takie to wiano przyroda, ta hojna
Matka — złożyła Maryi w dniu zaślubin.
Drużba weselna gwarna, rojna, strojna
Czeka już; panna młoda niespokojna...
Niecierpliwością skrzy gwieździsty rubin
W świątecznym pana Michała kołpaku;
Pierwszego drużby dotąd ani znaku!
Pan młody frak już zmiął, najświeższej mody,
Dawno czekają gości świetne gody
I wieczór mija, czasu nikt nie wstrzyma,
A drużby Bolka jak nie ma, tak nie ma!
U bram spłonęły w połowie pochodnie:
„Coś tam musiało wypaść niezawodnie...“
Serca przeczuciom złym puszczają wodze,
I smętno Maryi — i Annie niebodze
Źle szepcą szmery tej ściany bluszczowej,
Do której z Maryą tulą ciężkie głowy...
„Ha, on!.. Nareszcie jest oczekiwany...“

Wśród bluszczowego już witan namiotu
Bolek, co jak duch spadł z nocy świetlanej,
Gdyż nikt tententu nie słyszał, turkotu
W bramie... i strój miał trochę zaniedbany:
Pył na nim w blaskach księżycowych złotu
Równał się — świecąc z fałdzistych zagubów
Jak źle ukryty dar „siostrze“ do ślubów...

„Zdziwieni państwo, widzę, że się zgłaszam
„Tak poźno — zwłaszcza niosąc taką służbę...
„O tak! już poźno... serdecznie przepraszam! —
„Z dalekiej za to drogi masz ty drużbę
„Maryo!.. masz brata — Anno!.. Źle się stało,
„A winna moich rumaków niedbałość...“

To mówił tuląc do ust chustkę białą;
Ale się zdało Annie, że ta białość
Na ustach Bolka nasiąka czerwieni
Z tajemnych źródeł... coraz się rumieni
Więcej — aż całą z niej buchnęła strugą
Krew...

Któż opisze ową straszną, długą
Noc, co nastała po tej katasrofie
W kiosku bluszczowym i w miesięcznym blasku!
Do weselnego śmierć wchodzi obrazku...
Więc lepiej może zamilknąć tej strofie!

XI.

Słońce wiosenne z cichego błękitu
Wdzięczy się mile do dzieci światłości;
Wieńcem świeżego maju i rozkwitu
Oplata znowu kolebkę ludzkości.
Rozradowała się widownia bytu.
W potężnem tchnieniu ocknionej przyrody
Znów postać świata szuka siły młodej;
A jak się w różach rumieńcem rozbłyska,
Tak też różanej czerstwości, wyciska
Wiosna, na duszy ludzkiej pocałunek...

Czemuż, najlepsza ze wszystkich piastunek
Wiosno ty! życiem szafująca hojnie,
Czasem poskąpisz go już niejednemu,
Co po przybytej z życiem krwawej wojnie
Choć zwyciężony — niezwyciężonemu
Rówien w obliczu wieczystej miłości,
Omdlewa z trudu... odrzuciwszy zbroję
Żywota twardą! Czemuż wiosno, twoje
Ożywcze tchnienie dziś już nie zagości
W niejednej piersi biednej? Któż pokrzepi
Umarłych kwiatów serca mdłe kielichy?
Przez ciebie, wiosno! nowy sobie lepi
Dom owad drobny, a z tej formy lichej
W której duch mieszka, nic że już nie będzie,
Gdy się rozprzęgły jej żywotne spójnie?
Konary suche z nową wiosną bujnie
Kwitną — a ducha zużyte narzędzie
W proch ty rozsypiesz wiosno?..

„Umrzeć trzeba!
„I tak w pół drogi, a raczej na smętnem
„Bezdrożu... zkąd wziąć nie można do nieba
„Nieśmiertelności nic, co by pamiętnem
„Było przed Stwórcą — ciężki zgon! bolesny!
„Znaczyć ja będę na grzędzie cmentarnej
„Tyle, co proch ten z form moich rozkuty;
„W obec wieczności duch mój niepoczesny
„Stanie podobnie jak robaczek marny,
„Moim oddechem z praw bytu wyzuty—
„I umrzeć trzeba!“

Ostatnie to może
Myśli i uczuć suchotnika błyski...
Słyszy je, troskliw o śmiertelne łoże

Sieroty — jako niegdyś u kołyski
Czuwał — ów Anioł jego duszy biednej,
Ta jego „siostra“ lepsza!

„Droga Anno!
„Posłuchaj, co ci powiem, samej jednej
„Tu utrudzonej męką nieustanną
„Nad grobem — brata... Posłuchaj mię, siostro,
„Lecz nie płacz, ani się lituj nademną,
„Ani mię także nie sądź nazbyt ostro —
„Och, wszak przed sobą mam ja drogę ciemną...
„Cóż będzie, jeźli w tej ponurej nocy
„Dusza twa nie da mi jasnej pomocy?
„Co będzie, jeźli łza twa nie oczyści
„Mojego serca? — O, czuję na czole
„Tę łzę! i słodsza mi od lauru liści!
„Słodsza niż owe ponętne symbole,
„O których, Anno, brat twój marzył żywnie
„Pod starą lipą!.. Dziwnie to, przedziwnie,
„Jaka w tych dziejach mej duszy zawiłość...
„Brat! brat!—och, gdyby Bóg obdarzył zdrowiem,
„Anno, umiałbym ja zapłacić miłość...
„Umierający powiem ci to — powiem —
„Niech mojej piersi ulży tajemnica,
„Powiem: Ja kocham ciebie!...“

Jak bluszcz zwisły
Ku zgruchotanym posągom, dziewica
Poddała kibić w stronę, zkąd grobowy
Głos jęknął: „kocham“ — i takie wytrysły
Łkania z jej piersi, dotąd marmurowej,
Jak gdyby nagle wszystkich łez dziewiczych
Wstydliwa koncha, starannie przed światem
Skarb swój kryjąca — pękła...

„Tajemniczych
„Przeznaczeń rwie się nić... więc nie gardź bratem,
„Co ci kochankiem był, dobra istoto!
„Długo ja ciebie cenić nie umiałem...
„Matką mi byłaś, bo byłem sierotą;
„Żem marzył, byłaś mi więc ideałem;
„A opiekunką, bo byłem lękliwy,
„I powierniczką, bo byłem samotny;
„Lecz dziś — stracony dla cię — niech w prawdziwy
„Ujmę twą dobroć wyraz, niech stokrotny
„Dam mu w tem rozdźwięk, że ci go wyszlocham:
„O Anno, siostro dobra, ja cię kocham!
„Nad grobem kocham! ach, bo przeniewierca
„Złamałem śluby mej dobrej mistrzyni....
„Zwrot w życiu — i ta skłonność ku Maryni,
„Wiele to, wiele kosztowało serca,
„I patrz! czem moje wiarołomstwo płacę:
„Odchodzę — i na wieki — ciebie tracę!

„Słusznie, o słusznie! bo cóż z nieudałych
„Wysileń moich policzą u świata?
„U świata mężnych, zdrowych i wytrwałych
„Jakaż mi może nad grób być zapłata?
„Mnie, który w wierze, miłości i czynie
„Wątlejszy byłem od pajęczej tkanki,
„Czem ma odpłacić życie, w twardej glinie
„Zmuszone szukać ścian dla swej lepianki
„I gorliwości dać jej uczuć ognie,
„By w pośród zgiełku tego i hałasu
„Bezpieczne, że ich złość świata nie pognie,
„Używać mogło miru i wywczasu
„W biednej lepiance tej!...

„Już, już odchodzę.
„Bądź zdrowa, siostro moja, i kochanko!
„Mnie grób... lecz tobie świat jeszcze po drodze:
„Może innemu ty, pod tą lepianką
„Z gliny, hartownej ogniem męskich czynów,
„Domowych ognisk blask zatoczysz cichy...
„Oddajże światu dzielnych, zdrowych synów,
„O głowie bez snów i sercu bez pychy!
„Do dębów skłonnych raczej niż wawrzynów!..
„Na taką drogę ja ci błogosławię
„Z duszy, żegnając... najlepsza istoto!
„O, wspomnij wtedy o tym Bolesławie,
„Co był sierotą — i umarł sierotą
„Chociaż miał ciebie!..

Jako zawahane
Światło, gdy lampa oliwy niesyta,
Ostatnie kręgi swe tocząc świetlane
Za oczy chwyta: tak za serce chwyta
Wyraz gasnący na młodzieńca twarzy...
Jakby w ostatnim istnienia przeciągu
Iskierka życia jeszcze się w niej żarzy:
Chwila — i w pomrok zapadła posągu.

XII.

Mogiło cicha! mów światu swe dzieje!
Zapłacze może — może co skorzysta...

Pytacież jeszcze o dalsze koleje
Anny? Jak każda dusza cicha, czysta,
Wciąż ona żywi wiarę i nadzieję!
Wciąż świeci, niby gwiazda promienista,
Na swej pogody duchowej lazurze;
A nawet w swojej serdecznej żałobie

Niemniej rumieńca ma, jak owe róże
Sadzone ręką jej na Bolka grobie!

Zaś Marya pono „nudzi się“ w pożyciu
Z ,,mężusiem“ swoim, który mocną ,,główkę“
Ma — tudzież mocno ma się ku roztyciu;
Więc nieraz biedak usłyszy przymówkę:
„Mógłbyś się zająć czem — choćby rzemiosłem,
„Kiedyś marszałkiem nie został, ni posłem...“

Pan Michał tkliwie uczuł zgon, tak marny,
Swego pupila, pochylił grzbiet stary;
Lecz zawsze ten sam rolnik gospodarny,
I ten sam wiarus, gotów pod sztandary
Ruszyć na odgłos pobudek serdecznych...
Więc choć wiek gniecie, blizny, kraju troska,
Stu bohaterów jeszcze tegowiecznych
Przetrwa ta czerstwa natura piastowska.

KONIEC.

Kilka szczegółów do charakterystyki ś. p. Henryka hr. Rzewuskiego.

(Dokończenie.)

Kilka ciekawych szczegółów o Rzewuskim podał w Kłosach hr. Stecki, sąsiad jego na wsi. Ostatnich kilka lat życia spędził Rzewuski w majętności swej na Wołyniu, w Cudnowie, gdzie miał dom wiejski wygodny, acz nie pański, i obszerny ogród, którego urządzanie ulubioną jego było rozrywką. Smutna to była starość tego człowieka, nie wyjeżdżał nigdzie prawie, osamotniony i opuszczony był i od sąsiadów. Urzędowanie, pobyt w Warszawie, podróże, nieład nareszcie, nadwerężyły tak bardzo niepańskie jego mienie, że w ostatnich czasach zaledwie na najskromniejsze utrzymanie mu starczyło, a wszelkich wygód nawet kuchni dostatniej, którą lubił tak bardzo, odmawiać sobie musiał; niedostatek często pod hetmański ten dach zazierał. Na lat parę przed śmiercią upadł na umyśle zupełnie, a tknięty rodzajem paraliżu mowę miał trudną, prawie niezrozumiałą, usta wciąż otwarte, pisać przestał oddawna, nie czytywał już nawet prawie, bo mu pamięć nie służyła, wpadł nareszcie w stan zupełnego zdziecinnienia. Wtedy to wzniosłego prawdziwie poświęcenia i najczulszej opieki doznawał od żony z domu Grocholskiej, dla której w życiu nie zawsze bywał wzorowym małżonkiem. Zacna ta pani, prawa, rozsądna, najlepsza Polka, rokiem tylko przeżyła męża; oboje w murowanym grobie pochowani w Cudnowie. Jedną z nielicznych domowych cnót Rzewuskiego, stale od początku do końca życia przechowywaną, była jego wiara religijna, na nienaruszonych zasadach katolicyzmu oparta; bronił on jej zawsze w pismach swoich, nie cierpiał filozofowań w tej materyi, a wolteryanizm miał w nim zawsze stałego i zaciętego wroga. Pod koniec życia z budującą przykładnością oddawał się nawet praktykom religijnym. Każdej też niedzieli i święta w kościele Cudnowskim można było widzieć obojga Rzewuskich w kollatorskiej ławce na książkach nabożnie modlących się; w dnie zaś uroczyste Rzewuski, dziwak jak zawsze, przywdziewał mundur moskiewski, zawieszał wszystkie swe ordery, których miał kilka, a na głowę kładł polską konfederatkę, i w takim stroju wyruszał do kościoła.

Rzewuski, jak wiemy, nie zostawił męzkiego potomka, dwie tylko córki, obie zamężne, choć w seperacyi z mężami — obie poza granicami kraju przebywając — rzadko tylko odwiedzały ojca, ostatnim nawet chwilom jego przytomne nie były. Nie wchodząc w rozbiór spraw tych domowych, nie możemy wszakże wynurzyć zdziwienia, że żadna z tych pań, ani ich mężowie, nie przyłożyli starań, aby się utrzymać przy Cudnowie, rodzinnej majętności ojca, od stu lat przeszło po rozbiorze ordynacyi Ostrogskiej w rodzie Rzewuskich zostającej. Miasteczko z dawnym kościołem, z pięknemi ruinami drugiej Po-Bernardyńskiej świątyni, z grobami nareszcie właścicieli, i parę okolicznych folwarków — wszystko to kupiła jakaś generałowa moskiewska. Stecki malowniczo opisuje siedzibę autora Soplicy. W parę lat niespełna po śmierci obojga Rzewuskich, pisze on, zwiedzałem to miejsce; pustka i zniszczenie, jakby po wojnie świeciły tu zewsząd. Dom był opuszczony, sufity pozapadały, deszcz przez dach dziurawy lał się na stary fotel skórzany, na biórko, przy którem pisywał Rzewuski, gdzie poczęte zapewne zostały Pamiątki Soplicy i tyle innych zachwycających utworów jego. Kosztowniejsze sprzęty i graciki w domu sprzedano żydom, na ścianach ostały się tylko familijne portrety, jakby dla większego urągowiska temu zniszczeniu. W jednym pokoju, lepiej nieco utrzymanym, w kilku szafach znalazłem jeszcze bibliotekę nieboszczyka, której sprzedać nie zdołano — przesadzono bowiem jej wartość; bo rzecz dziwna, księgozbiór ten autora Listopada nie był ani liczny, ani wspaniałością wyboru nie zalecał się. W zbiorze, nie przenoszącym 2 tysiące tomów, połowa prawie składała się z samych klasyków francuskich, rzeczy polskich było tu niewiele; stos dyaruszów sejmowych, trochę kronik, mnóstwo

dzieł defektowych, po śmierci zapewne Rzewuskiego rozproszonych, otóż i wszystko. Dotąd podobno biblioteka ta na nabywcę oczekuje. Zaszedłem do ogrodu, i tu pustki, drzewa były powalone, ulubione krzewy właściciela zarosłe zielskiem i chwastem, domek bramnika rozwalony, ogrodzenie od miasta opadło — kozy i krowy z miasteczka spacerowały tu spokojnie, jakby na własnych śmieciach; pustka, zniszczenie tej wiejskiej ulubionej siedziby sławnego człowieka były przerażające — uciekłem co żywiej.

Z artykułu hr. Steckiego umieszczamy tu jeszcze wzmiankę o rękopismach, które się znalazły po śmierci Rzewuskiego. Mało kto wié zapewne — pisze Stecki — że po zmarłym przed laty kilku hr. Henryku Rzewuskim pozostały w rękach dwóch jego córek, hr. Czapskiej i Ciecierskiej, ciekawe rękopisma nieboszczyka, na które dotąd nie znalazł się nakładca, pomimo że go, o ile wiemy, poszukiwano. Przeglądaliśmy ciekawie tę spuściznę, wśród której zrobiwszy wybór, wiele rzeczy dałoby się dziś jeszcze ogłosić, pomimo bowiem całej niepopularności jego, nikt nie zaprzeczy, że zmarły był jednym z najniepospolitszych naszej epoki pisarzy. Niektóre z pozostałych rękopismów, a jest ich sporo i mogłyby kilka tomów druku wypełnić, sam Rzewuski nigdyby nie był drukował, chocby był jeszcze przy życiu. Są tam bowiem prace z pierwszych lat zawodu pisarskiego autora Soplicy, niektóre nawet z roku 1834. Taką datę nosi mianowicie bardzo obszerny manuskrypt zupełnie wykończonego dzieła p. t. O stosunkach literatury z historyą. Manuskrypt ten opatrzony w dedykacyą bratu autora, Adamowi, widać że do druku był przygotowany; prócz tego między temi papierami znaleźliśmy rzeczy bardzo ciekawe, w których nie zaparł się talent autora Soplicy, inne, których treść traktująca o bieżących kwestyach, straciła wiele przez przedawnienie, inne nareszcie już z pozoru samego bardzo na płody Jarosza Bejły wyglądające. Musiałyby więc te manuskrypta znaleźć kompletnego wydawcę, któryby je uporządkował, niektóre bowiem zeszyty ani są intytułowane, ani dokończone. Jako najciekawsze z tych papierów przytaczamy tu obszerne Uwagi nad Romansem, rozprawę bardzo zajmującą, dalej Myśli przelotne Teterowianina, zawierające liczne rozprawki, między któremi uderzyła nas rzecz o rozwoju języka i stylu polskiego, dalej Otia domestica o rzeczach towarzyskich, społecznych i literackich, dziełko o Lemenai'm i wiele innych filozoficznej i belletrystycznej treści rozprawek. Z wyjątkiem dzieła o stosunkach literatury z historyą, wszystkie zeszyty pisane są własnoręcznie przez Rzewuskiego. Pismo charakterystyczne, wprawne i czyste, snać autor miał wielką łatwość pisania, w brulionach bowiem rzadko gdzie spotyka się kreślenia i poprawki.

Nie należące do tego zbioru — pisze Stecki — a o których istnieniu wiemy tylko z pewnością, są obszerne dwutomowe Pamiętniki pośmiertne autora Listopada; te niezawodnie muszą być ciekawsze o wiele od reszty pozostałych po nim papierów. Szczególny los spotkał ten ostatni rękopism Rzewuskiego, córki bowiem nie mogąc się pokombinować co do własności jego, pozostawić miały każda po jednym tomie przy sobie, tym sposobem do czasu rozstrzygnienia prawa o własności jednej z sukcesorek uniemożebnione jest i wydanie tych pamiętników. — Tyle w artykule hr. Steckiego o papierach po Rzewuskim.

Pomimo gniotących go częstokroć trosk materyalnych, pomimo nieustannych kłótni i swarów z całem niemal obywatelstwem swojej prowincyi, jak i z literatami, których zaczepiał nieustannie, Rzewuski do końca życia prawie był humoru nadzwyczaj wesołego, żarty i dowcipy sypał jak z zarękawa, a Warszawa i Wołyń bawiły się niemi, choć autora nie lubiono. Do charakterystyki jego dołączamy tu kilka znanych w kole, w którem żył, anegdot o nim naprędce zebranych. *Le style fait l'homme*, powiedział ktoś tam, otóż i te anegdoty o Rzewuskim potrzebne prawie dla uzupełnienia charakterystyki jego.

Raz, a było to na wyborach szlachty wołyńskiej w Żytomierzu, do sali obrad wszedł gubernator miejscowy Łaszkarew, a usłyszawszy zgromadzoną szlachtę gwarno i głośno rozmawiającą po polsku, skrzywił się i prosił, aby rozmowę prowadzono w języku krajowym. Wtedy Rzewuski, podówczas marszałek żytomirski, wysuwa się na środek i z miną niby poważną, a pod którą tak dobrze zawsze komizm przebijał się, woła na głos językiem chłopskim Rusi polskiej: „Panowe hromada! pojmajete, szczo pan gubernator skazaw, wolno wam howoryty po żydowski, po francuźki, po cygański, byłe ne po laszomi, bo pan gubernator serdytsia.“ Śmiech homeryczny oczewiście rozległ się w sali — a pan gubernator umknął z niej co żywo.

Inną razą tenże sam Łaszkarew zaaresztował fabrykanta powozów, osiadłego w majątku Rzewuskiego w Cudnowie, pod pozorem knowania buntowniczych zamiarów. Kwestyą buntu podnosił gubernator, ile razy w kieszeni jego były pustki, co mu się, że żył bez kredki, często przytrafiało. Pan marszałek, vulgo Soplica, dowiedziawszy się o tem, spieszy natychmiast do niego i powiada: „Panie generale, uwięziłeś mi fabrykanta. Być może, że i słusznie, ja ci nie będę taił, że go sam podejrzywam o tendencye rewolucyjne, ale ani ja, ani pan, nie możemy wiedzieć, jak wysoką może być jego wina, kiedy przeciwnie tuż obok siebie masz buntowników, jako takich już notorycznie znanych, n. p. hr. X., który ma 6 milionów złp., p. J. mającego ich przeszło 4, mój zaś fabrykant nie musi mieć więcej nad 10 tysięcy rubli, tak, że mojem zdaniem państwo nie wiele zyska z jego uwięzienia i jego zeznań, jenerała zaś posądzą o słabość, że nie śmiesz się targnąć na tych, którzy z natury rzeczy są na czele buntu; radzę więc z lekkiem upomnieniem puścić go na wolność.“—Nie

wiemy, czy upomnienie nastąpiło i w jakiej ilości rubli było sformułowane — ale fabrykant wolność odzyskał.

Ś. p. Henryk Rzewuski miał dwóch braci, starszego, dotąd żyjącego Adama, generała adjutanta armii rosyjskiej, i młodszego Ernesta, zmarłego przed parą laty oficera od Kozaków moskiewskich, następnie pułkownika od huzarów. Wszyscy trzej zarówno dowcipni, rozumni jak wszyscy Rzewuscy, w swoim czasie bywali duszą towarzystw, kochali się też bardzo wzajemnie. Ale wszystkich trzech opinia w Polsce potępiała nie bez słuszności pod pewnym względem, za zasługiwanie się i nieustanne dworactwo rządowi moskiewskiemu, za trzymanie się służby, częstokroć ani stanowisku ani wielkiemu ich imieniowi nieodpowiednej; to też byli osławieni i niepopularni u swoich, pomimo niezaprzeczonych swych zalet towarzyskich. Najgorzej ze wszystkich w oczach narodu stał Adam, generał, łaską carską, zaufaniem i orderami zaszczycony, a którego nawet pierwsza żona, Żerebcowa, Moskiewką była z rodu. W r. 1860 przed samem powstaniem polskiem, a już podczas agitujących się w Warszawie wypadków i demonstracyj politycznych, zjechali się trzej bracia Rzewuscy, i zakłopotani tem, co się dokoła działo, na seryo nad swem położeniem i nad stanowiskiem wobec rozgorączkowanego narodu zastanawiać się i rozmyślać poczęli. Kiedy tak walną między sobą składają naradę, co począć i jak się zachować mają, Henryk, który zamyślony zdaleka się tylko żywej dyskusyi braci przysłuchiwał, powstał nagle, i jakby mu myśl jakaś zbawienna do głowy przyszła, zawołał: „Poczekajcie bracia, mam projekt gotowy, wyborny, za skutek zaręczam: oto, aby odzyskać popularność, rehabilitować się w opinii ogółu, urządzimy demonstracyą — ogromną demonstracyą, a wiecie, że to dzisiaj w modzie i na dobie — wyborny, szczęśliwy pomysł“ — i uradowany zacierając ręce przechadzał się po pokoju. „Jaką demonstracyą, powiedz, zmiłuj się“ — wołali bracia, w których jakby duch nowy wstąpił. — „A no, rzecz najnaturalniejsza, jasna jak dzień, słuchajcie.—Wiecie, że Adaś z nas wszystkich najniepopularniejszy — otóż nie namyślając się, z wielkim rozgłosem, my dwaj, Ernest i ja, jako złego Polaka, powiesimy go, a wtedy obaczycie bracia, jak my dwaj górą staniemy, jak spokojni już o siebie będziemy. A co, czy niedobra rada? Ho, ho, moi panowie, znam ja dobrze swoich, obaczycie, jak czołem nam bić będą i uwielbiać patryotyzm Rzewuskich.“ Bracia parsknęli śmiechem i przyznali, że koncept był wyborny.

Feldmarszałek Paszkiewicz, który jak mówiliśmy, obejść się w ostatnich czasach bez Rzewuskiego nie mógł, przejeżdżał się z nim często w jednym pojeździe po ulicach Warszawskich i po za miastem. Otóż na jednym z takich spacerów spostrzegłszy, że chustki od nosa zapomniał, i napróżno przeszukawszy wszystkie kieszenie, zwrócił się do Rzewuskiego i rzekł ze śmiechem: „Nie ma rady, hrabio' trzeba tą razą zrobić po waszemu, po polsku“—i to mówiąc zrobił giest pospolity przykładając dwa palce do nosa. Ale Rzewuski nie zmieszany tym trywialnym konceptem, schwycił go za rękę: „Ale po co — rzekł — czyż niewłaściwiej byłoby, abyś pan hrabia i w tej przygodzie zastosował się do obyczajów swojego narodu nie szukając ich u obcych? Oto ja się odwrócę i uważać niby nie będę, a pan hrabia sięgniesz tylko ręką do mojej kieszeni, a znalazłszy w niej, czego żądasz, jako swojej własności użyjesz i króciej i lepiej *pro domo sua.*“ — Rzewuskiemu i ten koncept jak wiele innych płazem uszedł.

Przycinał p. Bejła drugim, przycinali nieraz i p. Bejle. Raz w salonie znanej z rozumu i dowcipu swego w Warszawie pani St. grzał się Rzewuski przy kominie, ubrany w świeże paliowe rękawiczki, i machinalnie ogień szczypcami poprawiał. Naraz spostrzegłszy zwalane rękawiczki: „A to dziwne“, zawołał z przyciskiem zwracając się do gospodyni domu — „do czego się nie dotknę, zawsze się zawalać muszę.“—„Prawda, i w życiu i w pismach dowiodłeś pan tego nieraz“ — odpowiedziała spokojnie pani S. Zmieszał się Rzewuski i rękawiczki do ognia rzucił.

Rzewuski, który, przyznać mu to trzeba, sam nigdy nie kłamał, nie cierpiał blageryi salonowej i gdzie mógł ostro ją zawsze gromił. Zdarzyło się raz, że w obecności jego pewien młody człowiek, który z Berlina powracał, a znany był, że przechwalając się, często się z prawdą rozmijał, cuda zgromadzonym o swoim pobycie w stolicy Germanów opowiadał. Rzewuski jak inni przysłuchiwał się w milczeniu; zniecierpliwiony nareszcie, w chwili, kiedy p. X. unosząc się nad wykładem nauk filozoficznych, których słuchał jakoby w tem mieście, wpadł w największy zapał oratorski: „Proszę też pana kochanego“, przerwał mu Rzewuski, a po czemu śliwki w Berlinie?“ Wszyscy w śmiech, a mowca opowiadania nie dokończył.

Jakkolwiek Rzewuski był sam nadto uczonym pisarzem, aby się współzawodnictwa mógł lękać, wszystkich jednak w ogólności literatów nie lubił i łatki im często, zwłaszcza początkującym przypinał. Do czcigodnego ś. p. Alexandra Przezdzieckiego żywił jakąś szczególną zawsze niechęć i żartował sobie zawsze z pism jego, z których pierwsze nie nosiły na sobie rzeczywiście cechy tej zasługi, jaką w poźniejszym czasie uczony ten badacz dziejowy zdobyć sobie potrafił. Miał słabostkę w pierwszych swych utworach literackich Przezdziecki, że się często rozwodził nad rodowemi kolligacyami swojemi, a mianowicie często powracał do pokrewieństwa swego przez matkę z domu Radziwiłłów. Nie uszło to bystremu oku Rzewuskiego, który przerzucając raz w towarzystwie świeżo wówczas wydane przez Przezdzieckiego obrazki Wołynia i Podola, zawołał okazując książkę obecnym: „*Przezdziecki n'en finira jamais avec ses Radziwill—remarquez seulement: cet homme me fait*

toujours l'effet d'une mule ne parlant jamais de son pere l'ane mais de sa mere la jument."

Ludwik Stecki, dziedzic Międzyrzecza, człowiek szlachetny i dobrego serca, który w 1831 roku stanął na czele pułku z nadwornych swych kozaków uformowanego; pomimo swych zasług znany był w boju z dość słabych zdolności i głowy nie tęgiej. Raz na wyborach w Żytomierzu wystąpił Stecki w bogatym stroju polskim, w pasie karpią łuskę naśladującym. Rzewuski zbliżył się do niego, a klepiąc go po brzuchu rzekł do obecnych: „Patrzcie panowie, po raz pierwszy u karpia widzę brzuch lepszy niż głowę."

Zmarły niedawno w Warszawie ś. p. Mieczysław Pruszyński, marszałek Ptu Staro-Konstantynowskiego na Wołyniu, od urodzenia miał znamię na czole wielkości laskowego orzecha. Rzewuski widząc go powtarzał zawsze:



DOM RODZINNY TARASA SZEWCZENKI
W KIRYŁÓWCE.

„Bodaj-to powiat Konstantynowski, żaden inny bogactwem mu niewyrówna; patrzcie u marszałka nawet kartofle na łbie rosną."

Przed kilku laty wyszły w Paryżu „Próbki historyczne" Rzewuskiego, niektóre luźne rozprawki jego zebrane przez Bolesławitę, które dotąd drukowane nie były, poprzedzone wspomnieniem o życiu i stanowisku literackiem autora Soplicy. Ze zdaniem Bolesławity o tym pisarzu nie zupełnie godzimy się, mianowicie w zapatrywaniu się na religijne wyobrażenia Rzewuskiego, które o wiele mniej nacechowane były bigoteryą, jak to chce mieć Bolesławita; były szczersze i prawdziwsze, i to właśnie jedyną może było jego zasługą w życiu, a tych zasług miał nie wiele, abyśmy mu ich ujmować jeszcze mieli; zwracamy jednak uwagę czytelników na kilka dowcipnych w tym życiorysie anegdot o zmarłym, które dopełnią to, co już o nim powiedzieliśmy.

X...

Przygody Tomasza Stanisława Wolskiego

ADMIRAŁA FLOTY PAPIEZKIEJ.

(RYS HISTORYCZNY.)

Przez J. GORDONA. *)

Tam gdzie Warta toczy swe nurty spienione, żył swojego czasu Onufry Wolski, szlachcic mienia dobrego, kochający swojszczyznę, zawsze gotów do korda i różańca, szanowany przez rodzinę i sąsiadów, dla których chata jego zwyczajem staropolskim stała zawsze otworem.

Wprawdzie do siedziby pana Onufrego, w czasach najazdów dziczy, nie prowadziły żadne drogi, wprawdzie otaczały ją lasy, manowce i knieje; pomimo to każdy z braci szlachty odkrył do niej ścieżkę, gdy chciał zasięgnąć dobrej rady, pomocy, lub spełnić rostruchan na pomyślność gospodarza.

Pan Onufry też zwykł był mawiać, że „gość w dom, Bóg w dom.“

Miał on dwoje dzieci: dziewczynkę Jadwisię i lubego chłopca Tomasza.

Skoro mały doszedł lat ośmiu i odebrał początkowe wychowanie od matki i domowego kapelana, wtedy Jan Czapski, kasztelan Chełmiński, spowinowacony z rodziną Wolskich, naparł się jako bezdzietny, żeby mu oddano chłopca na wychowanie. Nadaremne były łzy matki; pan Onufry wytłumaczył jej, że prędzej czy poźniej rozstałaby się z synem, bo ten doszedłszy do wieku młodzieńczego dostałby stępaka, karabelę i musiał w świat wyruszyć. I to rzekłszy zakręcił wąsa i oddał Tomka kasztelanowi, aby za jego pomocą wyszedł na człowieka z pożytkiem dla Boga i ludzi.

Została im na pociechę Jadwisia, która pięknością i cnotami celowała w okolicy.

Kasztelan prowadził dwór wielce okazały, w jego iglastych borach odbywały się przez orszaki panów z okolicy słynne polowania na dziki i niedźwiedzie, w starożytnych komnatach zamczyska zasiadały matrony w robronach, czekające na mężów, rychło wrócą z łowów lub wypraw rycerskich. Tam to właśnie wychowywał się Tomasz Wolski, a kasztelan miarkując z jego postępu w naukach, że mu nie brak bystrości umysłu i wrodzonego dowcipu, pokładał w nim wielkie nadzieje.

Rodzice cieszyli się też z powodzenia syna i byli spokojni o los swego chłopięcia, przewidując dlań świetną przyszłość i pocieszając się myślą, że o ile z wiekiem chylą się sami ku ziemi, o tyle dziecię ich wzrasta w siłę i męztwo, w bogactwo przymiotów rozumu i serca.

Lecz nie ma na świecie szczęśliwości stałej! Krewni kasztelana, postrzegłszy wzmagające się codziennie przywiązanie jego do dorastającego Tomasza, obawiając się, iżby nie przybrał go za własnego syna i nie oddał mu całego mienia, spiknęli się w celu osłabienia przychylności starca ku młodzianowi.

Jejmość intryga, gnieżdżąca się zwykle w pałacach możnych panów, nie próżnowała w tym razie i przy pomocy dworzan i ich sprzedajnej czeladki dopełniła reszty. Poczęto nasuwać Tomaszowi wszelkie sposobności do nieprzyzwoitych czynów, aby go tem snadniej oczernić przed światem, następnie zaś za pośrednictwem wyrobionej sztucznie opinii spotwarzyć wobec dobrodzieja.

Intryga dopięła zamierzonego celu.

Tomasz dzięki jej zabiegom, począł wychodzić powoli z łask i zaufania opiekuna, postrzegłszy zaś, iż jest otoczony zewsząd zgrają nieprzychylnych sobie domowników i pieczeniarzy, sprzykrzył sobie tak niegdyś miły dwór i powrócił do rodziców.

Szczęściem, że wywiózł był z sobą wiedzę nabytą nauką i doświadczeniem, gdyż za przybyciem w domowe progi zastał ojca obarczonego już wiekiem, podupadłego na majątku i wielce zgryzionego przygodą jedynaka, choć starał się tego nie okazywać. Słowem Tomasz zobaczył od razu, iż nie długo przyjdzie mu popasać pod rodzinną strzechą, i że trzeba w świecie szukać karyery.

Zdarzenie mieć chciało, że jednocześnie bogaty sąsiad Wolskich powziął zamiar wysłania synów swoich dla kształcenia za granicę, oceniając zaś w panu Tomaszu rozwagę, niepospolitą przytomność umysłu, tudzież znajomość obcych języków, prosił ojca, aby mu pozwolił towarzyszyć jego dzieciom w podróży.

Sędziwy starzec, widząc w tem korzyść jedynaka, jakkolwiek czuł się już upadającym na siłach, pobłogosławił synowi i w dodatku ofiarował mu na drogę najdzielniejszego rumaka ze stadniny i najlepszą szerpentynę ze zbrojowni swojej.

Następnie kawalkata młodych ludzi wysłuchawszy na klęczkach mszy św., pocałowawszy patynę podaną im przy ołtarzu przez sługę bożego, po tkliwem pożegnaniu ze swoimi puściła się konno w świat szeroki.

Młodzi ci szlachcice zwiedzili Czechy, Austryą, Niemcy, Alpy i Karpaty. Wolski przez cały ciąg podróży

*) Z materyałów zebranych w Rzymie staraniem M. Bronisza.

oddawał się badaniom miejsc i narodów; lecz jako człowiek wyższego jeniuszu poznał tę prawdę, że w morzu nauk niczem jest kropelka, której nabył w zamku kasztelana, i że mu zbywa jeszcze na elementarnych wiadomościach do odbywania skutecznie studyów za granicą. Rzekłszy tedy do towarzyszów, że aby módz korzystać, podobnie jak to czynią cudzoziemcy, ze wszystkich darów przyrody, trzeba wykształcić swój umysł na równi z nimi, skłonił kamratów do powrotu do kraju.

Tomasz zastał już ojca na łożu śmiertelnem, jakby oczekującego na syna, żeby mu zamknął powieki; co też i wkrótce nastąpiło.

Jadwisia będąc wtedy dorastającą panienką, pracowitą i wychowaną zwyczajem dawnym na dobrą i rządną gospodynią, zajęła miejsce skołatanej cierpieniami matki i wzięła zarząd domu. Tomasz zaś wystawiwszy nagrobek p. Onufremu, sprowadziwszy jednego z bliskich krewnych do zarządu ogólnego majątkiem, sam udał się do Warszawy, wyłącznego podówczas siedliska nauk w Polsce, i zapisał się do kolegium OO. Jezuitów.

Nie zasmakował atoli w zimnej nauce scholastycznej i nie odpowiadającej dążnościom narodów cywilizowanych zakonu Jezusowego. Zrozumiał, że nauka ma jeno dla ludzkości znaczenie nie jako abstrakcya, lecz jako narzędzie, jako oręż, jako podstawa żywotna, jako dusza czynu; że tylko wtedy, gdy bierze udział w sprawach i działaniach człowieczych, staje się ona płodną mistrzynią; tylko wtedy kładzie na swe skronie wieniec zasługi obywatelskiej. Tyle życia ile w czynie.

Otóż za poradą życzliwych swych znajomych i przyjaciół porzucił scholastyczny zakład i przeniósł się do konwiktu księży Pijarów, do owych wiekopomnych szkół, istniejących w Warszawie aż do czasów powstania 1830 r.

Zakład Pijarów, w smutnych epokach otrętwienia narodu na wszystko, co jest wzniosłe i piękne, w chwilach wygórowanego pedantyzmu i dziwactw, stał zawsze na straży czystości narodowej, budził z uśpienia, praktykował czynnie wiedzę, szerząc ją w zastosowaniu do społeczeństwa; gdy Jezuici byli jak owi Kalifowie wschodu, co gromadzili w swych murach kwiat uczoności, atoli narody ich nie nabyły przez to oświaty, nie stały się postępowemi i rozwiniętemi, gdyż osiadła na dworze bogini nauk mieszkała zdaleka od nich.

Mędrków scholastycznych, co to wlepiwszy oczy w martwe głoski bibulastych arkuszy, odwracają się od życiem drgającej natury, co to badają księgi a nie przedmioty przez nie opisane, przyrównać można do papug, znających nazwiska, nie zaś rzeczy, lub orangutanów, przed którymi napróżno leżą brylanty.

Tomasz Wolski, wzmocniwszy się u Pijarów w naukach oddziaływających promienisto na polskie społeczeństwo, utwierdziwszy się w cnotach obywatelskich, zwrócił na się uwagę ludzi znakomitych, zjednał sobie protektora w osobie Jana Nestorowicza, kasztelana Brzeskiego, męża zarówno w pokoju jak w wojnie wsławionego, którego król mile widywał.

Kasztelan tedy polecił pana Tomasza osobiście Augustowi II.

Po zupełnem więc ukończeniu kursów, objawiwszy ostatecznie chęć wyjazdu za granicę celem dokonania rozpoczętych tam prac, z pomocą ludzi znanych z nauki i znaczenia, otrzymał pan Tomasz ułatwienie ku temu zarówno od króla jegomości, jako i prymasa ówczesnego.

Tak uposażony, gdy z bijącem sercem zbliżał się do wrót domowej zagrody, kapelan wyszedł na spotkanie młodego dziedzica z oracyą, kropidłem i wodą święconą, luba zaś Jadwisia z chlebem, miodem i solą.

Wypadki zatrzymały dłużej niż zamierzał naszego bohatera na wsi. Młodzian ten, obdarzony wyższym poglądem, przewidywał nadchodzącą burzę na horyzoncie politycznym Europy, albowiem król polski August II. przyrzekł na elekcyi odebrać z rąk tureckich, przy pomocy swego wojska saskiego, Podole i Ukrainę; widział on także niezadowolenie narodu z powodu zawarcia przymierza Augusta z carem Piotrem Wielkim i Fryderykiem IV., królem Duńskim. Dla tego postanowił zostać w domu, zajmując się gospodarstwem, dopóki rzecz wyjaśnioną nie będzie.

I nie pomylił się w domysłach, gdyż August napadłszy na młodego króla szwedzkiego, Karola XII., w celu odzyskania Inflant, pobity i ze sprzymierzeńcami Moskalami i Duńczykami w popłoch rzucony został (1700 r.)

Mężny Karol XII. wszedłszy w granice Polski oznajmił, iż nie z narodem, lecz z jego monarchą dopóty bój toczyć będzie, dopóki nie zmusi go do złożenia korony.

Polacy nie tylko że nie stawiali oporu, lecz pomagali jeszcze Karolowi, gdyż Sas wojnę tę straszną bez woli narodu rozpoczął.

Karol XII. przy pomocy panów polskich zajął tedy bez trudów Warszawę, Kraków, Lwów i Toruń; a trzy wojska: szwedzkie, saskie i moskiewskie, plądrując po kraju, ogniem i mieczem go pustoszyły.

Nareszcie Karol skłonił sejm polski do złożenia z tronu Augusta, a polecił wybrać na króla Stanisława Leszczyńskiego, którego poznał w czasie tej wojny.

Panowie polscy wypierając się Augusta, wciągnęli do hufców i Wolskiego, okazującego zamiłowanie do wojaczki.

Atoli stało się ślepym trafem wojny, że wsławiony zwycięzca Karol XII. pokonany stanowczo został przez Moskali w pamiętnej bitwie pod Pułtawą (1709 r.) i uszedłszy do Benderu oddał się pod opiekę Turcyi.

Wtedy to Fryderyk August dowiedziawszy się o klęsce swojego wroga, wystąpił z Saksonii, odnowił przymierze z Piotrem Wielkim, a nawet zrzekł się Inflant i Estonii

za posiłki obiecane przeciw Leszczyńskiemu, zwalił go z tronu i sam na nim osiadł, prześladując niemiłosiernie wszystkich tych, którzy forytowali nieszczęśliwego Stanisława.

Tak więc młody Wolski, jako popierający w interesie ojczyzny króla rodaka i zmuszony podnieść oręż przeciw swemu osobistemu dobroczyńcy Sasowi, ujrzał się nagle zagrożonym zemstą ostatniego i zmuszonym do natychmiastowego opuszczenia kraju.

I tak Tomasz Stanisław Wolski pierwszy rozpoczął smutny szereg wychodźców polskich, znacząc swojemi stopy pochód tułaczy na ciernistej drodze ofiar, którą naród miał iść od tej pory.

Przebywszy szczęśliwie Ruś Czerwoną, znane mu Karpaty i Tyrol, dostał się do Rzymu, zkąd postanowił udać się do Jerozolimy.

Otrzymawszy posłuchanie u papieża, Benedykta XIII., wyjawił mu swój zamiar. Ojciec św. opatrzył go na drogę błogosławieństwem apostolskiem, wśród licznie zgromadzonego ludu, zdjętego ciekawością ujrzenia urodziwego i szlachetnej postaci Polaka, mającego odpłynąć na okręcie francuzkim do grobu Zbawiciela.

W Malcie, gdzie zwykle zatrzymują się statki, korzystając z okoliczności przedstawił się pan Tomasz wielkiemu mistrzowi kawalerów maltańskich. Ten poznawszy w ziomku naszym żądzę nauki i sławy, zachęcał go, aby za powrotem z Palestyny obrał sobie stan wojskowy. Przypadła ta rada bardzo do smaku Wolskiemu i odtąd nosił się wciąż z tą myślą, różne świetne snując projekta podczas podróży morskiej.

Lecz gdy wśród słodkich marzeń kołysał się młodzieniec wraz z okrętem, wolnemi popychanym falami do Archipelagu, nagle silny wiatr zabębnił szybami w okienku jego kajuty, a czarne chmury poczęły żeglować po niebios sklepieniu.

Stada wron morskich białego koloru (mewy) z piskiem przelatywały. Foki i rozmaitego kształtu ryby blisko okrętu niespokojnie krążyły. Przyglądał się im Wolski wielce zaciekawiony, nie rozumiejąc znaczenia tej przemiany w przyrodzie.

Tymczasem marynarze zaczęli się zbierać na pokładzie i ściągać żagle, składać liny, podnosić barki przyczepione do nawy okrętowej i uprzątać wszystko, co stało luźnie nie przymocowane do pokładzie. Pod pokładem nawet zabrali się do pakowania rozrzuconej tam i owdzie odzieży, strzelb i sprzętów, a czynili to z pospiechem, jak gdyby zamiarem ich było wynosić te rzeczy na furmanki, aby je powieść na stały ląd.

— Co to wszystko ma znaczyć?! — zawołał zdziwiony pan Tomasz do jednego z krzątających się pilnie majtków.

— To znaczy, mój dobrodzieju, że będziemy mieli burzę — odrzekł spokojnie majtek kładąc do ust tytoniową prymkę.

I niezadługo rozpoczęła się w rzeczy samej straszliwa symfonia rozhukanych żywiołów, o jakiej nie mają wyobrażenia ci, co nie byli nigdy na pełnem morzu. Ale są to cuda przestrzeni, przepaści, nazbyt wielkie, aby można je określić.

Powietrze się nagle ochłodziło. Słońce, gwiazdy, woda, znikły pośród mgły, a okręt, ilekroć razy fale wyniosły go w górę, zdawał się być zawieszony, jakby przed stworzeniem świata, między pierwiastkami ziemi i niebiosami w chaosie bez granic.

Potem mgła się rozpierzchła i zawył huragan, jakby rykiem stu niedźwiedzi; bałwany zaczęły się rozbijać o burty statku, rzucając pianę dokoła, morze wrzało.

Pan Tomasz, chwyciwszy się oburącz żelaznej zapory u wnijścia do kajuty, wpatrywał się w ów nieznany sobie, a tak pełen wspaniałości, majestatu i grozy widok burzy morskiej.

Tymczasem trzask okropny masztów, bieganie po pokładzie służby okrętowej, krzyk kapitana i jego pomocnika, wydających rozkazy załodze, świst piszczałki sternika, zgrzyt roztaczających się łańcuchów, przygrywały na dziką nutę rozkiełznanym żywiołom przyrody.

Zdala zaś gromadziły się brzemienne chmury w jednę masę, litą niby skała, zionącą błyskawice i krzyżujące się pioruny.

Uderzył grom tuż obok okrętu. Schyliwszy kornie czoła przeżegnali się marynarze. Potem w dzwonek uderzono, i „Ave Maria,“ następnie pieśń psalmów rozległa się na pokładzie.

Atoli na tę odezwę ludzką do miłosierdzia Boskiego wicher odpowiadał złowróżbym świstem, i toczące się olbrzymie kłęby wodniste popychały chwiejący się statek w przestwór nieznanych szlaków.

Ścięto maszty, ostatni to sposob obrony!... i spuszczono kilka kotwic do bezdennej topieli, iżby utrzymać równowagę i zabezpieczyć statek od miotania i wywrotu.

Lecz niestety nic te wszystkie środki ostrożności nie pomogły, bo trąba morska dopóty nim podrzucała, dopóki zgruchotany nie został, i deski zaczęły się odrywać lecąc w powietrze.

Woda, która jeno czyhała na to, rychło się zrobi dziura w nawie okrętowej, wpłynęła tam naraz kilkoma otworami.

Nie było ratunku.

Chwycono za łódź, a chociaż wiatr się naraz zmniejszył, lecz było to już po niewczasie, gdyż okręt kaleka okazał się nie do użycia więcej. Zaledwie zaś załoga zdołała unieść z niego trochę zapasów żywności, odzieży i broni, zatonął w jej oczach.

Nieszczęśliwi rozbitki nasi, w liczbie których znaj-

dował się naturalnie i Wolski, płynąc wolą wiatrów, po pięciu godzinach ujrzeli niby obłoczek kąpiący się w wodzie. Był to ląd, ale nikt nie wiedział jego nazwiska i położenia. Bądź co bądź, po usilnej pracy wiosłowej zbliżyli się do skalistego brzegu, który przekroczyć zdawało się niepodobieństwem, tak się stromym wydał. Szukali więc miejsca wylądowania, krążąc koło odnogi, aż nareszcie trafili na mały przesmyk, będący ujściem rzeczułki.

Tutaj przybiwszy, wysiedli wszyscy, wciągnęli łódź po rzece i przywiązali ją do grubego pnia odwiecznego cyprysu. Nie znalazłszy zaś nigdzie śladu człowieczego, postanowili rozdzielić się na zwiady, w celu odkrycia dla się jakiegoś schronienia.

Z dziesięciu rozbitków połowa została na miejscu u przystani; reszta, uzbroiwszy się od stóp do głów, jak rycerze średnich wieków, zrobiła wyprawę w głąb kraju.

Duszą tej wyprawy był pan Tomasz, jako obeznany już z wojskowością.

Idąc wolnym krokiem pod górę, nie bez trudności po kilkagodzinnej podróży dostali się na wierzchołek wysokiej opoki, atoli nic tam nie znaleźli, oprócz wbitego pionowo w ziemię drąga, śladu wypalonego ogniska, kilku wiorów i żerdzi. Naprowadziło ich to na myśl, smutną zaiste myśl, iż ów drąg służyć musiał jakimś podobnym do nich nieborakom za osadę do wywieszenia chorągwi, godła niebezpieczeństwa wzywającego o pomoc!

Mając z sobą kawałek żagla, zaczepili go i oni na drągu; sami zaś ruszyli dalej, ku lesistej okolicy, gdzie za przybyciem rozłożyli ognisko wśród drzew figowych, pomarańczowych i daktylowych.

Postanowiwszy tutaj spocząć, dali kilka umówionych wystrzałów na znak pozostałym u brzegu towarzyszom niedoli, i wzięli się do postawienia szałasu, jednego ze swoich wysławszy z powrotem przebytą drogą, by sprowadził resztę wyczekującej drużyny.

Dobrze się już zmierzchło, za nim posłaniec zeszedł ze skały, i byłby zabłądził, gdyby nie spotkanie dwóch marynarzy z pozostałych pięciu, którzy na odgłos strzałów zbliżali się w tamtą stronę, wołając co chwila wielkim głosem, aby ich usłyszano.

Zostało jeszcze wprawdzie trzech u przystani, lecz tego wieczora było już zapoźno sprowadzać ich. Musieli zatem poddać się własnemu losowi, i być rozdzieleni od współbraci zebranych w lesie, jakkolwiek rozdział ten zatrważał tych ostatnich.

Towarzysze leśni urządzili wartę między sobą, zmieniającą się kolejno, gdy spać będą. Ponieważ Wolski miał zegarek, zawiesił go na drzewie dla użytku wartowników, i sam pierwszy wziąwszy nabitą strzelbę na ramię, odbywał straż nad chrapiącymi z utrudzenia kolegami. Za godzinę zbudził jednego z nich, by go zluzował, i tak szło dalej.

Lecz skoro przyszła kolej na ostatniego, który stał już zrana, ten usłyszawszy niespodzianie szelest w krzakach, chwycił za broń, odwiódł kurek i zmierzył w stronę, gdzie się poruszały gałęzie, a postrzegłszy prześlicznej barwy ptaka, ukazał go jednemu z niespiących już majtków; lecz ten wykrzyknąwszy z przerażeniem: „Faon!“ „faon!“ zawołał na alarm.

Rzecz cała, że piękny ptak „faon,“ którego widywał w Indyach, (zapewne nazwa to indyjska,) wedle zdania tego doświadczonego marynarza miał być zwykłym towarzyszem tygrysów.

Drużyna nasza, zerwawszy się co tchu z łożyska na taką niespodziankę, stanęła w szyku bojowym, oczekując na drapieżnych nieprzyjaciół. I stało się, że nie długo czekała. Za chwilę wychylił się z pomiędzy zarośli centkowany łeb z iskrzącemi oczyma okrutnego zwierza.

Wolski, ufny w swój strzał, nie namyślając się, wypalił najpierwszy i przeszył kosmatego przybysza, ale nie śmiertelnie. Zakręcił się on na miejscu, ryknął straszliwie, wspiął się na dwie łapy i natężonym skokiem rzucił na jednego z majtków rozpierzchającej się drużyny.

Majtek się pochylił, nóż tylko błysnął w jego ręku, nóż i zwierz zetknęły się w powietrzu, majtek i zwierz upadli na twarz.

Lecz pierwszy powstał, wprawdzie zadraśnięty łapą tygrysią, zawsze jednak powstał z chwałą, gdy jego wróg kosmaty konał z rozprutym brzuchem w ostatnich podrygach.

Coby to dał za taką przygodę Branicki!...

Marynarze zbliżyli się do nieboszczyka z zamiarem ściągnięcia z niego skóry, atoli obaczywszy, że był samicą, znowu krzyknęli na alarm i w oka mgnieniu uszykowali się do powtórnego boju, niebezpieczniejszego niż poprzedzający; wiedzieli bowiem, że tygrysia płeć męzka zbiega się na ryk samicy.

Jakoż nie upłynęło kilka minut, gdy usłyszano łomot gałęzi, całe stado przybywało jej na pomoc.

Naszym biedakom pozostało tylko powłazić na drzewa, co też szybko uczynili śledząc każdego ruchu czworonożnych nieprzyjaciół.

Gromada nadbiegła wprost do świeżo poległej towarzyszki swojej, którą obwąchawszy ze wszystkich stron zawyła przeraźliwie, i nuż się oglądać na drzewa!...

Wolski dał znak, kule posypały się po tygrysach. Kilka sztuk z nich padło, lecz reszta rozjuszona tylko, została do zwalczenia.

Zdążono nabić broń powtórnie i drugi raz dano ognia, lecz Bóg wie, jakby się ta krwawa scena skończyła, bo pozostałe przy życiu tygrysy wdrapywały się już na drzewa, gdyby po chwili nasi oblężeni nie usłyszeli nowych

kilku strzałów, nie domyślając się zrazu zkąd pochodzić mogły. Na ten raz padły trzy tygrysy, a pozostały jeden niedobitek, widząc się wziętym we dwa ognie, uciekł w głąb lasu.

Niespodziewana ta pomoc pochodziła od towarzyszy rozbitków, którzy zbudziwszy się o świcie u przystani, uważali za stosowne opuścić stanowisko, a idąc śladem swych poprzedników, znaleźli ich nakoniec w rozpaczliwem położeniu i pospieszyli im na ratunek.

Jakaż była radość drużyny, gdy się ujrzała ocaloną! Postanowiła ona nie rozdzielać się od tej pory i wspólnie znosić przygody zawistnego losu.

Następnie modlono się z dziękczynieniem pod podwójną bramą ze wstęgi tęczowej.

Po odbyciu walnej rady, wzięto się przedewszystkiem do ufortyfikowania miejscowości, jako rzeczy najważniejszej w zagrażającej sytuacyi. Sprowadziwszy liny z łodzi, połączono za pomocą tychże dwa wierzchołki skał i urządzono wiszący mostek zwodzony, po którym przechodząc z jednego punktu na drugi, łatwiejszą stałaby się obrona w razie napaści; a na wypadek wkroczenia i tam dzikich zwierząt, odwiązanie lin mostowych z jednej strony popchnęłoby je do otchłani.

Na tych skałach, zkąd widok cudowny roztaczał się na morze, zbudowano siedziby, podobne do gnieździska orłów, ktore zarazem służyły naszym rozbitkom za obserwatoryum nad całą okolicą. Futra tygrysie dostarczyły im miękkiego łoża; potrzeba tylko było zrobić wyprawę w celu zaopatrzenia się w świeżą żywność...

Że zaś Wolski odznaczył się niepospolitą odwagą i posiadał doświadczenie wojskowe, a w radzie rzuconych na nieznaną ziemię marynarzy przewyższał wszystkich trafnością zdania i swoją praktycznością, załoga przeto, nie wyłączając kapitana zatopionego okrętu, wybrała jednogłośnie ziomka naszego za przewodnika, przysiągłszy mu bezwarunkowe posłuszeństwo.

Osada rozbitków, zorganizowawszy się jak mogła na pustyni pod przewodnictwem Wolskiego, zabezpieczywszy przedewszystkiem mieszkanie od gadów i płazów przez obicie podstawy jego blachą zdjętą z barki i osmarowanie jej tłustością, poczęła wysyłać swoich na łowy.

Dwóch obywateli tej małej kolonijki, którzy byli niegdyś rybakami, zanim zostali majtkami na okręcie, posłał pan Tomasz dla łowienia ryb na brzeg morski, czterech zaś wprawnych myśliwych do lasu, celem wytropienia zwierzyny; a reszta została na posterunku.

Pan Tomasz, przewidujący wszelkie potrzeby nowej osady, zrobiwszy rewizyą zasobów, które im się udało ochronić od topieli, postrzegł, iż może jej zabraknąć prochu strzelniczego, będącego tak ważnym dla niej artykułem. Zasmucił się z początku wielce tem odkryciem, znalazłszy atoli wkrótce znaczną ilość siarki, a znając jeszcze ze szkół pijarskich naukę chemii, umyślił przygotowywać saletrę i urządzić własną fabryczkę prochu.

Gdy tak zajęty wszechstronnemi badaniami, rozglądał raz przez dalekowidz przetwór morski i wybrzeże lądu

— Dymi się... dymi! — zawołał z uniesieniem do towarzysza, podając mu lunetę.

Ten wziął ją, a przyłożywszy skwapliwie do oka

— Dymi! — powtórzył z powagą.

— Dymi — zawołali oba spoglądając na siebie.

W samej rzeczy kłęby dymu wznosiły się do góry w kilkamilowem oddaleniu. Marynarze wnieśli ztąd, że tam muszą być ludzie lub wulkan nadmorski. Ale p. Tomasz, choć nie posiadał mapy żeglarskiej, przekonał ich łatwo, iż ani Etny ani Wezuwiusza widziećby nie mogli z punktu swojego obserwatoryum, i że prawdopodobnie byli tam ludzie... ale jacy ludzie?-.. Oto sęk do rozbicia.

Cokolwiek bądź, nazbierano szybko mchu i położono na ognisko, aby także wysokim słupem dymu dać nieznajomym znak życia swojego.

Tymczasem nad wieczorem wróciła z polowania drużyna i przyniosła z sobą ubite ptactwo, ryby, zwierzynę, owoce i mówiono między sobą radośnie, że jeszcze śmiercią głodową nie zginą.

Upieczono młodą lamę, a resztę dziczyzny zachowano w jaskini, zastępującej miejsce piwnicy.

Ziomek nasz polecił, aby na przyszły raz postarano się o przyprowadzenie lamy żywcem, i sam także poszedł z kolei na łowy. Wyszukano gniazdo lamiąt. Chciano je wziąść, lecz rządca (tak nazywano Wolskiego) nie dozwolił; kazał tylko naznaczyć to miejsce, poźniej obciągnąć sieciami i przy otworze czatować, żeby młode się nie wymknęły, gdy zaś przyjdą do nich stare, zabrać ród cały.

Chociaż lama pomimo wrodzonej łagodności jest dzikiem i strachliwem zwierzęciem, plan powyższy udał się w zastosowaniu doskonale.

Schwytana z dziećmi samica, obłaskawiona wprędce i wypuszczona sama na wolność, przychodziła do osady w towarzystwie innych lam odwiedzać swoje małe, pozostawione od piersi niewolniki, znosząc im pożywienie.

Gdy powoli przywykły do ręki człowieczej, zaczęto je doić. Tak więc nie zbywało i na mleku zabłąkanym wędrowcom.

Z tem wszystkiem tęsknota, trawiąca jak toczący robak dusze tych nieszczęśliwych, coraz dotkliwiej czuć im się dawała.

Tęsknota! Wyraz ten na żaden język przetłumaczyć się nie da. To ocean wrący mękami!

Gdy właśnie w takich mękach pogrążony rządca leżąc samotnie w cieniu drzew figowych dumał o bezkorzystnem marnowaniu drogiego czasu na bezludnej ziemi

i o sposobie ratunku, a dwie wielkie łzy spływały mu po licu, słyszy znienacka, iż ktoś cienkim głosikiem woła na niego: „Venez chez moi! mon cher, venez!“

Zdało mu się rozpoznać głos kobiecy, ukochana siostra Jadwisia przyszła mu na pamięć, zerwał się na równe nogi i obejrzał.

Cisza i pustynia dokoła.

W zachwycie przywoływać zaczął nieznajomą pocieszycielkę.

Cierpkie rozczarowanie! Pokazało się, że tą pocieszycielką była oswojona papuga, co uciekłszy z klatki jakiejś zalotnicy francuskiej i przyleciawszy w rodzinne strony, chuśtając się przyczepiona szponami do zielonej gałązki, zawołała figlarnie po raz wtóry do p. Tomasza: „Pójdź do mnie, mój drogi!...“

Nazajutrz powracający z kniei strzelcy przynieśli lewka i samiczkę, dwa żywe szczenięta. Tego tylko nie dostawało osadzie! Przekonano się, że nie tylko tygrys, ale i lew, dwóch tyranów, co się rzadko trafia, panuje w jednej okolicy. P. Tomasz przewidywał, że niebawem stare puszczą się w pogoń, i że nie łatwo będzie opędzić się od natręctwa nieproszonych gości; przewidywali to wszyscy, atoli pragnąc za jaką bądź cenę przygód, coby urozmaiciły jednostajność ich żywota i nudów śmiertelnych, zatrzymali u siebie szczenięta. Nie miała, jak to mówią, baba kłopotu, kupiła sobie prosię!...

Jakoż powracająca do legowiska lwica, nie znalazłszy dzieci, zawyła, przybyły jej inne lwy na pomoc, i natychmiast za węchem rzuciły się w stronę osady, rycząc ciągle, gdy jednocześnie szczeniaki wzięte do niewoli skomleniem im odpowiadały. Chciano je podusić, lecz pan Tomasz zabronił. Słowem, szukał przygody!

Lwy pokazały się z drugiej strony zwodzonego mostu, z którego pozostały tylko liny, bo pomost był ściągnięty. Wolski dał strzał i zapewne ranił którego króla zwierząt, bo wszystkie dowiedzione do wściekłości próbowały po naprężonych linach dostać się do fortecy; atoli gdy jeden wdrapał się na nią, popuszczono ją luźnie, i lew nie mogący się utrzymać, padł do przepaści.

Pozostałe zaczęły się rozpędzać, jakby w zamiarze przeskoczenia otchłani, lecz zatrzymywały się u krańca, nie czując się na siłach ku temu.

Potem całe stado naraz zawróciło się i znikło, jakby na komendę, a za chwilę ukazały się grzywiaste karki w głębi wąwozu. Lwy wspinały się z dołu na stromą skałę, chociaż częstowano je z góry ostremi pociskami.

Po długiej utarczce zapieniony nieprzyjaciel ustąpił wprawdzie z placu boju, pozostawiwszy swoje młode, ale nie zaprzestał czatować około tego miejsca, pałając żądzą zemsty, i o ile dotąd dość spokojnie nasi odbywali swoje wycieczki, o tyle zagrażało im odtąd pożarcie, bo lwy ciągle czyhały na przeciwnej skale, mając ich na oku.

Drużyna zmuszoną się ujrzała nie przechodzić mostu, lecz spuszczać się wprost ze skały za pomocą kilku sznurowych drabinek, ilekroć razy wypadła jej potrzeba udania się w głąb kraju. Pomimo to zdarzyło się, że jeden z jej członków nie zdążył w odwrocie chwycić za pośledni szczebel drabinki, gdy lew wartujący w głębi wąwozu ściągnął go i rozszarpał.

Musiano zrzucić pychę z serca i spuścić szczenięta, gdyż dopiero wtedy zawzięte zwierzęta odstąpiły od oblężenia.

Wolski, rozmyślający bez przerwy nad losami osady, chciał ją wreszcie wyprowadzić z miejsca, aby płynąc wybrzeżem zbliżyć się do punktu, gdzie dym się ukazywał, bo lądem to uczynić było niepodobieństwem. Lecz po odbyciu rekonesansu pokazało się, iż zamiar ten przedstawiał jeszcze większe niebezpieczeństwo z powodu nieuniknionych potyczek ze zwierzętami ziemno-wodnemi.

Musiano się więc uzbroić w cierpliwość. W każdym razie położenie było rozpaczliwe.

Gdy zamyślony i cierpiący p. Tomasz siedział pewnego dnia na murawie przy linach mostowych, dostrzegł nagłego drgnięcia jednej, a następnie nieznane dotąd zjawisko przedstawiło się oczom jego. Oto poczciwy orangutan skakał sobie zabawnie po linie.

I pomimo biedy swojej, p. Tomasz nie mógł się wstrzymać na ten widok od śmiechu.

Rzadko dramatu bez ustępów komicznych.

Orangutan obaczywszy, może pierwszy raz w życiu, najwięcej zbliżone podobieństwem do siebie stworzenie, zatrzymał się w pochodzie, począł się ciekawie przypatrywać ziomkowi naszemu, lecz nie postąpił naprzód, ale oglądał się odtąd ciągle po za siebie.

Nasi postanowili złowić go na arkan, atoli ów leśny dziki człowiek tak zręcznie chwytał zarzucony nań sznur w powietrzu, że nic mu nie mogli zrobić. Żywcem wziąć go było trudno, a strzelać nie okazała się potrzeba.

Po daremnych wysileniach zostawiono jednego z naszych na czatach w wykopanej na ten cel jamie; reszta zaś odeszła na stronę, spodziewając się, że może małpa łaskawie raczy zajść do nich w odwiedziny dobrowolnie.

Ten środek był najlepszym, bo gość wkroczył niezadługo na ich skałę. Tymczasem liny od mostu ściągnięto, a kosmatego jegomości w urządzonej na niego zasadzie pojmano.

Przestraszony, był z początku w nader złym humorze, poźniej zaś widząc, iż mu nic złego nie robią, i że nieznana mu rodzina przyjmuje go bardzo uprzejmie, karmiąc czem tylko chata bogata, wprędce się spoufalił. W końcu obaczywszy, że go inne małpy przywołują z przeciwległej skały, dał poznać chęć odejścia.

Natychmiast na żądanie tak wielce szacownego gościa

wyciągnięto dlań linę, on zaś pobiegł do swoich, niby wprawny gimnastyk.

Lecz nie upłynęło kilka godzin, aż tu ni z tego ni z owego całe towarzystwo orangutanów wsunęło się na liny, pod przewodnictwem naszego znajomego.

Pan Tomasz uznawszy za niestosowne dozwolić całej gromadzie wnijścia, kazał nanowo ściągnąć liny, i natrętne małpy musiały się cofnąć. Objawiły one dopiero wtedy złe zamiary, usiłując wyrwać te liny dla wzięcia ich sobie, jak się zdawało. Koniec końcem dano do nich ognia i wprawiono w popłoch po lesie. Ubito nawet jednę, której skóra znajduje się podobno dotąd w gabinecie zoologicznym w Neapolu.

Tęsknota połączona z troskami o byt codzienny coraz bardziej naszę drużynę opanowywała. Modliła się ona i dokładała coraz więcej i więcej mchu do palącego się bez ustanku ogniska, będącego jedynym zwiastunem o jej smutnym na szczycie skały pobycie.

Niespodziewanie wystrzał armatni rozległ się stokrotnem echem po wąwozach i gardzielach skalnych.

Wybiegli wszyscy z krzykiem na brzeg morski i ujrzeli okręt wojenny z banderą wenecką, przybywający im na ratunek.

Ktoby udoskonalił szkła do tego stopnia, iż obaczyłby ludzi na jakim planecie, nie ucieszyłby się tyle, ile nasi rozbitki owej uroczystej i pamiętnej chwili.

Wolski odpowiedział sygnałami karabinowemi hukowi działowemu. Na ten znak wysłano z okrętu łódź, a p. Tomasz posłał ku niej swych parlamentarzy z białą chustką zaczepioną na drążku.

Porozumiawszy się wzajemnie, spisano na prędce miejscowe wypadki, zakopano opis przy wbitym palu dla nauki nieszczęśliwych, którzyby ulegli podobnemuż losowi, zabrano z sobą skóry pozabijanych zwierząt i przeniesiono się na okręt, który rozwinąwszy wspaniale żagle, ruszył dalej.

Kapitan wenecki dowiedziawszy się od ocalonych, iż właściwym ich komendantem na skale był p. Tomasz, nie omieszkał zbliżyć się do niego, a poznawszy w nim wysoką naukę i zdolności, przewidując, iż ten człowiek jest na drodze do wyższych przeznaczeń, poczuł dlań wysoki szacunek i wkrótce stał się jego szczerym przyjacielem.

Rodak nasz dowiedział się wtedy dopiero, iż burza zapędziła go była z towarzyszami na brzeg Afryki; a kiedy okręt zbliżał się do punktu, z którego słup dymu zwracał często uwagę rozbitków, wypłynął z załomu skały inny ogromny statek, który lotem ptaka pędził bez dania żadnego sygnału, ani wywieszenia bandery, do okrętu weneckiego.

— Korsarze! — zawołano na okręcie.

I nie zdążono zapalić lontów, kiedy już rozbójnicy morscy powitali ich ogniem działowym.

Rozpoczął się bój zajadły.

Kapitan dał hasło odwrotu. Korzystając z tego herszt korsarzy, tem silniej nacierał na uciekinierów i uderzył na nich tak gwałtownie, że boki dwóch statków zetknęły się z sobą.

Okręt wenecki wyraźnie przegrywał sprawę. Widząc to Wolski, wskakuje z najodważniejszymi swymi kamratami do łodzi, zabiera tył napastnikom, wydobywa się na ich pokład i roznosi mord straszny między wziętymi we dwie kolumny korsarzami.

I tak sława oręża obróciła się nagle na drugą stronę. Wenecyanie nabrawszy otuchy, zaczęli za przykładem Wolskiego słać trupem pobojowisko. Nikomu z załogi rozbójniczej uciec nie dozwolono.

Ale rozpaczliwa zemsta tej ostatniej nie miała granic. Herszt jej, choć ranny, poskoczył korzystając z zamętu pod pokład i kazał tam wymordować swoim niedobitkom wszystkich powiązanych jeńców chrześcian, których uwoził z sobą.

Jęki i krzyki boleści zabijanych ofiar uderzają słuch Wolskiego. Domyśla się on jakiejś krwawo-tragicznej sceny. Nie tracąc czasu wpada do kajut i postrzega nad głowami bezbronnych jeńców błysk jataganów muzułmańskich. Wtedy zadaje ostatnie ciosy zbrodniarzom, chwyta żywcem herszta, zmusza resztę do złożenia broni i wydobywa z pęt niewoli przeszło stu Francuzów.

Ci uklęknąwszy społem przed swoim zbawcą, złożyli mu dziękczynienia w imieniu swojem i nieobecnych rodzin swoich.

Wolski stał się od razu panem skarbów złupionych przez korsarzy na wielu podbitych okrętach, oraz zdobywcą ich statku, co mu przyznała cała załoga wraz z oswobodzonymi jeńcami, zapraszając jednogłośnie do naczelnego dowództwa nad nimi.

Nie zastanawiając się tedy długo przyjmuje je i wypływa śmiało na pełne morze, kieruje rudlem przytomnie, jakby wprawny żeglarz, czuwa dzień i noc nad swoimi pomocnikami, aż nazajutrz spotkawszy się z flotyllą francuzką, wywiesza flagę wenecką i za pomocą oznak przyjacielskich zbliża się do nieznanych marynarzy. Ci dowiedziawszy się o wszystkiem walą z dział na cześć młodego bohatera Polaka i na żądanie przyłączają jego okręt do swojej flotylli.

Sława ziomka naszego przechodząc szybko z kraju do kraju, okryła imię jego chwałą na morzu i lądzie.

Flotylla francuzka zdążała wówczas na oblężenie miasta Sydonu. Wolski należąc do tej wyprawy, odznaczał się jak zawsze niezwykłem męztwem i dzielnością umysłu. Gdy zaś przy skutecznej pomocy jego ramienia Sydon zmuszony był kapitulować, pasowano go na rycerza.

I tak rozpoczął on długi szereg tych wiekopomnych mężów, którzy jako wygnańcy i tułacze przelewali krew swoję i zwyciężali w sprawie Francuzów.

W r. 1726 przybył nakoniec p. Tomasz do Jerozolimy, miejsca swych pragnień, a zwiedzając tam stacye pielgrzymki boskiego prawodawcy, poznajomił się z uczonym misyonarzem. Po krótkiej z sobą rozmowie dowiedzieli się, iż są obydwa synami jednej ukochanej macierzy: Polski. I rzucili się sobie w objęcia, niby sieroty, co się spotykają zdala od rodzinnej strzechy.

Misyonarzem owym był znany swojego czasu oryentalista, Jakób Krasiński, wracający właśnie z Persyi, gdzie piętnaście lat przebywał.

Odtąd przez długi czas trzymali się razem, odbywając swoje peregrynacye na wschodzie przy uzbrojonej i zaopatrzonej we wszelkie potrzeby do przebywania pustyni karawanie.

Pomimo to byli raz napadnięci przez koczujących w znacznie przeważnej liczbie Arabów i zabrani do niewoli.

Ci dzicy synowie puszczy łagodnie się z p. Tomaszem obchodzili, uważając go za naczelnika karawany i spodziewając się za niego znacznego okupu. Uradowani świetnym podbojem niewiernych giaurów (jak ludy wschodnie nazywają chrześcian), rozłożyli obóz, porozbijali namioty, nad wziętymi w jasyr i powiązanymi, z wyjątkiem Wolskiego, straż postawili, a sami nuż się weselić przy smutnych dźwiękach surm i cyter, wśród uczty, w której upajający kumys, to jest kobyle mleko doprowadzone do fermentacyi, tudzież pieczone źrebięta, główną odgrywały rolę.

Skończyło się na tem, że wkrótce bisurmani wraz ze swoją strażą tak się popili, że padłszy na ziemię, bohaterskim snem chrapać poczęli.

Wolski, który przez cały ciąg plugawej bachanalii nie spuścił z nich oka, śledząc najmniejszego ich giestu, dobył nożyka, przeciął najbliższemu jeńcowi więzy, ten toż samo uczynił następnemu, dość na tem, że wszyscy stanąwszy na nogi, podpalili namioty z hordą, a sami na jej koniach umknęli.

Szczęściem dopadli do miasta i tam zażądali posiłków od rządcy maltańskiego, w celu ścigania bandy muzułmanów. Rządca kazał wystąpić natychmiast całemu oddziałowi wojska pod rozkazy Wolskiego, i ten puściwszy się z nim w pogoń, dognał bandę, rozbił, a odebrawszy zapasy swojej karawany i oprócz tego wiele zdobyczy, i wziąwszy niewolników Arabów, tych ostatnich odesłał pod konwojem do miasta, z wyjątkiem dwóch, których użył dla siebie za przewodników. Co się tyczy hana, zabranego także wraz z innymi, z tym obszedł się łaskawie, wywzajemniając się za grzeczne traktowanie osobiste, jakiego doznał w jego obozie.

Tomasz Wolski zwiedziwszy jeszcze Egipt i Aleksandryą, wrócił do Rzymu około r. 1730.

Ojciec św. za rycerskie jego czyny, za oswobodzenie chrześcian, udarował go, jako pogromcę korsarzy tuneńskich i rozbójników karawanowych, złotym krzyżem kawalerów jerozolimskich, z zapisaniem jego imienia w archiwum wiecznego miasta.

Za przybyciem do Francyi i Anglii witano go tryumfalnie.

August II. dowiedziawszy się o tych wszystkich zaszczytach, powołał go do kraju.

Ale nie długo się p. Tomasz cieszył pobytem na ojczystej ziemi, bo nie upłynęło dwa lata, gdy papież, wszechpotężny jeszcze w owej epoce, wydawszy wojnę Turkom, zawezwał do siebie naszego ziomka i poruczył mu admiralicyą swej floty, na którą podczas bitwy zwróconą była uwaga całego świata, rokując najświetniejszą wygraną.

Wolski i tu nie zawiódł zaufania publicznego, bo skoro tylko wypłynął jako admirał na morze Śródziemne, taką wzbudził odwagę i wiarę w powodzenie w swych podkomendnych, a taką trwogę w nieprzyjaciołach, iż przy pierwszym ataku pierzchnęli przed wsławionym jego orężem.

Przy pomocy książąt włoskich, którzy hołdując nowemu admirałowi oddawali się chętnie ze swemi okrętami pod jego rozkazy, imię jego stało się wkrótce strasznem dla bisurmanów.

Zabezpieczywszy więc okręty kupieckie od grabieży, ułatwił handel, a podpłynąwszy w Dardanele, zagroził Wolski murom Konstantynopola.

Już wielki wezyr upadłszy na duchu byłby się niezawodnie poddał, już Europa, uszczęśliwiona odebraniem kluczy od grobu Zbawiciela, przyklaskiwała admirałowi i Benedyktowi XIII., gdy zawczesny zgon ostatniego zmienił postać rzeczy, bo następca na tron papiezki, Klemens XII., odstąpił od wojny, a flocie swojej rozkazał płynąć ku Indyom.

Jedyna korzyść, jaką p. Tomasz odniósł nad Portą, była ta, że grożąc jej blokadą stolicy, wytargował od niej mnóstwo jeńców obojga płci, różnej religii i narodowości. Pomiędzy nimi byli Polacy i Polki z szlacheckich rodzin, które zostały zabrane w jasyr jeszcze młodemi panienkami. Znajdowały się tam także dwie osobistości, zasługujące na szczególną wzmiankę. Pierwszą z tych był Józef III., patryarcha babiloński i haldejski, którego Turcy trzymali jako zakładnika, drugą syn sąsiada samegoż Wolskiego, który zwierzył się admirałowi, iż strzeliste afekta jego serca zwrócone zawsze były ku jego siostrze, pannie Jadwidze, ale że nie śmiał się z tem oświadczyć, dopóki nie spełni ciężącego na nim w obronie ojczyzny obowiązku.

Admirał przyrzekł mu porozumieć się w tym względzie z Jadwisią, tymczasem zaś polecił mu odwieść rodaków na brzegi włoskie a z tamtąd do kraju. Napisał jeden list do matki i siostry, a drugi otwarty do władz wszelkiego rodzaju, mający służyć ziomkom za paszport i kartę bezpieczeństwa, przedstawił ich kapitanowi okrętu weneckiego i dał pieniądze na drogę.

Józef III. popłynął z Wolskim.

Udali się do Bramaputry, poznali zwyczaje i obyczaje pogrążonych w ciemnocie i barbarzyństwie Indyan, a ztamtąd wzięła ich ochota popłynąć do wzbudzającej nadzwyczajną ich ciekawość piątej części świata: Australii.

I nie pożałowali tego zamiaru, bo za przybyciem tamże obaczyli nieznane sobie dziwo, ludzi w stanie natury, co zbliżyli się do nich przy wylądowaniu z pałkami i oszczepami.

Na widok ich Wolski ze swoimi zarzucili strzelby na ramię; dzicy pochowali też swoje kije i oszczepy na znak pokoju.

Admirał przemówił do nich wschodnim językiem, lecz odpowiedzieli mu piszczeniem, mlaskaniem i krząkaniem.

Admirał proponował im tedy na migi, aby udali się z nim do miasta, gdzie dostaną mieszkanie, odzież i jeść, i pokazał kawał białego chleba i pieczeni.

Wyrazili wielką ochotę pokosztowania tych łakoci, ale obawiali się zbliżyć. Wtedy rzucano im pokarm, a oni zaczęli go sobie wydzierać jak zwierzęta.

Marynarze uznali za stosowne, skorzystać z chwili i cofnąć się do swych zarzuconych na kotwicy okrętów przed liczną tłuszczą obrzydliwej budowy ciała wyspiarzy; co ci spostrzegłszy, zaczęli rzucać za odchodzącymi oszczepami, kamieniami i kokosowemi orzechami, atoli obyło się bez wystrzału.

Nasi po drodze schwycili u krańca lasu jednego z dzikich, który za nadejściem ich porwał się z legowiska w kotlinie starego drzewa, ratując się ucieczką, lecz nie mógł spieszyć, gdyż chromał na jednę nogę.

Zdawał się on prosić, aby go puszczono, i objaśniać, jako już raz biali ludzie polowali byli na niego, że nawet mieli takąż samę broń jak Wolski z towarzyszami, i że oni to postrzelili go w nogę.

P. Tomasz obchodząc się z nim jak najłagodniej, zdołał kalekę skłonić do udania się z naszymi do osady francuzkiej, gdzie go władza tameczna wzięła pod swą opiekę, dając wszelkie wygody i ucząc języka, który Australczyk pojmował i dobrze wymawiał, czyniąc znaczne postępy.

Ale, jak to mówią, natura wilka do lasu ciągnie, i Australczyk wkrótce umknął do swoich.

Po tylu podróżach i przeróżnych przygodach, turysta nasz powrócił nakoniec z Józefem III. do Europy, i dostał się szczęśliwie do Żółkwi, gdzie nader gościnnie podejmował ich w swym zamku królewicz Jakób Sobieski; a za przybyciem do Lwowa hojną dla nich wyprawili ucztę panowie polscy, w czem odznaczali się hr. Potoccy.

Rozczulającym być musiał zaprawdę widok, kiedy sędziwy starzec, Józef III., mający powrócić do Rzymu, dziękował ze łzami w oczach Wolskiemu wobec licznego grona biesiadników za wybawienie go z tak długiej u pogan niewoli.

Admirał powrócił nareszcie po bojowych trudach do rodzinnej zagrody, gdzie wydał za mąż ukochaną Jadwisię za młodziana, z którym już zapoznaliśmy czytelnika; aż tu Klemens XII. wzywa go za pośrednictwem króla jegomości, aby odbył wraz z patryarchą wjazd tryumfalny do Rzymu.

Nie mógł on oprzeć się tej pokusie. I wtedy obdarzony został honorową szpadą, jak świadczą zapiski dziennika Wolskiego, wydane w r. 1777, tudzież akta papiezkie, gdzie znajduje się opis szczegółów peregrynacyi Tomasza Stanisława Wolskiego do ziemi św., jako też jego wjazdu do Rzymu. Po dopełnieniu czego odjechawszy do domu spoczął na swych wawrzynach, i życia ojczyźnie i sławie poświęconego w spokoju dokonał.

Taras Szewczeńko.

(Obacz rycinę na stronicy 309.)

Jak każdy fakt istniejący sam dla siebie, oderwany od przyczyny go powodującej, jest dla nas niejasnym, i dotąd nim być nie przestaje, aż zbadamy jego stosunek do wywołującej go siły, i nawiążemy do tej nici, po której dochodzimy wątku wszech rzeczy, — tak i każda myśl, a względnie każdy jej reprezentant, tak długo pozostanie dla nas zagadką nierozwiązaną i niewytłómaczoną, dopokąd nie oglądniemy się na okoliczności, które ją wywołały, na stosunki, które się złożyły na wyposażenie umysłu zdolnego być kierownikiem i apostołem nowei idei!

Bo czas i okoliczności tworzą wielkich ludzi, a wtedy koniecznie muszą jaśnieć całym blaskiem swojej potęgi.

Napoleon nie byłby nigdy Napoleonem, gdyby jak słusznie Emerson powiedział, ludzie, którymi rządził, nie byli małymi Napoleonami!

Temi uwagami sądziłem za potrzebne poprzedzić niniejsze wspomnienie o Szewczeńce, wielkim poecie, malarzu, który swojem wystąpieniem spowodował całe obecne duchowe odrodzenie się Rusi i odżywił jej literaturę.

Dzieła bowiem Szewczeńki tak ściśle są związane

z kolejami życia jego i okolicznościami miejscowemi, że tylko jako konieczny takowych wynik pojęte być mogą.

Musimy więc z jednej strony przenieść się myślą w bezbrzeżne stepy Ukrainy, tej piastunki poezyi, w której przestworzach, falujących bujną zielenią, gubi się oko, a z niem i myśl nasza, a natomiast owłada nami uczucie niepojęte, i równie jak ten step bezbrzeżnie dzikie i nieukrócone; a z drugiej strony przypatrzyć się kolejom życia tego syna stepów.

Tu ograniczę się na krótkiem zebraniu najróżniejszych momentów jego życia, odsyłając ciekawego czytelnika do jego autobiografii, podanej w dziele L. Sowińskiego *)

Taras Szewczeńko był synem chłopa, Grzegorza Szewczeńki, i urodził się dnia 25 lutego 1814 r. we wsi Kiryłówce, gub. kijowsk. pow. dźwinogrodz. (według Bataglii w Morzyńcach ob. j. wyż.) Już wcześnie straciwszy rodziców, oddany został na naukę do dyaka Buborskiego, który go przyuczał w kościelnych rzeczach. Miał zostać dyakiem; lecz los przeznaczył mu inne stanowisko i do innych obrał go celów, stawiając mu same przeciwności w drodze.

Dyak bowiem, u którego zostawał, nie był najznośniejszym dla swoich poddanych, i często na swawolnego Tarasa spadały cielesne kary; a do tego lubił się zapijać, wyręczając się wtedy swemi żakami, czego wrażliwy i otwarty umysł Tarasa dłużej znosić już nie mógł. Uciekł więc po dwuletniej u niego praktyce, zemściwszy się wpierw na swoim ciemięzcy. „Despota ów, sam poźniej powiada, był pierwszy, z którym się w życiu zetknąłem, i który mi wpoił na zawsze głęboki wstręt i pogardę ku wszelkiej przemocy.“

Miał już od dzieciństwa wielką chęć do rysowania i malarstwa, próbował więc kształcić się w tym zawodzie, i udaje się do Tarasówki do dyaczka, malarza słynnego w okolicy z malowania męczennika Mekity i Iwana rycerza. Ten atoli, zdaje się, poznał w nim talent, z którym by mu rywalizować poźniej przyszło, dla tego uznając go za niezdolnego do obranego zawodu, odmówił mu wręcz miejsca u siebie. „Z sercem zgryzionem“ powraca do rodzinnej wioski ze skromną chęcią zostania „niewinnym trzód pasterzem,“ której także urzeczywistnić nie zdołał.

Engelbardt, moskiewski Niemiec, dziedzic Kiryłówki, przyjął tedy „obszarpanego żaka i włóczęgę“ jako kozaczka do posługi pokojowej. Że zaś pan ten był wielce ruchliwym, i często jeździł do Kijowa, Wilna, albo Petersburga, wlokąc i kozaczka za dworem swoim, więc pozycya ta, jak sam powiada, nie była dla niego najnieznośniejszą. Korzystał z niej nawet, ściągając zewsząd partackie malowidła, których sporą kollekcyą był już zebrał, by takowe przy dogodnej sposobności odkopiowywać.

*) Taras Szewczeńko, studyum przez Leonarda Sowińskiego z dołączeniem przekładu Hajdamaków. Wilno 1861. Tudzież dzieło: Taras Szewczeńko. Życie i pisma jego, napisał Gwido baron Battaglia. Lwów 1865. — W czasopismie „Osnowa,“ wychodzącem w Petersburgu w latach 1861 i 1862, znajduje się jego dziennik i szczegółowe opisanie pogrzebu Szewczeńki.

W rzeczy samej, gdyby nie ten nieprzeparty pociąg do malarstwa, byłby nigdy nie został tym kim jest; Engelhardt bowiem, zniewolony ciągłemi prośbami Tarasa i widocznym jego talentem do rysowania, zakontraktował go w r. 1832 na cztery lata cechowemu mistrzowi dzieł malowniczych, niejakiemu Szyrajewowi w Petersburgu. Miał wtedy Szewczeńko lat 18.

Tutaj zapoznał się z malarzem J. M. Soszeńką, który widząc w nim wielką zdolność do akwarelowych portretów, głównie się do tego przyczynił, że zwolniono Szewczeńka z poddaństwa za cenę 2500 r. sr.

Odwiedzał kursa akademii sztuk pięknych i w r. 1844 zaszczycony został stopniem mistrza wyzwolonego.

Odtąd oddawał się malowaniu i poezyi. Do pierwszych jego prac należy „Pryczynna“ (urzeczona). Sam nie przywiązuje wielkiej wagi do tego utworu.

W tym czasie przedsięwziął podróż na Ukrainę, i wtedy po raz pierwszy, jako wolny od więzów poddaństwa, oglądał ojczystą swoję ziemię i ukochane rodzeństwo.

Nie długo jednak pozwolonem mu było cieszyć się swobodą, za „wolnodumstwo“ bowiem został zesłany do Orenburga w sałdaty, gdzie mu wyraźnie zakazano oddawać się malarstwu i pisaniu poezyi. Po dzisięciu leciech niewoli, za wstawianiem się swoich przyjaciół, uzyskał dnia 20. lipca 1857 uwolnienie od obowiązków sałdata, i puszczono go wolnego i nieskrępowanego.

Ztamtąd więc udał się prosto do Petersburga, władze mu bowiem zakazały powitać rodzinną Ukrainę.

Dopiero na wiosnę 1859 roku mógł z Petersburga odwiedzić rodzinną krainę, w której stale zamyślał się osiedlić, i w tym celu swemu szwagrowi przy powrocie do Petersburga polecił zakupno kawałka ziemi i wybudowanie chaty. Miał bowiem, jak się z listów do jego szwagra pisanych dowiadujemy, zamiar ożenienia się z Ukrainką, którą był sobie nawet w jakiejś poddance upatrzył.

Przez półtora roku robił Bartłomiej Szewczeńko, imiennik i szwagier Tarasa, usilne starania około urzeczywistnienia pragnień jego, i już nawet bliskim był celu, gdy go śmierć prawie nagła zaskoczyła i nie dozwoliła używać tak upragnionego spokoju. Umarł bowiem d. 26 lutego 1861 w Petersburgu, a wedle życzenia poety przewieziono ciało jego na Ukrainę i pochowano niedaleko Kaniowa, o co rzewnie prosi w wierszu:

Ot, tam mię schowajcie
Gdzie stepem zaległa
Ukraina miła!

Wysoko nad brzegiem,
Gdzie Dniepr tęskno szumi...
Mogiły na stepie
Załegły szeregiem!

Dla dopełnienia obrazu życia Szewczeńki, w krótkości skreślonego, podamy jego własne słowa, ktoremi swą biografią zakończył, i które nam dadzą poznać głąb duszy jego dotkniętej bolesnem wspomnieniem tak tragicznej przeszłości. Oto jego słowa:

„Prawdę mówiąc, historya króciutka życia mojego, odszkicowana w bezładnem opowiadaniu obecnem dla waszego zadowolenia, kosztowała mię drożej, niż przypuszczałem. Ileż to lat straconych! ile kwiatów powiędłych! I czego ja nabyłem usiłowaniami mojemi? Że nie zginąłem? Może tylko przeświadczenie okropne przeszłości mojej? Strasznem jest ono, przerażającem, tem bardziej, że siostra i bracia moi rodzeni dotychczas są poddanymi, tak jest, łaskawi panowie! poddanymi dotychczas!“

Taki jest obraz życia wielkiego poety; zaprawdę, zanadto ujmujący swoją tragicznością, abyśmy mogli lekceważyć, a nawet potępiać poetę za to, że pisał jak czuł, i jak go szkoła życia nauczyła.

Czyż dla tego, że w „Nocy Tarasowej“ i „Hajdamakach“ „we krwi maczając pędzel, oszpecił estetyczną piękność swoich obrazów,“ i rozminął się z prawdą historyczną, mamy potępić autora „Katarzyny,“ „Urzeczonej,“ „Najemnicy,“ „Kaukazu,“ „Snu“ i t. p., w których piękność myśli z mistrzowskiem wykończeniem idą w zawody?

Czyż mamy go potępiać, kiedy występuje w obronie pogwałconego prawa Bożego, jak w „Katarzynie,“ albo kiedy „skrzydłami omytemi z rozpaczy i nienawiści, podnosi się do ideału cichej, pokutującej boleści ofiarnej,“ jak w „Najemnicy?“

A już wcale nie pojmujemy słów krytyka Bibl. war. z r. 1862, kiedy mówi: „Szewczeńko, jest to Byron chłopski. Chorował na nadmiar darów bożych, z któremi nie wiedział, co zrobić; marzył być wielkim, ale wolał wybrać drogę łatwiejszą, biorąc za mistrza Herostrata!“

Nie mogliśmy nigdzie odszukać w nim tego ducha niszczyciela, ale wszędzie widzimy w nim obrońcę idei wolności, występującego tylko przeciw srogiemu poddaństwu, w jakiem aż do najnowszych czasów, bo do r. 1864, bracia jego na Ukrainie zostawali.

Tyle, aby zrozumieć rycinę na str. 309 pisma naszego. wyobrażającą rodzinną Tarasa Kiryłówkę.

Kościół katedralny obrz. łac. we Lwowie.

(Obacz rycinę na stronicy 321.)

Mamy przed sobą wizerunek jednego z najokazalszych pomników starożytności polskiej, pomników szlachetnej pobożności dawnych pokoleń tego narodu. Katedra obrządku łacińskiego we Lwowie nie tyle może przepychem struktury swojej i bogactwy skarbca, ile raczej pamiątkami i wspomnieniami, wiążącemi się z wielowiekowem jej istnieniem, przemawia do uczuć teraźniejszości; była bowiem świadkiem zarówno najświetniejszych chwil dziejowych Polski jak i upadku jej i zapasów z zawistnemi losy; była widownią wielkich scen dziejowych, jak z drugiej strony w chwilach rozprzężenia i apatyi doświadczała, jak wszystko podówczas w Rzeczypospolitej, obojętności i niedbalstwa ogółu.

Okazały gmach katedralny przez pięć wieków swego istnienia ustawicznie prawie zmieniał kształty swoje, wewnętrzne zarówno jak zewnętrzne, nim ostatecznie przybrał te, w jakich zastało go nasze pokolenie, i w jakich przedstawia go nam rycina. Pobożne zwłaszcza mieszczaństwo lwowskie, wraz z zasiadającymi na stolicy metropolitalnej lwowskiej arcybiskupami, między którymi było kilku mężów niepospolitej zasługi i dostojności w narodzie i kościele, ciągle przybudowywali kaplice, wznosili ołtarze i nagrobki, tak, że prawie każdy mur, każdy filar lub okno katedry lwowskiej ma swoję własną historyą. Powstanie swoje zawdzięcza katedra lwowska jak wiadomo dobrej woli Kazimierza Wielkiego, który objąwszy rządy Czerwonej Rusi r. 1340 zastał we Lwowie jedyny parafialny kościółek obrządku łacińskiego imienia P. M. Śnieżnej, do dziś istniejący na Krakowskiem, i przy wzrastającej ciągle ludności rzymsko katolickiej uznał potrzebę obszerniejszego dla niej kościoła. Jakoż w czasie od r. 1360 do 1368 założył wielki król nasz pierwsze fundamenta katedry, na których przez wiek przeszło wznoszono mury, nim ostatecznie w r. 1479 świątynia ukończoną została przez uwiązanie nader misternego stropu pod nadzorem wrocławskiego budowniczego Joachima, i prawdopodobnie dopiero arcybiskup lwowski Jan Wątróbka Strzelecki, następca na tej stolicy wielkiego Długosza, poświęcił katedrę w r. 1481.

Oprócz jednak ogólnych rozmiarów nawy i presbyterium, tudzież gotyckich sklepień stropu, nic prawie owoczesna katedra lwowska nie miała wspólnego z dzisiejszą. Urządzenie wewnętrzne, rozkład kaplic, ołtarzy i zakrystyj inny był zupełnie niż obecnie; na zewnątrz też brakło wieży, a w miejscu wznoszącej się dzisiaj istniała tylko niska z kopułą dzwonnica. Przez wzgląd,



Kościół archikatedralny obrz. rz. kat. we Lwowie.

jak się zdaje, na szczupłość miejsca, a może i funduszów, rozmiar długości gmachu nie odpowiedział jego szerokości, która to nieproporcyonalność konstrukcyi najbardziej czuć się daje nawie świątyni, na którą z 30 sążni długości całej budowy przypada zaledwie 15½ sążnia, podczas gdy zwężone znacznie presbyteryum zajmuje jej 14½ sążnia. Nawa właściwa, mierząca 12 sąż. szerokości (oprócz kaplic), rozdzieloną jest dwoma rzędami prześlicznych, smukłych kolumn na trzy części, z których środkowa, ubiegająca do presbyteryum, mierzy 4½ sąż. szerokości, dwie boczne zaś po 3 sążnie, nie licząc szerokości wspomnianych kolumn. Kolumny te, o jednosążniowem przecięciu, wznoszą się do wysokości 11 blisko sążni, i służą za podporę wspaniałym łukom gotyckim stropu, przedstawiając odpowiednio duchowi struktury swojej gonne pnie, z których niby konary wystrzelają żebra wiązań gotyckich. Nadmienić też wypada, że poziom presbyteryum, który liczy 5 sążni szerokości, podniesiony jest nieco nad poziom nawy i kaplic, wstępuje się więc doń z nawy po kilku schodach kamiennych.

Wspomnieliśmy wyżej, iż zapewne brak miejsca był powodem rażącego w harmonii kształtów katedry skrócenia rozmiaru jego długości. Ażeby jednak pojąć trudność tego rodzaju, z jaką miał do walczenia we Lwowie budowniczy XIV. i XV. wieku, pamiętać należy, że miasto to w murach swoich zamykało podówczas obszar zaledwie dzisiejszego śródmieścia, a miejscem budowy katedry był mały cmentarzyk obwiedziony murem, bezpośrednio przypierającym o gęste domowstwą. Cmentarzyk ów obejmował tyle niespełna obszaru, ile go dziś widzimy naokoło gmachu katedralnego, nie licząc w to miejsca na ulicy Halickiej i Teatralnej; więc tylko dzisiejszy plac katedralny i kapitulny. W tak ciasnym obrębie stanęła pierwotna metropolia łacińska w stolicy Czerwonej Rusi, tuląc się do murów cmentarnych i mając tuż w sąsiedztwie jatki i kramy najrozmaitsze. I trwało to długo, bo dopiero w drugiej połowie 18 wieku zmieniło się stanowczo otoczenie naszej katedry, o czem poźniej. W ciągu wieku XV., XVI. i XVII. przybudowano do pierwotnej rdzeni gmachu katedralnego wiele kaplic i przysionków, z których wiele nie istnieją dzisiaj wcale, chyba w tradycyi, uległszy ścisłości planu restauracyi całej świątyni, dokonanej w wieku XVIII. Z kaplicy niegdyś Rajeckiej, Kuśnierskiej, Żórawińskich, Strumiłowskiej, Kampianich, Domagaliczów, Pirawskiego itd. dziś już nawet nazwy nie pozostały. Najprzedniejsze rodziny Rajców i Ławników lwowskich, nie obce częstokroć dziejom publicznym Rzeczypospolitej, nie mniej też rodziny senatorów i rycerstwa polskiego łożyły znaczne niekiedy fundusze na budowę owych kaplic, w których też najczęściej umieszczano nagrobki i napisy pamiątkowe dla zmarłych członków rodzin fundatorów. Przy wzmiankowanej wyżej restauracyi, niepojętym zaiste sposobem większa część napisów i nagrobków owych, których na setki liczyć by można za kroniką, przepadła gdzieś bez śladu, tak, że stosunkowo bardzo nie wiele ich zachowało się do dni dzisiejszych, a niektóre dopiero w ostatnich latach przypadkiem znaleziono i wydobyto na widok publiczny.

Wspomieć też należy, że za arcybiskupa Bernarda Wilczka w r. 1527, wraz z całem miastem uległa i nasza katedra strasznemu pożarowi, a to do takiego stopnia, że myślano wówczas o tem, czy nie byłoby lepiej nie odbudowywać jej już wcale, a nową natomiast wybudować katedrę w innem miejscu. Ksiądz Wilczek jednak mimo przeróżnych trudności dokonał jej naprawy i nowe sprawił dzwony, z których największy własnem ochrzcił imieniem: „Bernardem." Gorliwości arcypasterskiej następców Wilczka, mianowicie zaś arcybiskupów: Jana Dymitra Solikowskiego, Jana Zamojskiego i Jana Andrzeja Próchnickiego zawdzięczyć ma także katedra nie jeden szczegół okazałości swojej i wyposażenia; najgorliwszym z jej opiekunów jednak, i tym, który jej dał kształty, w jakich po dziś dzień się przedstawia, był ksiądz arcybiskup Wacław Hieronim Sierakowski, który w r. 1760 zasiadł na stolicy lwowskiej.

Nadzwyczajnemi zabiegi i ofiarnością własną, popartą nadto datkami prywatnemi, zacny ów arcypasterz dokonał odnowy i przeobrażenia całej świątyni, dzieła, które wśród stosunków i warunków ówczesnych nie było wcale łatwem, lecz stanowiło właśnie, że się tak wyrazimy, ideał życia i marzeń księdza Sierakowskiego. Żadne też trudności nie złamały żelaznej jego woli: w roku 1765 rozpoczęta restauracya zupełna pod kierownictwem architekta Piotra Polejowskiego, w przeciągu lat niespełna 10 szczęśliwie dokonaną została, tak, że sędziwy, bo 70 letni już wówczas odnowiciel katedry, dnia 23 kwietnia 1776 miał tę wielką pociechę, uwieńczyć ją poświęceniem solennem.

Przeobrażenie katedry według planu Polejowskiego zmieniło z gruntu postać jej pierwotną. Przez zniesienie mnóstwa przybudowanych w różnych czasach, i bez żadnego względu na symetryą całości świątyni, kaplic i zaułków, uproszczono znacznie zarysy gmachu, jakkolwiek bardzo stracił na tem przeobrażeniu czysty styl gotycki wnętrza katedralnego, przez wprowadzenie ozdób i ołtarzy, wykonanych w stylu najróżnorodniejszym. Na korzyść odnowionej świątyni wyszła redukcya i stosowniejsze rozstawienie ołtarzy, których dawniej bywało po 32, od czasu przeobrażenia zaś jest 13. Tą ostatnią zmianą osiągnięto także pewien ład i swobodę w świątyni, przedtem bowiem, dla mnóstwa ołtarzy, nawet duchowieństwo służbę bożą sprawujące nie miało dostatecznego miejsca. Nim poszczególnimy pojedyńcze kaplice przeobrażonej katedry, dodamy tu jeszcze, że na zewnątrz wzniesiono wieżę, którą widzimy na rycinie; drugiej takiej, jak było w planie, nie zdołał już wyprowadzić Sierakowski dla braku funduszów.

Wieża owa, oprócz dość sztucznej kopuły nie posiada ani z stylu swego, ani z ornamentyki nic, coby ją nadobną czyniło oku; nie mamy więc powodu żałować, iż druga taka nie stanęła, oprócz symetryi bowiem kościół nieby na niej nie zyskał. Wieża katedralna mierzy 34 sążni wysokości.

Wzdłuż nawy utworzono ostatecznie sześć kaplic, po trzy z każdej strony. Po prawej (od presbyteryum) znajdują się kaplice: „Najśw. Sakramentu“ (dawniej „Wiśniowieckich“); „N. P. Maryi Rzeźnickiej“ i „P. Jezusa Miłosiernego;“ po lewej a wprost wymienionych, kaplice: „P. Jezusa ukrzyżowanego,“ „N. P. Maryi kupieckiej“ (dawniej „Bractwa Literatów“) i „P. Jezusa ubiczowanego“ (dawniej Kampianich). Wzdłuż presbyteryum zaś, po, prawej między zakrystyą a pierwszą z przytoczonych kaplic nawy po tej samej stronie, znajduje się obszerna kaplica „Świętych Patronów Polskich;“ po lewej, wprost ostatniej, kaplica „Zamojskiego.“ Przy obu tych kaplicach i nad takowemi są zakrystye, skarbiec i eremitarze, służące obecnie za mieszkanie dla służby kościelnej. Po obu też stronach presbyteryum w wysokości piętrowych eremitarzy umieszczone są loże, a nad drzwiami do kaplic Zamojskiego i Patronów Polskich chórki dla muzyki. Do uzupełnienia szkicu rozkładu całego gmachu katedralnego i to jeszcze dodać należy, że wraz z przeobrażeniem tego gmachu za księdza Sierakowskiego, i otoczenie katedry ostatecznie przybrało tę mniej więcej postać, w jakiej je dziś widzimy; mianowicie zaś zniesiono wówczas cmentarz kościół otaczający, tudzież parę kapliczek, luźno na nim stojących lub przypartych do kościoła; splanowano całe to miejsce i urządzono oprócz bocznych dwu wejść do kościoła, wejście główne, wprost wielkiego ołtarza, po pod sklepienia chóru wielkiego. Przy znoszeniu zaś muru obwodowego cmentarza ustawiono pod zewnętrzną ścianą kościoła od północy kamienny posąg „Chrystusa w grobie,“ który dotąd stał osobno naprzeciw bramy wjezdnej w obrębie cmentarza, na dzisiejszym placu katedralnym. Zewnątrz presbyterym ustawiono także wzdłuż ściany siedm kamiennych posągów świętych.

Rzućmy jeszcze okiem do wnętrza odnowionej w ten sposób przez Sierakowskiego świątyni naszej, i przypatrzmy się ozdobom jej ścian i sklepień. Wymalowanie takowych *al fresco* powierzono nieposplitemu wówczas w Polsce artyście Stanisławowi Stroińskiemu, Lwowianinowi, który już przedtem zasłużonej używał reputacyi, ozdobiwszy swym pędzlem wnętrze kościoła P. M. Śnieżnej na Krakowskiem. Jak się Stroiński wywiązał ze swego zadania, dziś jeszcze świadczą nam utwory jego w katedrze. Pomysły, rysunek, kolorowanie i perspektywa fresk jego, na tak utrudniającem kompozycyą tle, jakiem są ostro łamane sklepienia gotyckie, dowodzą znakomitego talentu artysty polskiego XVIII. wieku. Oprócz presbyteryum całego i nawy, wymalował Stroiński także obie zakrystye i kaplicę Najśw. Sakramentu. Z licznych grup, treści przeważnie biblijnej lub allegorycznej, zdobiących ściany i sklepienia katedry, a które wszystkie są pędzla Stroińskiego, wymienimy tylko niektóre; mianowicie zaś cztery sceny na ścianach presbyteryum, przedstawiające łaski doznane w cudownym obrazie Bogarodzicy, znajdującym się w wielkim ołtarzu. Pierwsza przedstawia dziekana katedralnego Jana Sulikowskiego, sładającego z ludem dzięki Bogarodzicy za ocalenie swe podczas wypadku nieszczęsnego w podróży; poniżej zaś stoi arcybiskup Sierakowski w gronie osób duchownych i świeckich, między któremi wyobraził się i sam Stroiński w kontuszu, a syna swego i pomocnika Antoniego w stroju francuzkim. Na rozwiniętej obok wstędze umieszczony jest opis kilku cudów doznanych w wspomnianym obrazie, tudzież sprawdzenie faktu, iż Sierakowski uznał w r. 1766 obraz ów za cudowny. Druga scena przedstawia klęczącego przed cudownym obrazem króla Jana Kazimierza, kiedy w r. 1656 składał w katedrze lwowskiej ślub polecający opiece Bogarodzicy państwo swoje i naród. Obie powyższe sceny malowane są po prawej stronie presbyteryum; na przeciwległej ścianie wymalowaną jest scena ofiarowania Matce Boskiej zdobytych na nieprzyjacielu chorągwi, pod którą stoi olbrzymich kształtów rycerz, jako wyobrażenie całego stanu rycerskiego, z tarczą noszącą napis: „Regina Regni Poloniae.“ Wymalowany jest w końcu na tej samej ścianie Jan Sobieski, jako marszałek i hetman w. kor., w olbrzymiej postaci, w zbroi i z buławą w dłoni, a niżej tarcza z napisem łacińskim: „Wyzdrowienie chorych.“ Przypomina ten napis wyzdrowienie po ciężkiej chorobie Sobieskiego w r. 1672, które bohaterski mąż ten przypisał łasce cudownego obrazu Matki Boskiej w wielkim ołtarzu, i na pamiątkę tego ofiarował ulane ze srebra popiersie własne. Nadmienić też wypada, że jednocześnie z Stroińskim, nadworny Sierakowskiego malarz, Włoch Tavellio, wymalował wnętrze eremitarza nad kaplicą Zamojskiego.

Istniejące dziś w katedrze lwowskiej ołtarze są dziełem różnych rąk i czasów, wspaniały jednak ołtarz wielki i kilka innych, nie mniej pięknych, zawdzięczyć mamy Sierakowskiemu. Dla wspomnionego już wielokrotnie obrazu N. P. Maryi w ołtarzu wielkim, złotnik lwowski Maciej Miller wyrobił w niży srebrny tron, a jubiler Piotr Challier sukienkę złotą i dwie takież korony, dyamentami wysadzane, dla Matki Boskiej. Zasuwa dzisiejsza dla obrazu tego, wyobrażająca Wniebowzięcie N. P. M., jest pędzla malarza Marcina Jabłońskiego. Szczegóły zresztą tego rodzaju, jak posadzka, stopnie wiodące z nawy kościoła do jego presbyteryum, stopnie ołtarzów i odrzwia sporządzone są z płyt trembowelskich lub z marmuru konkolnickiego; kolumnady ołtarzów w drzewie rzeźbione i mozajkowane lub złocone; nie mniej stalla dla prałatów

i kanoników w presbyteryum, niepotrzebnie później polakierowane, tudzież konfesyonały, balustrada odgradzająca presbyteryum od nawy, i stalla pod chórem głównym przez ławników lwowskich za Sierakowskiego fundowane, pięknej są roboty snycerskiej. Kaplice „P. Jezusa Ubiczowanego“ i „Miłosiernego“ wyłożone są całe marmurami i alabastrem, a rzeźba ich jest wcale niepoślednią.

Wielką istotnie krzywdę wyrządzono przyszłości podczas restauracyi katedry za Sierakowskiego, usuwając gdzieś bez śladu mnóstwo nagrobków, pomników i tablic pamiątkowych dawniejszej daty. Nie wiele ich też dzisiaj zobaczyć można w katedrze lwowskiej. Kilka zniesionych pomników poprzedników Sierakowskiego na stolicy lwowskiej zastąpił jeden, znajdujący się przy drzwiach do zakrystyi po prawej stronie wielkiego ołtarza, a składający się z białej marmurowej tablicy, ozdobionej w około rzeźbą z czarnego marmuru, i stosownym napisem zaopatrzonej. W posadzce zaś presbyteryum, w miejscu gdzie jest wejście do sklepionych grobów arcybiskupów, położył Sierakowski płytę marmurową, ozdobioną godłami arcybiskupiemi, wyrobionemi ze spiżu. W kaplicach katedralnych znajdują się nadto marmurowe pomniki arcybiskupów lwowskich: Zamojskiego, Tarnowskiego, Sierakowskiego i Ferdynanda Kickiego, następnie pomnik Stanisława Żółkiewskiego, wojewody ruskiego a ojca wielkiego hetmana; piękny pomnik pod amboną z różnobarwnych marmurów złożony, pamięci Bogusława i Konstancyi Ustrzyckich położony, i okazały pomnik z czarnego marmuru kasztelanowej Katarzyny z Ossolińskich Jabłonowskiej; wreszcie nagrobek niewiadomo komu poświęcony, przedstawiający ze spiżu rycerza w pełnej zbroi, w postawie leżącej, z szyszakiem u boku. Z tablic pamiątkowych wymienimy: arcybiskupów Skarbka i Ankwicza. Ostatniemi czasy wmurowano też u głównego wejścia znaleziony przypadkiem nagrobek marmurowy obywatela lwowskiego Stanisława Henel'a z r. 1570. Pamięć fundatora zniesionej zupełnie za Sierakowskiego, a słynnej w swoim czasie kaplicy „Domagalickiej,“ Wojciecha Domagalicza, uczczono umieszczeniem stosownego napisu i wizerunku tegoż Domagalicza na zewnętrznej stronie ściany od wielkiego ołtarza, ku dzisiejszej ulicy Halickiej, gdzie właśnie przed laty stała w mowie będąca kaplica.

Nie będziemy tu wyliczali wiele cennych pamiątek, przechowywanych w skarbcu katedralnym, i zdobiących ściany kaplic i zakrystyj obrazów, z których kilka posiada znaczną wartość jeśli nie artystyczną, to historyczną i pamiątkową. Bogato zaopatrzoną jest katedra lwowska, dzięki pobożności minionych pokoleń, w przybory i szaty kościelne, których zresztą znaczną ilość zabrał był rząd austryacki na potrzebę Napoleońską. Zarządowi dzisiejszemu katedry należy się też uznanie, iż nader gorliwie i z znajomością rzeczy zajmuje się sprawdzeniem i restauracyą pamiątek, i gdzie potrzeba naprawą murów świątyni i w ogóle przyprowadzeniem jej do zupełnego porządku.

Wiele wspomnień historycznych wiąże się z dziejami metropolii lwowskiej, bo nie było prawie po Kazimierzu W. króla, nie było znakomitszego w Rzeczypospolitej senatora, któryby nie uczcił jej obecnością swoją i wotum pobożnem. Na stopniach jej ołtarzy król Jan Kazimierz w r. 1651 składał modły dziękczynne wraz z zdobytemi na nieprzyjacielu chorągwiami, a w r. 1656 na tychże samych stopniach klęcząc ślub czynił pobożny, opiece Bogarodzicy oddając rozszarpane już prawie bez nadziei ratunku przez nieprzyjaciół królestwo Polskie. Kilka synodów kościelnych odbywało się też w murach świątyni naszej, a z kazalnicy jej padało ludowi słowo wielu świętobliwych mężów, jak Skargi, Marcina Laterna i innych. I to nam dziś podnieść należy, iż właśnie w czasach, kiedy nieszczęśliwa Rzeczpospolita nasza dopełniała dni swego upadku, bo około r. 1772, zacny Sierakowski odnawiał nam i zdobił tę świątynię, jakby na pokrzepienie skołatanej wiary serc polskich i otuchę potomnych pokoleń...

Nie brak też i groźnych momentów w dziejach katedry naszej. Dotąd widzieć można dwie kule armatnie, zawieszone na zewnętrznej ścianie presbyteryum i zakrystyi, a pochodzące z oblężenia Lwowa przez Turków i Tatarów w r. 1672. Pod jedną z tych kul czytamy następujący napis łaciński: „Podczas oblężenia Lwowa przez Turków r. p. 1672 dnia 29. września, kula ta 36 funtowa wystrzelona z działa, padła przez wschodnie okno za wielkim ołtarzem w środek kościoła i zatrzymała się bez uszkodzenia czegokolwiek pod krucyfixem, kiedy właśnie noc św. Michała arch. srożyła się straszną burzą z błyskawicami i piorunami...“

Oto w najściślejszem streszczeniu dzieje katedry lwowskiej i wielokrotnego przeobrażenia jej kształtów. Dokładny i szczegółowy opis takowych znajdzie czytelnik w wydanej niedawno we Lwowie książce p. t. „Kościół katedralny lwowski obrządku łacińskiego, przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego,“ za którą to pracę miło nam też wyrazić przy tej sposobności szczere uznanie i dzięki szanownemu Autorowi, który z niemałym zapewne trudem zebrał i zestawił rozprószone materyały historyczne, i pierwszy w pięknej całości przedstawił nam owe dzieje, zarówno sympatyczne i miłe sercu polskiemu, jak pouczające.

ORSZA.



Stanisław Moniuszko.

STANISŁAW MONIUSZKO.

Bolesna i świeża jeszcze strata, którą ponieśliśmy, nie pozwala nam z całym spokojem krytycznym zastanowić się nad bogatą i pełną chwały działalnością zmarłego mistrza; czynimy więc tylko zadosyć sercu naszemu i narodowemu obowiązkowi, podając w tym krótkim zarysie kilka szczegółów biograficznych i pobieżny chociaż przegląd licznych dzieł znamienitego naszego kompozytora, pozostawiając bieglejszemu i bardziej specyalnemu pióru wyczerpujące studyum.

Śmierć Moniuszki jest wielkim ciosem dla narodu. To jeszcze jedna głowa wystająca po nad tłumy, na którą oczy całego cywilizowanego świata były zwrócone; to jeszcze jedna chwała nasza schowana w czarną ziemię i głęboką po sobie zostawiająca lukę w szeregach pracowników narodowych. Muzyka polska, żałośna po Szopenie, opłakiwać musi tę nową stratę równą dawniejszej, jeżeli nie cięższą od niej. Bogowie odchodzą! Dwaj ci mistrze związali sztukę naszę ze sztuką całego cywilizowanego świata, zdobyli dla niej wybitne miejsce, napiętnowali charakter narodowy w swoich utworach, zużytkowali motywy pieśni ludowych, nietylko Polski ale całej Słowiańszczyzny bogactwem będące. Czego cały zastęp kompozytorów naszych dokonać nie potrafił, depcząc kosmopolitycznemi śladami to za muzyką francuzką to za włoską, lub niemiecką, Szopen i Moniuszko dokonali. Stworzyli muzykę polską, muzykę, na którą jak na duszę szerokiej ojczyzny naszej, złożyły się i rzewna dumka ruska i dziarski krakowiak i mazur hulaszczy i pół dzika pieśń litewska.

Jeżeli można porównywać ze sobą geniusze, których forma różną była, to powiedzieliśmy, że jak Szopen był Słowackim muzyki naszej, tak Moniuszko był jej Mickiewiczem. Kapryśna i melancholijna imaginacya pierwszego, oddychająca niewymowną tęsknotą, pożyczająca nieraz tematów obcych, a jednak zawracająca zawsze do jakiejś znanej polskiemu sercu melodyi; spokój, powaga, głębokość, swoboda i równe natężenie natchnienia u drugiego przy cudownem odczuwaniu ducha swego narodu usprawiedliwiają i potwierdzają to podobieństwo. Moniuszko pojmował to swoje pokrewieństwo z największym z wieszczów naszych i z roskoszą żenił pomysły swoje muzykalne z jego pomysłami: Czaty, Widma, Trzech Budrysów itd. służy za dowód.

Ta cecha narodowa Moniuszki jest dla niego największym tytułem do wdzięczności naszej i uniwersalnej sławy. Czuli to Czesi i Rosyanie, okrywając oklaskami „Halkę" i Mildę, czuła publiczność francuzka i niemiecka, roskoszując się za życia kompozytora oryginalnością i świeżością jego motywów, które Polsce był winien, a po śmierci głosem prasy swojej konstatując tę wybitność narodową Moniuszki, jako najcelniejszy jego przymiot, i uważając nasz smutek za smutek całego cywilizowanego świata.

Kto jednak nie znał bliżej Moniuszki i opłakuje go tylko jako artystę, znał go tylko i żałuje w połowie. Dopiero w życiu prywatnem zmarłego mistrza ujrzeć można było i ocenić źródło, z którego tyle dzieł pięknych wytrysło. Źródłem tem była najczystsza i najszlachetniejsza dusza; prostotą dziecka, wrażliwością artysty, wiedzą wszechstronną i chciwie rozszerzaną, niewymowną miłością dla ojczyzny bogata. Dość powiedzieć, że Litwa go wydała ażeby zrozumieć, jak ta wybrana natura musiała być posażną.

Stanisław urodził się 5 maja 1819 r. (1820) w majątku dziedzicznym rodziny swojej, Ubielu, położonym w gubernii mińskiej, niedaleko miasteczka Śmiłowicz. Ojciec jego Czesław, ożeniony z Elżbietą Madżarską, dosłużył się w armii Napoleona stopnia kapitana. Był to człowiek wielce towarzyski, gorąco rozmiłowany w sztukach pięknych, i niczego na zaspokojenie smaku tego nie szczędzący — co nawet pośrednio stało się następnie powodem ruiny jego majątku; matka obdarzona artystyczną duszą; poświęcająca się z zapałem muzyce i spiewowi, które nad wszystko przenosiła, musiała widocznie pierwsze i stanowcze zarody tej miłości w duszę Stanisława przelać. Utracił ją w roku 1850. Miłość, jaką dla niej żywił, zaznaczył w kilku utworach, które są jakby łzawemi jej wspomnieniami; takim jest pieśń do słów Prusinowskiego: „O matko moja," i daleko poźniej arya Stefana w trzecim akcie Strasznego dworu: „Boże mój! melodya ta." W jedenastym roku oddany został do szkoły wojewódzkiej księży Pijarów w Warszawie, zostającej wówczas pod rektorstwem księdza Pawła Kotowskiego. W tym czasie prowadził studya swoje muzyczne dalej pod przewodnictwem żyjącego dotychczas jeszcze prof. Augusta Frejera, znakomitego organisty przy kościele ewangelicko-augsburgskim. Z tej pory datuje się ten silny pociąg Moniuszki do muzyki kościelnej, któremu tyle pięknych dzieł zawdzięczamy. Dokończył nauk w szkołach mińskich, muzykę biorąc od Dominika Stefanowicza.

W 1837 r. wybrał się do Berlina. Był to pierwszy krok jego na drodze przyszłej znakomitości. Pod wpływem prof. A. F. Rungenhagena nabył obszernych wiadomości w nauce kompozycyi. Powróciwszy do domu znalazł majątek w ruinie i postanowił sam zdobyć sobie wszystko. Zamieszkał więc Wilno, poświęcając się lekcyom muzyki. Tam w 1840 ożenił się z Aleksandrą Millerówną i wkrótce

potem zamianowany został organistą przy kościele ś. Jana. Znalazłszy raz chociaż skromne stanowisko, z całą gorączką talentu i młodości rzucił się do realizowania swoich muzykalnych pomysłów. Działalność jego na tem stanowisku jest zdumiewająca. Obok prac oryginalnych różnorodnych, rozwijał smak muzyczny w publiczności, przez urządzanie towarzystw, częścią z artystów częścią z amatorów; z niczego prawie utworzył wyborną orkiestrę, z pomocą której wykonywał klasyczne dzieła muzyczne, i uporną pracą zdołał wreszcie pociągnąć ku sobie zbałamuconą i niezwyczajną poważnej muzyki publiczność.

W tym czasie pisał znane a nienaśladowane nigdy ze względu na wzniosłość, powagę, szerokość stylu oraz oryginalny charakter swój „Litanie Ostrobramskie;“ kilka małych oper jak: Loterya, Ideał, Nowy Donkiszot, Nocleg w Apeninach, Woda Cudowna Jawnuta, oprócz tego czarował publiczność coraz nowemi kompozycyami do spiewu i na fortepian, które wciąż większy zyskiwały mu rozgłos, i stworzył „Widma“ z Dziadów Mickiewicza, o którym to utworze obszerniej niżej wspomnimy.

W 1840 r. 20 grudnia w sali Müllerów amatorowie przedstawili po raz pierwszy jego „Halkę“ w pierwotnem obrobieniu, to jest we dwóch aktach tylko; w rok potem wystawiono w Wilnie i w Petersburgu kantatę mitologiczną „Milda“; która ogromny szacunek pomiędzy Rosyanami autorowi zjednała.

Wkrótce rozszerzył Halkę do 4ech aktów, ale daremnie starał się o wystawienie jej na scenie Warszawskiej.

Dopiero 1 stycznia 1858 r. w Teatrze Wielkim ją wystawiono. Dzieło to rozniosło szeroko i ugruntowało sławę Moniuszki. Wezwany na dyrektora opery polskiej w Warszawie przeniósł się tam 1go sierpnia 1858 r. i aż do śmierci pozostał.

Nareszcie talent jego pozyskał pole i środki jakich mu było potrzeba.

Otworzywszy sobie Halką wrota sceny lirycznej, rozpoczął Moniuszko dla niej gorliwą pracę, której najprędszym owocem była jednoaktowa opera „Flis“ do słów Bogusławskiego; w 1860 zaś opera większa trzyaktowa, pół serjo, „Hrabina“ z libretem Wolskiego. Postęp w każdej z tych prac coraz widoczniejszy. Rozrzutny jak bogacz pełnemi świeżości i uczucia melodyami, które jak n. p. „Szumią jodły“ — z Halki, piosnki Broni, chór myśliwski i mistrzowski instrumentalny polonez z „Hrabiny“ niesłychanej u nas popularności się dorobiły; zrozumiał jednak Moniuszko potrzebę kunsztowniejszego uzupełnienia i traktowania swoich oper, bądź to w instrumentacyi i rozłożeniu głosów, bądź w obrobieniu ustępów zbiorowych. „Verbum nobile“ daje już świadectwo tej upartej pracy mistrza nad sobą; a opera „Straszny Dwór“ do słów Chęcińskiego, zaćmiewa poprzednie doskonałością budowy swojej i hojnie rozsianemi po niej pierwszorzędnemi pięknościami, że przytoczymy tylko „Prolog,“ pieśń Skołuby, lub aryę Stefana przy zegarze.

„Parja i Beata“ do słów Chęcińskiego są tryumfem formy i świadectwem doskonałej świadomości środków, któremi rozporządzał kompozytor; stanowią te trzy ostatnie utwory kulminacyjny punkt w rozwoju talentu Moniuszki, który już teraz świadomy siebie, spokojny i potężny, popłynąłby jak wielka rzeka na sławę narodu i pożytek sztuki. Niestety śmierć w najpiękniejszej chwili istnienie mistrza przecięła!...

W dziale kantat koncertowych, które wraz z pieśniami najodpowiedniejszemi były usposobieniu i rodzajowi talentu Moniuszki, wspominamy tu przedewszystkiem dwie kantaty mitologiczne Mildę i Niołę; utwory majestatyczne i zadziwiających efektów pełne. Ale „Widma“ pięknością swoją przenoszą wszystko.

To dziwne zespolenie się muzyka z poetą, ten Rembrandtowski ciemny koloryt pełen jednakże ciepła i życia, ta osobliwa potęga natchnienia, artyzm w obrobieniu, rozmaitość obrazowania w nich, podziwieniem i zachwytem przejmują. Też same przymioty i silniejsza jeszcze plastyczność w obrazowaniu uderzają w muzyce opisowej do Sonetów krymskich, w której muzyk wszystkie intencye poety pojął, wszystkie luki pomiędzy słowem a natchnieniem pozapełniał, wypełnił obrazy, wzbogacił je nowemi wrażeniami na słuchaczy i utworzył dzieło organiczne z poezyi i tonów.

Ten pomysł dopełnienia poety przez muzyka należy do najszczęśliwszych Moniuszki. Ileż to razy czuje się, jak słowo niedostatecznem jest, jak twardem i upornem, jak pozbawionem subtelności do oddania pewnych drgnień duszy, pewnych odcieni kolorytu. Jak mocować się potrzeba z myślą i wyobraźnią czytelnika, zanim się ją rozgrzeje, uczyni zdolną do zespolenia duchowego z poetą i podniesienia się na jego wyżynę! Połączyć muzykę z poezyą, jest to pomódz wyobraźni czytelnika, jest to wzbogacić środki wrażenia, jest to wydobyć na jaw ową tajemniczą dospiewkę, która po wykonaniu utworu zostaje jeszcze w duszy poety, najczęściej nieznajoma czytelnikowi niepojęta dla niego, bo niedająca się słowem wyrazić; bo wchodzi już w zaczarowane królestwo harmonijnych i chaotycznych dźwięków, w krainę melodyi. Muzyka jest naturalnem dopełnieniem poezyi, bo nieprzestaje być jeszcze słowem ludzi, a zaczyna być już słowem aniołów. W tym kierunku Moniuszko oddał nieporównane przysługi sztuce. Jego muzyka do Ballad, do niektórych pieśni, np. do Czatów, Budrysów, Prządki zdumiewa charakterystyką nie tylko uczuć ale sytuacyi; gdybyśmy się nie obawiali zniżyć mistrza, powiedzielibyśmy swoją harmonią naśladowczą prawie; a pieśni jak „o Zosi Sierocie“ muzyka do „Trenów Kochanowskiego“, Panicz

i dziewczyna, humorystyczno-rodzajowe utwory jak „Dziad i Baba“ „Kum i Kuma“ pozostawiają w niepewności, czemu pierwej się dziwić, czy uczuciu, czy bogactwu i rozmaitości zwrotów, czy jowialności rodzimej w zacięciu, czy powadze, czy tym wszystkim wreszcie przymiotom, zastosowanym mistrzowsko, a wynikającym z głębokiego pojęcia poetów i równej im siły, pod inną formą.

Jako muzyk umiał Moniuszko stroić te pieśni swoje w kunsztowne akompaniamenty, niezacierające bynajmniej naczelnej myśli; przeciwnie akompaniament zlewał się udatnie z całym szeregiem udatnych modulacyi nie stanowiąc dwóch rzeczy odrębnych; powstawał bowiem jednocześnie z melodyą, z jednego embryonu, że tak powiemy. Ten dar zespalania pomysłów, ta niesłychana łatwość tworzenia, umiejętność podkładania muzyki pod najzawilsze teksty, tłómaczą tak ogromną liczbę utworów Moniuszki, szczególniej pieśni, które zawarte z początku w sześciu „Spiewnikach domowych“ wciąż nowemi wzbogacały się wydaniami i pracami.

Bogactwo talentu nie zachęcało Moniuszki do tworzenia dzieł czysto instrumentalnych, jednakże i w tym kierunku napisał kilka dzieł już to na fortepian już to na orkiestrę, a prześliczna jego uwertura „Bajka“ szkołą instrumentacyi i wzorem bujności fantazyi być może.

W dziale muzyki religijnej pozostawił Moniuszko wiele prac cennych, w których umiał połączyć klasyczną surowość i powagę niemieckiej szkoły, ze słodyczą i melodyjnością włoskiej, nadając przy tem wszystkiem utworom swoim jakąś cechę pieśni religijnej rodzinnej, której nigdy zatrzeć nie mógł. Wyrósł na Bogarodzicy i kantyczkach. Znaczniejsze z tych utworów są wspomniane już „Litanie Ostrobramskie“ i kilka mszy, Requiem z organami i kwartetem smyczkowym, oraz mnóstwo modlitw i hymnów.

Nareszcie zamykając ten zarys działalności Moniuszki, nie możemy pominąć ważnej jego pracy na polu teoryi muzyki, którą są „Zasady harmonii,“ wyłożone jasno i gruntownie, wzbogacające bardzo tak ubogą muzyczną literaturę naszą.

To użyteczne życie w pełnej sile, bo ledwo w 54 r. przecięła śmierć zawczesna i nagła 4 czerwca r. b.

Geniusz umarł jak umierają geniusze: czysty jak anioł, przy bolesnym i ogromnym okrzyku całej Polski, ba świata całego prawie, ubogi jak Job, przekazując rodzinę swoję ubogą — narodowi, który zbogacił.

Kto wie, czy duch jego nie drży tęskliwie po nad drogiemi mu głowami, czekając, jak Polska z długu zaciągniętego sierotom się wywiąże. Początek już zrobiony, broń Boże nie myślmy, że więcej jak początek. Gotowi byśmy zatrzeć ręce radośnie i... zapomnieć!

Władysław Ordon.

SUKNIA BALOWA.

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW ORDON.

I.

Przedmieście wązkie było i stłoczone,
Dom się do domu tulił przyjacielsko,
Latarnie we mgłe błyskały czerwone;
Czasem fabryka swe olbrzymie cielsko,
Po nad ścieśnione wychyliła dachy,
I nad kościółkiem błysnął krzyżyk z blachy.

Po nad przedmieściem zwisła noc zimowa,
Noc pobielana odblaskami śniegu;
W powietrzu cisza martwa i surowa:
Jakby zmrożony świat przystanął w biegu,
Jak gdyby tego zakąteczka cała
Ludność, dotknięta czarem, skamieniała.

Lecz uchu bystrzej tonącemu w ciszę,
Życie tętniące schwycić można było:
Gdzieś tam huknęli żwawi towarzysze,
Z ciemności gardło pijane zawyło,
A nad tem wszystkiem, — jak na Podniesienie,
Organu niskie, monotonne drżenie, —
Szumiało, w kurzu skąpane i dymie,
Wielkiego miasta dyszenie olbrzymie.

O złudny nocny wielkich miast spokoju,
Ktoby ci wierzył, — głuchą by miał duszę!
Ileż jest w tobie ukrytego boju!
Jakie bez jęku — wrą w tobie katusze,
Jakie rozpaczne odczuć można drgnięcia,
W twym śnie łagodnym, — niby sen dziecięcia!

Lecz teraz jeszcze miasto nie zasnęło,
Chociaż przedmieście zmilkło już na poły;
W mieście dziś książe bal daje wesoły:
Tysiące świateł przez okna błysnęło,
Pań tysiąc świetnych stroi się i krząta;
Na bal czas jeszcze, — dopiero dziesiąta.

Och, ileż rąk się zaciska kurczowo,
Nad koronkami z pajęczych włókienek:
Ileż pań pięknych z rozpaloną głową,
Niedokończonych wygląda sukienek,
Po nad któremi w pośpiechu i męce,
Drżą pilnych szwaczek biedne, chude ręce!

I tu — w przedmiejskim domku — przez okienko,
Umalowane zimowemi kwiaty,
Widać, jak szwaczka nić wyciąga cienką;
Ma na kolanach szlak sukni bogatej.
Suknia to na bal; — na suknię hrabiny,
W mroźnej izdebce spływa pot dziewczyny.

O jakże spieszno — a jak siły mało!
A skończyć trzeba — na chleb i na drzewo,
Trza zebrać ciepło, co w ciele zostało,
Trza przetrzeć oczy i nad tą ulewą
Kwiatów, koronek schylić głowę bacznie,
Choć serce bije słabo a rozpacznie!

Podlała lampę i w kształt błyskawicy
Blask olśnił suknię i twarz robotnicy:
Wysmukłe było dziewczę a schylone,
Pod własnym swoim schylone ciężarem;
Niebieskie oczy miała łzą zamglone,
Gorące jakimś suchotniczym żarem,
Włosy związane z kokieteryą smutną;
Usteczka blade, — twarz białą, jak płótno.

Na ciemnej lekkiej, wytartej sukience
Czerwony pasek z kokieteryą smutną,
Zębami mrozu pokąsane ręce,
Bledziutkie usta, twarz białą, jak płótno:
Przed nią, szydersko błyskając, leżała
Suknia hrabiny jedwabna i biała.

O jakiż przepych świecił z tego cudu!
Zaledwie jeszcze kilkadziesiąt ściegów,
Hrabina przejdzie wśród gości szeregów,
Niby królowa przez tłum swego ludu,
A jakiż będzie miała blask wspaniały,
Różowa taka, w sukni takiej białej!

I robotnica opuściła dłonie,
Na własnej ręki swojej patrząc dzieło:
Kwiatów bez miary dół sukni opięło,
W koronkach drogich każdy brzeżek tonie,
Jedwab przelewa się mięciuchną falą,
W pasku się perły dwie łagodnie palą.

I robotnica, aż złożyła ręce,
Patrząc na swoje dzieło upojona,
I nie myślała wtedy o swej męce,
O tchu, co w piersiach zrywa się i kona,
O tem, że jeszcze nie jadła od rana,
Że mróz przy piecu wypił wodę z dzbana,
Że przyszłość czarna, jako jej ognisko,
Że dach nad głową niski i pochyły,
Że wiatr przewiewa, jak tchnienie mogiły,
Że Bóg daleko — a nędza tak blisko:
Tylko tuliła jedwabie do łona,
Dziko, kobieco, tej sukni spragniona.

Któż zgadnie ludzkiej natury tajniki!
Wszystkie stłumionej tej młodości krzyki,
Wszystkie pragnienia, jak morze w przypływie,
Wzniosły się w sercu złamanej dziewczyny,
Prawa do szczęścia raz pierwszy, jedyny,
Powstały buntem w piersi pół umarłej,
Wstrząsnęły myślą potężnie i chciwie,
I wielkiem „pragnę!“ z duszy się wydarły.

Z modlitwą niemą wzniosła wzrok w niebiosy,
Balową suknię trzymając z pieszczotą:
Między dachami, gwiazda z twarzą złotą,
Na szmatku nieba rozpuściła włosy,
Śnieg kradł brylanty jej bujnym warkoczom,
Ona się śmiała robotnicy oczom.

I przyszła szwaczce na myśl powieść rzewna,
Na wieczornicy kiedyś usłyszana;
Że z takiej gwiazdy wróżba zawsze pewna,
I prośba do niej zawsze wysłuchana,
Jeśli na prośby lub życzenia słowo,
Spadnie z błękitów smugą brylantową.

Tak brzmiała baśń ta, a lud baśniom wierzy,
Bo wszelka wiara balsam jest na rany.
Więc wzrok dziewczyny, cały zwierciadlany,
Po drodze mlecznej, do tej gwiazdy bieży,
Nad nią się schyla i ustami ducha
Pierwsze życzenie szepce jej do ucha:

— Szwaczka chce na bal pójść w tej sukni białej —
Już powiedziała gwieździe i wisząca,
U jej promienia, odpowiedzi czeka;
A myśl jej bardziej niźli światło lekka,
Skrzydlata bardziej, zwątpienie odtrąca,
Wyprzedza wyrok, w suknię ją obleka
I sen balowy daje jej wspaniały:

Harmonii potok niesie ją po sali,
Roskosznie na niej drogi strój szeleszcze,
W koło się leją pochwał wonne deszcze,
Krew tętni w uszach, krew w żyłach się pali,
Pierś się rozszerza i życie się dwoi...
Wiątr ją rozbudził zawywszy pokutnie:
Spojrzała w niebo... gwiazda stoi smutnie:
— Nie, na bal suknia ją ta nie ustroi. —

Lecz wiara nędzy jest dziwnie uparta,
Gdy się raz zdoła do serca przecisnąć;
Dziewczę znów idzie na gwieździe zawisnąć,
Twarz jej rumieni się, jak biała karta
W gockim misselu, po pod mnicha ręką:
— Szwaczka do ślubu chce iść z tą sukienką. —

Ślub! O czarowne słowo i przyćmione,
Jak lampa w głębi dziewiczej alkowy!
Marzenia, nigdy nie wydane słowy,
Z serca najczulsze, a ze krwi szalone!
Ubogi człowiek, jak ona, przy boku,
Z silnem ramieniem a dziecięcą twarzą,
Organów głosy, — szmery w ludzi tłoku,
Światła i kwiaty, — kumoszki, co gwarzą,
Na pół rubasznie a na poły rzewnie,
Wiosenno, Boże, ach jak w sercu spiewnie...
Tu ją otrzeźwił wrzask ulicznej kłótni,
Zaledwo oczy podnieść się odważa,
Spojrzała w niebo: gwiazda stoi smutniej...
— Nie! jej w tej sukni nie iść do ołtarza. —

Spoczęła chwilę i przymknęła oczy,
Potem je b[illegible] uśmiechem rozwarła;
I znowu myślą na niebo się wdarła,
I uwisnęła u gwiazdy uroczej.
Ostatni raz już prosić ma ją prawo,
Ostatni raz już prosić niełaskawą;
Drży o tę próbę, och, bo chce koniecznie,
Posiąść tę suknię, posiąść choć na chwilę;
Pierwszy raz może prosiła niegrzecznie,
Drugi raz może prosiła nie mile,

Więc teraz błaga słodko i nieśmiało:
— Chce iść do trumny z tą sukienką białą —

Och, tu odmowy jużby nie przeniosła!
Wiąc całą siłę zbiera wraz i ściska,
Z ciała krew cała, niby do ogniska,
Do bijącego serca się przeniosła,
Żar tylko życia pozostał w jej oczach,
Co zwisły chciwie na gwiazdy warkoczach.

W powietrzu cisza zrobiła się cichsza,
Błękit się zciemnił do nieba ostatków;
Jakby ta szwaczka ze stworzeń najlichsza,
W około miała współczujących świadków,
Jak gdyby również serce ich czekało:
Co to się stanie z tą sukienką białą.

A gwiazda jakby zaklęciem ciągniona,
Drgała i trzęsła się u niebios łona;
Jakby wyroków, chciała przeprzeć słowo,
Chwiała ponuro promienistą głową;
Współczucie miała bezdenne w źrenicy,
I tak patrzała w oczy robotnicy,
Że te wciąż słabiej łowiąc blask rozpierzchły,
Od wytężenia martwiały i mierzchły.

Naraz się błękit splamił srebrną smugą,
I niebo w głębszą ciemność się okryło!...
A z piersi szwaczki hamowany długo,
Krzyk się radości wyrwał z wielką siłą,
Wzrósł spazmatycznie, drgnął i pęknął z jękiem!
A lecąc, światłem zdawał się nie dźwiękiem:
Tak, żebyś przysiągł, że w nagłym przelocie,
Dwa się minęły blaski, całe w złocie:
Jeden spadł z nieba, wróżbą ziemskim losom,
Drugi z ust szwaczki pomknął ku niebiosom.

I cisza... Tylko u sąsiada grajka,
W skrzypcach jęk szwaczki zawibrował smutny,
Najprzód miał dźwięki potężne i ostre,
Potem wciąż cichszy, miększy i pokutny;
Choć mędrzec powie, że to tylko bajka
Ja więcej prosty, odeń mniej okrutny,
Za szwaczkę zmówię Zdrowaś, jak za siostrę.

II.

Głucho zatętnił powóz po przed domem:
Po wschodach idzie ktoś z trzaskiem i łomem.

— Więc tutaj mieszka?...
— Tutaj, Jaśnie pani,
— Okropność! Jeszcze bal mój stracę dla niej,
Baptysto, rękę!... Tu poręczy niema;
Jak chodzą tędy?...
— Przy ścianie się trzyma,
Każdy, jak może...
— Lecz po ścianie ciecze!...
Ach, krawcze, krawcze, szkaradny człowiecze
Zapłacisz mi to. Jechać tu!... drżę cała,
Lecz bym u niego czekać nie zdołała
Dłużej...
— Na lewo... to tu, Jaśnie pani. —

Drzwi się otwarły. Na szczerniałym progu
Stała hrabina, a za nią odźwierna,
A w głębi lokaj, cały w złoto kuty.

Och, jakaż przepaść czerniała niezmierna,
Między tą norą nędzy i pokuty, —
Której przyczyna znana tylko Bogu,
A wielką panią, o twarzy liljowej!

Izdebkę ledwo płomień purpurowy,
Mrący oświecał. Pani zadziwiona,
Krok postąpiła, stanęła, zadrżała,
Szepnęła cicho: — Suknia nieskończona!
I drżąc paluszek wyciągnęła biały,
Jak istny posąg zgrozy skamieniałej.

Tam... w głębi, ziemię zamiatając włosem,
Z twarzą bledziutką, na ustach z uśmiechem,
Jakby zwycięstwo odniosła nad losem,
Jakby poiła się muzyki echem,
Dobrze słyszanej już, choć oddalonej,
Upadła szwaczka na ziemi posłanie —
Na białej sukni twardo dłoń oparła,
Biorąc ją, w imię śmierci, w posiadanie.
Hrabinę zbudził wielki krzyk:
— Umarła!...
Joanno święta! Boże... co za troska!...
Komisarz... Sądy... Jezu! Matko Boska!...

Skinieniem ciszę nakazała Pani,
I postąpiła naprzód gorączkowo;
Spojrzała trwożnie w tę izbę grobową,
Na kawał chleba zmarznięty jak skała,
Z gestem niemego pytania wskazała,
Dotknęła pieca i cofnęła rękę,
Mrozem sparzona — i okiem nieśmiałem,
Nad robotnicy schyliła się ciałem...

Jaka to była tajemna rozmowa,
Tej wielkiej pani, z tym trupem — bez słowa,
Anieli w niebie wiedzą tylko sami;
Lecz tej kobiety wyniosłej i świetnej,
Profil jak marmur chłodny, choć szlachetny,
O czarnem oku świecącym matowo,
O purpurowych ustach, które pycha,
Pełnym hardości pędzlem rysowała,
Kłonił się niżej wciąż nad szwaczki głową:
Dotknięciem swojem miękkiem rzewność cicha,
Lody w tem dumnem sercu roztapiała,
I przypędziła w te oczy dostojne,
Dwie łzy królewskie, ciężkie, dwie łzy hojne.
I zrozumiała w tej chwili bez słowa,
Tę robotnicę martwą — ta królowa!

Podniosła głowę pani i skinęła,
Usta jej skrytem poruszeniem drżały:
Przy drzwiach spojrzała jeszcze i szepnęła
Świadkom:
— Pochować ją w tej sukni białej. —

III.

Toczył się ciężko ku rogatek stronie,
Czarny karawan. Na nim trumna biała,
Z głuchem stukaniem w takt się pochylała;
Na trumnie wieniec z kwiatów, cnocie w dani,
Odbijał jasno liśćmi wilgotnemi
Od białej sukni, co wybiegłszy z trumny,
W hojnych draperjach spływała ku ziemi.

Wśród tłumu biednych, — dwa rasowe konie
Dźwigały panią, co wznosiła ręce,
Do twarzy łzami zlanej — chłodnej, dumnej;
A z boku idąc lud się dziwił tłumny,
Łzom wielkiej pani i szwaczki sukience.

BIANKA MALIGIERI.

POWIASTKA HISTORYCZNA Z NIEMIECKIEGO

LUDWIKI MÜHLBACH.

I.



Siedziały razem na balkonie i spoglądały na Wielki kanał. Byłto przepyszny poranek wiosenny; zielone fale Lagunów uderzały z pluskiem o białe, marmurowe stopnie pałacu Maligieri.

Jedną z nich była Bianka Maligieri, ostatnia latorośl bogatego niegdyś i potężnego rodu Maligierich, drugą jej towarzyszka i przyjaciółka. Bianka była piękna; jej twarz jaśniała ową przeźroczystszą białością, jaką odznaczają się tylko Wenecyanki, a którą uwiecznił Titian w swoich Madonnach i boginiach miłości.

Jej duże, czarne oczy, ocienione długiemi rzęsami, miały wyraz smętny, melancholiczny; delikatne, lekko wygięte usta zdobił posępny uśmiech, a wysokie zamyślone czoło ocieniał włos kruczy, spadający w gęstych lokach aż na ramiona; piękną zaś i nadobną postać dziewicy podnosił jeszcze gustowny a świetny strój, jakiego używały zwykle damy najpierwszych rodzin szlacheckich w Wenecyi.

Opięty stanik z błękitnego aksamitu okrywał jej piersi; wiotką, smukłą kibić ściskał złoty pasek, u którego z boku wisiała filigranowa torebka złota, ozdobiona drogiemi kamieniami, a z pod paska spływała w szorstkich fałdach aż do stóp żółta suknia jedwabna, podpięta z lewej strony złotemi sprzążkami.

Była ona młoda, piękna, dostojna i bogata, a przecież nie zdawała się być szczęśliwą. Synowie najznakomitszych rodzin szlacheckich, przepływając w swych otwartych lub zamkniętych gondolach około pałacu Maligieri, powstawali na jej widok, spoglądali z czułością i uwielbieniem ku nadobnej dziedziczce i witali ją z wielkiem uszanowaniem; ona zaledwie dziękowała im lekkiem skinieniem głowy, nie mając dla nikogo ani spojrzenia, ani uśmiechu.

Przyjaciółka, siedząca obok niej, śledziła ją długo wzrokiem pełnym czułości, ale Bianka nie spostrzegła tego. W końcu zagrała na mandolinie, którą trzymała w ręku, kilka dźwięcznych akordów, a gdy i to nie zdołało ocucić Bianki z zamyślenia, zanuciła pełnym głosem jednę z owych czarujących pieśni, jakie usłyszeć można co chwila na Wielkim kanale i na Lido w piękne noce wiosenne i letnie.

Pieśń ocuciła Biankę z marzenia, i wzdrygnąwszy się jakby przebudzona w tej chwili, zwróciła oczy swe, które dotąd nic nie widząc, tylko we własne serce jej patrzyły, z wyrazem zajęcia na przyjaciółkę.



— „I cóż?“ — spytała Róża z uśmiechem; — „gdzie były myśli twoje, o czem marzyłaś?“

— „O niczem“ — odrzekła uśmiechając się posępnie. — „Zachwycam się widokiem Wenecyi. Patrz, jak cichutko prześlizgują się te gondole przed naszemi oczyma; tak lekko i nieznacznie, jak westchnienia, które zaledwie poczęte już znikają. Patrz, na chwilkę pozostawia przemykająca czarna łódka białą pręgę na zielonej toni, potem łączą się znów fale, i wszystko się skończyło! Tak się dzieje z życiem, tak z miłością i ze szczęściem! Wszystko znikome na tym świecie; nie ma nic trwałego, tylko boleść życia nie ustaje.“

— „Tyś znowu smutna“ — westchnęła Róża. — „Powiedz mi tylko, dla czego?“

— „Dla czego?“ — odparła zamyślając się. — „Nie wiem sama. Może zasmucił mnie blask słońca. Myślałam o tych wszystkich pięknych kwiatach, które ono rozwija,

a które rodzą się na to tylko, by po krótkiem kwitnieniu zwiędnąć i zginąć bez śladu.“

— „Nie, Bianko, kwiaty nie giną wraz ze słońcem, lecz żyją długo jeszcze potem, gdy słońce zanurzy się już tam w głębiach oceanu. Bądź wesołą, droga, wszak masz tyle powodów do tego.“

— „Nie mniej też mam powodów do smutku.“

— „Dla czego? Jakież są twoje cierpienia?

— „Mój Boże“ — zawołała Bianka żywo, — „ja wiem o tem, znam dobrze wszystkie powody, które powinne mnie pocieszać! Los jakby z rogu obfitości obsypał mnie swemi dary. Powtarzacie mi to przecież codziennie: Jestem młoda, bogata.“

— „I piękna“ — dodała Róża. — „Piękność przeważa wszystko inne. Wszyscy cię kochają. Najuboższy nawet gondolier nazywa cię, jak całe miasto, gwiazdą Wenecyi.“

— „A nikt nie wie, jak posępnie i bez blasku świeci ta gwiazda samej sobie! Mnie nudzi to, być tak uwielbianą. Alboż sądzisz, że te jałowe pochlebstwa, te westchnienia i powtarzane ciągle przysięgi miłosne mogą mnie odurzyć? To jest właśnie, co mnie zasmuca i często aż do łez pobudza. Pośród tych larw, co mnie otaczają, śród błyszczących tych lalek szukam serca, gorętszego uczucia, a zawsze napróżno! Uwielbiają mnie, ale nie kochają.“

Lekki szyderczy uśmiech prześliznął się po licach Róży. — „Czy widziałaś już dzisiaj Ludwika?“ — spytała po krótkiej przerwie.

Bianka zadrzała, i lica jej oblał gorący rumieniec. — „Zkądże on przyszedł ci na myśl? — spytała żywo. — „Nie widziałam go od wczoraj; nie był u mnie.“

— „Ha!“ — zawołała Róża śmiejąc się, — „o tym nie możesz powiedzieć, że zanadto uwielbia cię i nudzi swemi pochlebstwami. Ja sądziłabym owszem, że mógłby być grzeczniejszym.“

— „A mnie cieszy to właśnie, że on nie jest takim, jak drudzy. Jemu nie przystoją więzy etykiety, on potrzebuje wolności i swobody, jak młody orzeł, który rwie się ku słońcu. Nie dla niego życie powszednie. Jego duch sięga wyżej, i osiągnięciu ideału, który mu przyświeca, poświęca on wszystkie swoje siły, cały swój zapał młodzieńczy. On dąży ku słońcu, a ziemia nic go nie obchodzi.“

— „Byle tylko“ — rzekła Róża uśmiechając się i ze znaczącem spojrzeniem — „byle tylko słońce nie opaliło mu skrzydeł, i potem...“

— „Cicho!“ — przerwała jej Bianka pośpiesznie. — „Cicho!“

Przy tych słowach powstała szybko, i twarz jej przybrała całkiem inny wyraz. Oczy jej świeciły dziwnym blaskiem, i jakby promień szczęścia przemknął po jej licach.

— „On nadchodzi!“ — szepnęła. — „Tak jest, poznaję chód jego. Odejdź, Różo! Nie widziałam go tak długo, zostaw mnie z nim samą!“

Róża zabrała swoję mandolinę i znikła małemi, bocznemi drzwiami balkonu, gdy tymczasem Bianka weszła głównemi drzwiami do salonu.

Słuszny młodzian, w uniformie porucznika marynarki weneckiej, postąpił naprzeciw niej i z radośnym uśmiechem ale wcale chłodnem spojrzeniem podał jej rękę na powitanie.

Bianka pochwyciła ją żywo i spojrzała mu serdecznie w oczy. — „Przyszedłeś wreszcie, niedobry“ — rzekła doń z lekkim wyrzutem w głosie. — „Tak długo czekałam na ciebie.“

Młodzian spojrzał na nią z wesołem zadziwieniem. — „Nie bardzo długo, siostro. Dopiero kilka godzin, jak wyszedłem z domu.

— „Cóż mi z tego, że byłeś w domu“ — zawołała żywo. — „Nie widziałam ciebie od wczoraj, słyszysz Ludwiku, od wczoraj?“

— „To i cóż?“ — rzekł śmiejąc się. — „Pocóż miałem przychodzić? Nie miałem tobie nic do powiedzenia.“

Bianka zadrzała, i cień smutku przemknął po jej twarzy. —„On nie miał mi nic do powiedzenia“ —westchnęła zcicha. Ale wnet zmusiła się znowu do uśmiechu i uprzejmości. — „Dla mnie dość widzieć ciebie“ — rzekła kładąc rękę na jego ramieniu.

— „Widzieć mnie!“ — zawołał z gorzkim śmiechem. — „Nie wielka to przyjemność, siostro. Jam nie Apollo z wejrzeniem Boga, z uśmiechem niebiańskim. Ja nie jestem niczem, jak tylko“ — nie dokończył wzdychając, i twarz jego zasępiła się nagle.

— „Tylko co?“ — spytała Bianka, patrząc na niego z największą czułością.

— „Niczem, tylko ubogim porucznikiem marynarki weneckiej“ — zawołał wzdychając, i odwróciwszy się począł szybkim krokiem chodzić po pokoju.

Bianka nie przerywała dość długo jego zamyślenia; ale jej duże, czarne oczy nie odwracały się od niego ani na chwilę, a na jej twarzy malował się niewysłowiony wyraz najtkliwszej miłości i współczucia.

On nie widział tego, a gdy po chwili zbliżyła się do niego i z lekkim naciskiem położyła dłoń swoję na jego ramieniu, wzdrygnął się mimowolnie.

— „Co cię dręczy, Ludwiku?“ — spytała zcicha. — „O, nie odwracaj się i nie wstrzęsaj twą ukochaną głową; mnie zwieść nie zdołasz, przedemną nigdy się nie ukryjesz! Widzisz, każdy, najmniejszy nawet zmarszczyk na twojem czole, przeszywa mi serce jak sztylet i dręczy mnie po całych dniach; każde westchnienie twoje, choćby najcichsze, jest dla mnie jękiem trwogi i odbija się strasznie w mej piersi, tak jak najmniejszy szelest w pałacu doży odzywa się grzmiącem echem w jego własnym pokoju. Powiedz mi, co ci dolega, i co jest przyczyną twojego smutku?“

— „Nic, wcale nic, siostro“ — mruknął odwrócony.

— „A jeźli ja zgadnę, to przyznasz mi się potem, nieprawdaż?“

— „Dobrze, przyrzekam ci to.“

— „To pójdź, usiądźmy sobie“ — rzekła z przymileniem, prowadząc go do okrągłej sofy, która stała na środku pokoju pod kryształowym pająkiem. — „Siadaj tu, a mnie pozwól usiąść u nóg twoich.“

I wepchnąwszy go zlekka na poduszki, przykucnęła u nóg jego na maleńkim taburecie.

— „Dziwną jesteś, siostro“ — rzekł młodzian. — „Dumna, piękna Bianka leży u nóg moich, i dla czegoż?“

— „Ażeby lepiej widzieć twoje oczy; ażeby słowa twoje, dźwięk twego głosu, chwytać zaraz z ust, nim cokolwiek z nich uroni się w powietrzu. Ale teraz pozwól mi zgadywać, co cię dręczy. Czy masz jakie życzenie, czy serce twoje pragnie czego, cobyś chciał posiadać, cokolwiekby to było? Może piękny pałac, szpadę damasceńską, ozdobną gondolę lub coś podobnego?“

— „Jesteś okrutną!“ — zawołał cierpkim tonem. — „Przypominasz mi moje ubóstwo.“

— „Twoje ubóstwo, Ludwiku? Albożnie jestem twoją siostrą? Czyż wszystko, co posiadam, nie jest także własnością mego brata?“

— Gdybym istotnie był twoim bratem. Ale mnie łączy z tobą tylko długoletnie przyzwyczajenie, tylko razem przeżyta młodość. Ja nie mam prawa do twego imienia, do twojej miłości. Nic nie posiadam, tylko moje ubóstwo. Ale nie to jest przyczyną mojego smutku. Złoto i brylanty, brzeszczoty damasceńskie i pałace nie obudzają we mnie żadnego życzenia, żadnej chciwości.“

Bianka patrzała na niego przez chwilę pełnym obawy wzrokiem.

— „Ludwiku,“ — szepnęła potem drżącym głosem — „czy to miłość cię dręczy?“

Młodzian zaśmiał się głośno. Ale był to śmiech suchy i ostry, który odbił się boleśnie w jej sercu.

— „Nie!“ — zawołał — „miłość jest tylko dla słabych serc niewieścich i dla poziomych dusz męzkich. Mąż unika jej więzów. Nie, ja nigdy nie kochałem, i nie pragnę tego wcale.“

— „Nigdy nie kochałeś?“ — powtórzyła zwolna. — „Ani mnie?“

— „O, ciebie“ — rzekł łagodnie, głaszcząc ją po twarzy — „ciebie kocham całem sercem, jak gdybyś istotnie była moją siostrą, i przez całe życie będziesz mi równie drogą.“

— „Ty lubisz mnie, ale mnie nie kochasz“ — szepnęła wzruszona. — Ale zgadujmy dalej. Tyś ambitny. Czy dręczy cię żądza sławy?“

Młodzian drgnął cały i oczy jego zapłonęły dziwnym blaskiem. — „O tak!“ — zawołał namiętnie — „zgadłaś. Nie mogę znieść tego, że tak bezczynne wiodę życie. Jestem jakby ptak pojmany, który ze związanemi skrzydły siedzi skulony pod krzakiem i przypatruje się z żalem, jak wolni bracia jego wznoszą się pod obłoki. Ja nie mogę znieść tego!“

Po tych słowach zerwał się, pochwycił Biankę za rękę i poprowadził ją na balkon.



— „Patrz!“ — zawołał z namiętnością — „tam w porcie zebrały się okręty, by jutro o świcie wypłynąć na morze, przeciw nieprzyjacielowi. Nasza piękna wyspa Kandya jest znowu zagrożona przez Turków. Wenecya wysyła całą flotę na jej obronę; chce w otwartej bitwie morskiej walczyć z Bizurmanem o jej posiadanie. Tam zdobyć można honor i sławę, a mnie iść niewolno. Muszę tu pozostać dla strzeżenia portu, muszę gnuśnieć w bezczynnym spokoju, gdy inni będą walczyć i zwyciężać. A dla czego muszę pozostać? Bom za młody, powiadają, bo mi brakuje jeszcze kilku lat służby, ażebym był godzien otrzymać posadę kapitana na którym z naszych okrętów. O Boże mój, Boże! ze szczytu tych masztów przyświeca mi sława, a ja nie mogę walczyć o nią!“

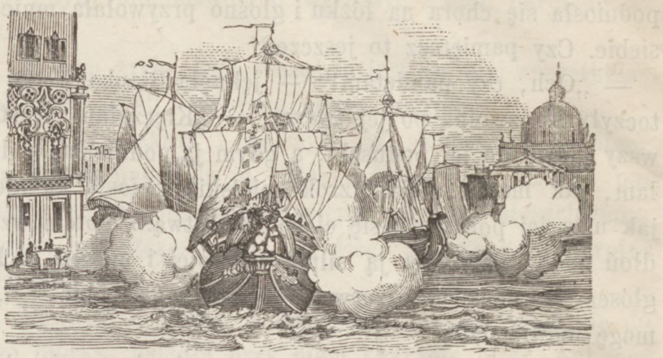
Umilkł i patrzał posępnym, żałośnym wzrokiem na okręty, które właśnie z Lido wpływały na Wielki kanał. A był to cudowny widok, patrzeć na te wspaniałe statki wojenne, które jakby ruchome twierdze kołysały się poważnie na powierzchni wody. Sztandar Wenecyi, skrzydlaty lew z San Marco, powiewał na wszystkich masztach. Z otwartych wylotnic po bokach okrętów wyzierały groźne paszcze dział. Na pokładach stało w gęstych szeregach wojsko okrętowe w świetnych swych uniformach. Wybrzeże dokoła Wielkiego kanału roiło się tłumami ludu, który spieszył ze wszystkich stron, by się nacieszyć przepysznym widokiem i powitać flotę, tę największą chlubę Wenecyi.

W tej chwili właśnie ozwały się uroczystym głosem wielkie dzwony z wieży San Marco. Kościół katedralny Santa Maria della Salute odpowiedział na to swojemi dzwony, i wnet zabrzmiała z trzystu wież Wenecyi wesoła muzyka spiżowa, którą dumna rzeczpospolita żegnała swoich wojowników, spieszących zdobywać dla niej nową chwałę i potęgę. A morze wtórowało tym dźwiękom szumem fal spienionych, podrzucało jakby zabawkę dziecięcą olbrzymie statki wojenne, i psotnie igrało z tysiącem gondol, które spieszyły ze wszystkich kanałów, i brzęcząc jak rój owadów, okrążały lwa morskiego.

Wtem rozdzieliła się naraz czarna masa gondol. Jakby na komendę rozbiegły się one na obie strony wielkiego portu, i u ujścia Wielkiego kanału okazał się złocisty Bucentaur, niosący na swoim grzbiecie Dożę i senat rzeczypospolitej. W długiej, złotem tkanej szacie, złota rogata czapka na głowie, wznosiła się majestatycznie wysoka, dumna postać Doży Contariniego na przedzie statku; za nim zaś w swych długich, fałdzistych, czarnych płaszczach, stała rzędem signorya, członkowie wielkiej rady i owa straszliwa trójka tajnej rady, z czarnemi maskami na twarzy, tajemnicza i niezbadana, której sam widok przejmował trwogą lud wenecki. Karać w ukryciu i mścić się potajemnie, to było zadaniem owych trzech mężów, przed którymi drżał nawet sam Doża, wiedząc, że dość jednego skinienia ich ręki, ażeby zginął, jeźliby uznali to potrzebnem dla dobra Wenecyi.



Ale w tej chwili powszechnej radości nie przygłuszał okrzyków ludu nawet widok tej straszliwej trójki. Patrzano tylko na Dożę. Jego oblicze niezasłonięte pałało radością i dumą, a wzniesione ręce witały potężną flotę. W tej chwili zabłysło ze wszystkich wylotnic, i grzmiący huk dział odpowiedział na powitanie Doży.



— „Pójdź“ — rzekł Ludwik drżącemi usty, wciągając Biankę napowrót do komnaty; — „nie mogę patrzeć na to, serce mi pęka. O, gdybym mógł popłynąć z nimi, cóżbym nie dał za to! Tam mógłbym zdobyć pierwsze wawrzyny, nieznane imię moje po raz pierwszy okryć chwałą, ojczyźnie usłużyć mem ramieniem!

— „I poświęcić jej życie“ — przerwała mu Bianka żywo.

„Choćby i to nawet“ — mówił dalej z zapałem. — „Bo jestże co piękniejszym nad śmierć wojownika, gdy wśród braci swoich i towarzyszów broni, przy okrzykach zwycięzkich i dźwięku surm wojennych ginie z orężem w dłoni na polu chwały! Za taką śmierć warto oddać życie.“

— „Ludwiku,“ — rzekła Bianka tuląc się drżąca do niego, — „nie pomyślałeś więc wcale o mnie i o moim żalu, gdybym cię utraciła?“

Młodzian potrząsł lekko głową. — „Opłakałabyś mnie i zapomniała o mnie. Ukoiłabyś żal twój w objęciu małżonka, i onby cię pocieszył.“

— „O Boże mój, Boże!“ — szepnęła żałośnie i twarz pobladłą zakryła obiema rękoma.

— „Tak jest, siostro“ mówił Ludwik, usiłując przybrać ton spokojny i żartobliwy. — „Nie zdołasz już dłużej opierać się natarczywym twym wielbicielom, i Gwiazda Wenecyi będzie musiała w końcu zabłysnąć miłością któremuś ze szlachty weneckiej. Pomówmy więc poważnie o tem. Ty nie wiesz, jak często dręczy mnie ta myśl, żeś jeszcze niezamężna. Tyś taka piękna, roztropna i bogata, a to przecież wcale powabne i ujmujące przymioty dla twoich wielbicieli. Najszlachetniejsi młodzieńcy z najpierwszych domów, których imiona zapisane są w złotej księdze, ubiegają się o twoję rękę i twoję miłość. Wybierz pomiędzy nimi, uczyń to dla mnie, siostro.“

— „Dla ciebie?“ — spytała żywo. — „Cóż tobie zależy na tem?“

— „Zaraz ci to wyjaśnię“ — odrzekł uroczyście. — „Przypomnij sobie tę chwilę, tę uroczystą chwilę, gdy przed kilku miesięcami byliśmy przy śmiertelnem łożu twojej matki. Ty płacząc rzewnie klęczałaś przy niej, ja przejęty żalem stałem obok ciebie. Naraz jakby cudem wzmocniona,

podniosła się chora na łóżku i głośno przywołała mnie do siebie. Czy pamiętasz to jeszcze?“

— „Och, czy pamiętam!“ — jęknęła Bianka, i łzy potoczyły się zwolna po jej twarzy. — „Klęczałam przytuliwszy głowę do jej poduszki, a gdym ją podniosła, widziałam, jak matka moja wzrok anielski wzniosła ku niebu, jak usta jej poruszały się cichą modlitwą... potem wzięła dłoń moję, uścisnęła ją silnie w swojej i mówiła cichym głosem — nie,“ — przerwała Bianka sama sobie — „nie mogę mówić dalej!“

Ludwik objął ją zlekka za szyję i przycisnął do siebie. — „Ja ci powtórzę, co mówiła“ — szepnął: „Umieram Bianko, ale jestem spokojna, bo wiem, że zostawiam ci przyjaciela, brata, który zawsze wiernie czuwać będzie nad tobą.“ Potem wzięła moję rękę, złożyła ją w twojej, i wzniosła znów oczy ku niebu z owym uśmiechem anielskim, z ową spokojnością niebiańską, która towarzyszyła jej przez całe życie, i tak uśmiechnięta umarła.“

— „O matko moja, matko!“ — łkała Bianka — „dla czego opuściłaś twe dziecię? Dla czego zostawiłaś je tu tak osierocone i samotne?“

— „Nie płacz, Bianko,“ — mówił Ludwik poważnie. — „Pomnij na słowa twej matki. Ty nie jesteś osieroconą, bo twój przyjaciel, twój brat czuwa przy tobie i nie opuści ciebie, dopokąd na jego miejsce nie wybierzesz małżonka. Daj mi rękę, Bianko. Przyrzeknij mi, że nie będziesz samowolnie zamykać twej piersi dla uczuć gorętszych, że nie odmówisz przyjęcia miłości, gdy wreszcie zapuka do twego serca.

— „Ty powiadasz, że dla ciebie powinnam to uczynić?“ — szepnęła Bianka.

— „Tak jest, i dla mnie“ — mówił dalej. — „Twój los niepokoi mnie, jak mój własny, bo kocham cię istotnie jak brat. Ty przecież jesteś córką tej zacnej niewiasty, która przez całe życie świadczyła mi dobrodziejstwa; która przygarnąwszy do siebie biedne, osierocone pacholę, wychowała je, jak gdyby było własnym jej synem; która pozwalała mi nazywać się matką, mnie nieszczęśliwemu, którego własna odepchnęła matka. O Bianko, gdybyś ty pojmowała, jaka to męczarnia, wiedzieć, że istnieją na tej ziemi ludzie, którzy są połączeni z nami węzłem pokrewieństwa, a przecież ich nie znać, nic o nich nie wiedzieć, nawet nazwiska... O, to okropna, niewysłowiona męczarnia!“

— „Uspokój się, mój Ludwiku,“ — rzekła Bianka tuląc się z czułością do niego. — „Nie trać odwagi, bądź mężem.“

— „Ja jestem nim!“ — zawołał burzliwie. — „Ale są rzeczy, które mogą złamać najsilniejszego nawet męża. Ty nie wiesz: gdy sam jestem w pokoju, to zdaje mi się, jak gdyby ktoś szeptał za mną: „Jak się nazywa twój ojciec, twoja matka, gdzie oni żyją?“ Zrywam się i straszny ból szarpie moje piersi. „Gdzie oni żyją!“ — krzyczę i biję się z myślami, aż mi się zdaje, że ściany walą się na mnie. Wtedy ciasno mi w pokoju, doznaję takiego uczucia, jak gdybym miał oszaleć, wybiegam na plac Śgo. Marka, rzucam się rozpaczliwie pomiędzy tłumy przechodniów, badam pełen trwogi a jednak pełen nadziei twarz każdego mężczyzny i myślę przy każdym: „Nie możesz to być twój ojciec?“ Zaglądam lękliwie w twarz przechodzącym kobietom, i znowu pytam siebie: „Czy nie jest to twoja matka?“ Ta dama tam, z kosztownym naszyjnikiem, za którą idzie lokaj w złocistej liberyi, „czy nie jest ona może moją matką? czy nie jestem ja spadkobiercą jej imienia i mam przeto prawo dumny jej herb nazwać moim?“ I gdy tak myślę, obudza się w sercu radośna nadzieja; zbliżam się do niej coprędzej, może w mej twarzy rozpozna rysy mojego ojca. Przecież miłość mogłaby dokonać cudu, i matka mogłaby wrodzonym instynktem poznać swoje dziecię.“

Mówiąc to patrzał osłupiałym wzrokiem przed siebie, cały zajęty cudownem widzeniem swej duszy. Stał jak lunatyk i nie słyszał wcale, jak Bianka łkając wymawiała z czułością jego imię; patrzał tylko w głąb duszy, na obrazy swojej fantazyi. Po krótkiej zaś przerwie mówił dalej.

— „I oto staję naprzeciw niej, z miłością i przeczuciem w sercu, i patrzę w zimne, pańskie oblicze, spoglądające dumnie na biedaka, który śmiał się zbliżyć do niej. Z wściekłością i wstydem w sercu uciekam ztamtąd. W tem wyciąga do mnie rękę żebraczka i z żałośnym jękiem błaga o jałmużnę. Chcę ją szybko pominąć, nie zważać na nią, ale noga mi drętwieje, serce ściska okropna wątpliwość, i coś szepce mi w piersiach: „Czyż ta żebraczka nie może być twoją matką?“ Drżący i pełen obawy wciskam jej potem do rąk wszystkie pieniądze, które mam przy sobie, i wlokę się dalej bezwładny i pozbawiony wszelkiej nadziei.“

Po tych słowach umilkł i patrzał znów nieruchomie przed siebie.

Bianka spoglądała na niego z wyrazem niewysłowionej miłości. Zdawało się, że chciałaby wyczytać z jego twarzy, jaką ofiarę mogłaby ponieść jej miłość, ażeby go uwolnić od tych mąk straszliwych, które przygniatały jego ducha. Nagle mignęło coś jak blask słońca na jej pięknej twarzy, i rysy jej przybrały wyraz spokojny i stanowczy.

— „To prawda, Ludwiku,“ — rzekła spokojnie — „ty musisz się ztąd oddalić, musisz w walce życia doświadczyć sił swoich i szukać zapomnienia w zapasach o sławę. Bezczynne życie i spokój nie dla ciebie.“

— „O tak!“ — zawołał ocknąwszy się z zamyślenia, — „słusznie mówisz, ja muszę się ztąd oddalić. O, jabym był szczęśliwszym, gdym był ztąd daleko; odetchnąłbym, słysząc okrzyk wojenny i idąc w zapasy z wrogiem. A może powiodłoby mi się, zasłużyć sobie na imię, zdobyć honor i sławę na polu walki. O, wtedy mógłbym umrzeć, bo imię moje żyłoby w ojczyźnie.“

— „Czyż to rzecz niepodobna,“ — spytała Bianka łagodnie, — „nie możesz popłynąć z naszą flotą?“

— Nie, mówiłem ci to już. Młodzi oficerowie pozostają tu dla strzeżenia portu i miasta. Byłaby to łaska, którą bym może na klęczkach wyżebrał u Doży. Ale tego nie zrobię, moje serce oburza się na to. A zresztą, gdyby mi nawet pozwolono, nie mógłbym odjechać!“

— „Dla czego? Cóż cię wstrzymuje?“

— „Ostatnie słowa twojej matki“ — rzekł uroczyście. — „Mam być twoim przyjacielem, twoim bratem. Nie mogę zostawić tu ciebie bez opieki, muszę pozostać, dopokąd nie wyjdziesz za mąż.“

Bianka drgnęła, i śmiertelna bladość okryła jej lica.

— „Dopokąd nie wyjdę za mąż“ — powtórzyła zamyślona. — „A gdybyś wiedział, że będę tu bezpieczna pod obroną małżonka, i gdyby ci ofiarowano stopień kapitana na jednym z tych okrętów, wtedy — nieprawdaż — byłbyś zadowolniony i szczęśliwy?“

— „O zaprawdę!“ — zawołał z płomienistym wzrokiem, — „wtedy byłyby spełnione wszystkie me życzenia, i odemnie tylko zależałoby, pokierować mym losem własnemi siłami.“

Bianka odwróciła się od niego, i zwiesiwszy głowę na piersi, przechadzała się zwolna po komnacie. Nagle, jakby przytłoczona własnemi myślami, padła na krzesło i opuściła bezwładnie głowę na jego poręcz.

Ludwik pospieszył do niej.

— „Co ci jest?“ — spytał z czułością. — „Twój wzrok taki posępny... Oh, pewnie cię tak wzruszyło wspomnienie o twej matce. Przebacz mi, Bianko, to było okrutnie z mej strony.“

— „Nie mam ci nic do przebaczenia“ — odrzekła łagodnie. — „Myśl moja jest ciągle przy matce. Ale dziś czuję się istotnie niezdrową, i daruj, że cię upraszam, abyś zostawił mnie samą, bo potrzebuję wypoczynku.“

— „Idę już;“ — rzekł kiwając uprzejmie głową. — „Bywaj zdrowa, siostro.“

I cicho na palcach, jak gdyby się obawiał przeszkodzić jej głośnem stąpaniem, wyszedł natychmiast z komnaty.

Pozostała tedy sama. Teraz niepotrzebowała już ukrywać łez, które tak długo tłumiła w sercu; teraz mogły one wydobyć się z jej oczu, mogły jasnym strumieniem spłynąć po jej licach. Nie wstrzymywała też ich wcale, była przecież sama z sobą tylko i z Bogiem. I przed Nim padła na kolana, błagając Go o siłę do spełnienia ofiary, którą ponieść postanowiła. Ciężka to ofiara, ona wié o tem; całą jej przyszłość okryje całunem żałoby, ona nie tai tego przed sobą. Ale miłość przezwycięża wszystko, nawet siebie samę. Dopokąd nie wyjdzie za mąż, mówił Ludwik, dopokąd nie będzie mieć innego opiekuna, prócz niego, tak długo nie może on pomyśleć nawet o opuszczeniu Wenecyi. A przecież wtedy tylko byłby szczęśliwym, gdyby mógł się oddalić, wtedy tylko miałoby życie wartość dla niego, gdyby mu dozwolono wyruszyć z temi okrętami do boju.

A jego życie, jego szczęście jest dla niej wszystkiem; o sobie nie myśli, nie śmie nawet pomyśleć.

Długo płakała i walczyła ze swojem cierpieniem, ale w końcu pokonała je. Otarła łzy z oczu, a gdy powstała z kolan, już postanowienie jej było niezachwiane. On musi być szczęśliwym, dla niego gotowa była cierpieć przez całe życie.

Pewnym krokiem, z uroczystą powagą udała się do swego biórka, usiadła przy niem i zaczęła pisać. Ani razu nie drgnęła jej ręka, bez przerwy ślizgało się pióro po papierze.

Wreszcie i to się skończyło. Złożyła pismo, napisała na niem adres, zapieczętowała i zadzwoniła małym dzwonkiem srebrnym, który stał na biórku. Natychmiast otworzyły się drzwi i wszedł jej paź służebny.

— „Giacomo!“ — rzekła podając mu list, — „zanieś to natychmiast do pałacu Doży i oddaj pokojowcowi jego. Ale niech doręczy to samemu Doży, nikomu innemu.“

Paź skłonił się, ucałował jej rękę i pospieszył spełnić rozkaz swojej pani.

Bianka odprowadzała go oczyma, a gdy drzwi za nim się zamknęły, i znowu pozostała sama, wydarł się z jej piersi straszny jęk boleści, i omdlawszy padła na ziemię.

II.

Doża Contarini był sam w swoim gabinecie. Sam! Ale kiedyż Doża wenecki mógłby był powiedzieć, że jest sam istotnie? Mógłże on wiedzieć, czy z pośród rzeźb na ścianach, z za obicia sufitu w jego pokoju nie zaglądały oczy, które go śledziły, czy w murach nie znajdowały się wydrążenia, za któremi czatujące ucho mogło usłyszeć każdy wyraz, każde jego westchnienie?

Doża wenecki jest książęciem potężnej republiki, ale republika rządzi nim, a on nie jest niczem, tylko jej niewolnikiem; nie śmie się opierać, nie może mieć własnej woli, otrzymuje rozkazy od niej i wypełnia je posłusznie, albo odpowiada za nie głową.

Niegdyś prawda, był on wielkim i potężnym, papieże ubiegali się o jego względy, cesarze przychodzili całować stopę jego, i całe Śródziemne morze uginało się przed jego imieniem. W uznaniu też tej potęgi ofiarował papież Alexander III. Doży weneckiemu pierścień, ażeby nim zaślubiał się co roku z morzem, jakby z narzeczoną swoją, i gdy się odbywała ta uroczystość, cieszył się lud wenecki i chwytał z radością złote pieniądze, które Doża kazał rozrzucać pomiędzy tłumy.

To były świetne czasy Wenecyi, ale te już minęły. Teraz nie był Doża niczem więcej, tylko niewolnikiem owej niewidzialnej trójki, która miała taką władzę nad nim, jak

Bóg nad człowiekiem; która śledziła każdy krok Doży i wyznaczała mu dwóch dozorców, tak zwanych Advogadori, którym musiał każdej chwili dozwalać wstępu do swoich komnat, którzy tajnemi furtkami, przez korytarze nieznane samemu Doży, nawet o północy wchodzili do jego sypialni, przynosząc mu jaki rozkaz właściwego rządu Wenecyi, rady trzech, który potem Doża, imienny władca Wenecyi, musiał jak uniżony sługa natychmiast wykonywać!

A przecież nie brakło takich pomiędzy szlachtą, którzy ubiegali się o ten zaszczyt, by wsadzić rogatą czapkę na głowę i od ludu odbierać publicznie hołdy jako jego władca, chociaż pokryjomu drzeli przed ową trojką, swoim właściwym panem. Byłto przecież znak, że imię ich było zapisane w złotej księdze Wenecyi i że należeli do najstarszych rodzin szlacheckich rzeczypospolitej.

To też było powodem, że bogaty i dumny Contarini przyjął godność Doży; i gdy na pokładzie Bucentaura wypływał na morze, gdy go witano hukiem dział i odgłosem dzwonów, a lud cisnąc się tłumnie na wybrzeżach i mostach wznosił radośne okrzyki, zdawało mu się przecież, że jest w istocie panem Wenecyi, i złudzony widomą swą wspaniałością zapominał o niewidzialnej trójce. Wtedy surowe zazwyczaj oblicze jego jaśniało dumą i ambicyą, i uśmiech łagodził ponure jego rysy.

Ale teraz był sam, to jest nie widział nikogo obok siebie, i nie potrzebował przeto odgrywać komedyi z samym sobą, uśmiechać się, ani też ponurości swej duszy osłaniać uprzejmą powierzchownością. Ukończył on właśnie jakąś pracę; jeszcze pióro spoczywało w ręce, leżącej na biórku, ale głowa jego była oparta o wysoką poręcz fotelu, a pohmurne czarne oczy patrzyły nieruchomie przed siebie.

Naraz jednak wzdrygnął się i wyprostował nieco. Zdawało mu się, jak gdyby usłyszał cichy szelest za obiciem ściany. Nadstawił ucha: szelest powtórzył się, i zapukano trzykrotnie do ściany.

Doża powstał szybko. — „To on“ — mruknął z cicha, — „to Benedetto.“ — Pośpieszył ku ścianie i pocisnął palcem złotą różę w obiciu. Natychmiast otworzyły się niedostrzeżone dotąd drzwi, i weszła jakaś postać osłonięta czarnym płaszczem i z maską na twarzy.

— „Zdjąć maskę!“ — rozkazał Doża.

Przybyły spełnił rozkaz, i Doża ujrzał bladą, poważną twarz starca.

— „Powróciłeś więc Benedetto? — spytał spokojnie.

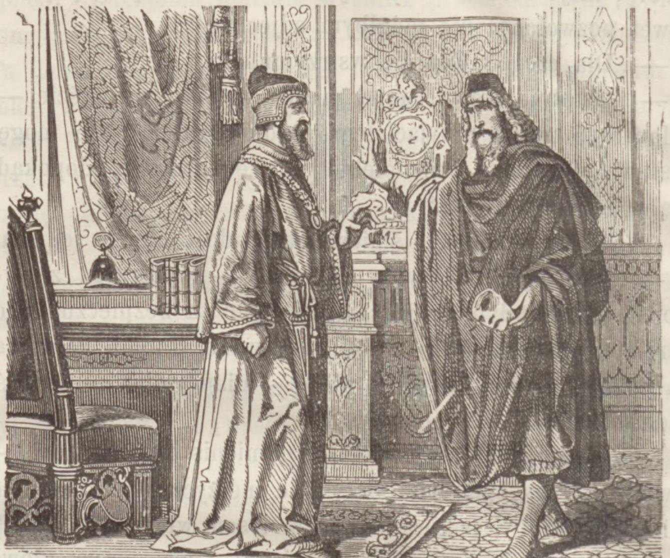
— „Tak jest, signor.“

— „I przynosisz mi wiadomość? Byłeś w Padwie i szukałeś ztamtąd jej śladu?“

— „Byłem w Padwie i dowiedziałem się przynajmniej z pewnością, że była tam przed dwudziestu laty.“

— „Sama?“ — spytał Doża.

— „Nie,“ — odparł Benedetto uroczyście, — „miała przy sobie małe dziecię, żyła samotnie, nie widywała nikogo i nie rozmawiała z nikim. Tylko zmrokiem wychodziła czasem z dziecięciem na ręku na przechadzkę i postępowała powolnym krokiem, ażeby dziecię mogło oddechać świeżem powietrzem. Ale nagle zniknęła, pomieszkanie jej było próżne, i nikt więcej nie słyszał o niej.“



— „I dziecię znikło?“

— „Naturalnie, signor; matka nie porzuca swego dziecięcia.“

— „I ojciec także nie!“ — zawołał Doża żywo. — „Ja myślę często o tem dziecku i tęsknę za niem. Smutno to, żyć samotnie, a tem smutniejsza, gdy się jest Dożą Wenecyi. Chciałbym mieć syna przy sobie, radbym słyszeć, żeby mnie nazywał ojcem.“

— „Jeźli tego pragniecie, Contarini“ — mówił Benedetto prawie surowym tonem, — „to znajdziecie dość dzieci, gotowych nazywać Was ojcem, jeźli okażecie im miłość. Zejdźcie pomiędzy wasz lud, mówcie ludziom: „Moje dzieci,“ i dowiedźcie im, że chcecie być ich ojcem.“

— „Zapominasz starcze, do kogo mówisz!“ — zawołał Doża dumnie. — „Zatrzymaj swoję radę, dopóki jej nie zażądam; Contarini potrafi sam sobie radzić.“

— „Sądziłbym jednak, że rada przyjaciela powinnaby Wam być pożądaną.“

— „Rada przyjaciela,“ — powtórzył Doża. — „Niebezpieczna to rzecz, być przyjacielem Doży, a jeszcze niebezpieczniejsza dla Doży, mieć przyjaciela, bo z przyjaciela może łatwo stać się rywal i następca. Przyjaciółka, kochanka, to co innego, to się da łatwiej pogodzić z godnością Doży. Małżonka Doży nie zagraża wcale jego stanowisku, owszem osładza je tylko.“

— Wy pono mielibyście chęć jeszcze raz się ożenić?“ — spytał Benedetto szyderczo.

— „A gdybym ją miał? — zawołał Doża z żywością.

— „To nie możecie, bo jesteście zaślubieni. Lidia znikła, ale nie wiecie, czy umarła; a ponieważ być może, że żyje,

i ponieważ nic innego tylko Wasza wiarołomność rozłączyła Was z nią, więc niewolno Wam zaślubić innej, dopokąd nie macie niewątpliwych dowodów jej zgonu. Dopokąd...“

— „Milcz! Benedetto,“ — przerwał mu Doża. — „Nie mówi się tak głośno w pałacu Doży, bo ściany mają uszy. Powiedz mi cicho, całkiem cicho: nie mówiłeś z nikim o Lidyi?“

— „Z nikim, panie,“ — odpowiedział Benedetto uroczyście. — „Nikt prócz Boga i mnie nie wie o Waszem małżeństwie z nieszczęśliwą Lidią.“

Doża utopił w jego twarzy wzrok przeszywający, jak gdyby chciał przejrzeć go do głębi duszy. Ale starzec nie zmieszał się tem wcale, stał poważny, milczący i ze spokojną godnością wytrzymał to spojrzenie Contariniego.

— „A kapłan,“ — szepnął Doża, — „kapłan, który nas zaślubił?“

— „Ten przed wielu laty już wyjechał za granicę, a nikt nie wie, dokąd. I zresztą ten biedny człowiek nie mógłby Wam szkodzić. Wiecie przecież, ża raz tylko Was widział przed dwudziestu laty, gdyż zaraz nazajutrz po Waszem zaślubieniu odjechaliście jako dowódzca wenecki i gubernator do Morei, i dopiero przed rokiem powróciliście ztamtąd, ponieważ wielka rada obrała Was Dożą.“

— „Dla czego powtarzasz mi to, co sam wiem bardzo dobrze?“ — spytał Doża gwałtownie.

— „Tylko, by Wam przypomnąć, że kapłan Was nie zna; tylko, by ochronić tego biednego człowieka od pchnięcia sztyletu, gdybyście odkryli miejsce jego pobytu. O, bądźcie spokojni Contarini, kapłan, który Was zaślubił, nie może Was zdradzić.“

— „Ale ty, Benedetto, czy będziesz milczeć?“

— „Będę milczał, dopokąd będę mógł. Ostrzegam Was jednak, Contarini: gdybyście naprawdę myśleli powtórnie się ożenić, natenczas musiałbym mówić. Kochałem Lidią i ona mnie kochała; dla Waszej miłości stała mi się niewierną i poszła za Wami. A potem przyszła do mnie i ze łzami błagała mnie na kolanach, abym jej przebaczył, zaklinała na miłość moję ku niej, ażebym i Wam przebaczył i nigdy nie mścił się na Was. Przysiągłem jej to, bo ją kochałem. A zresztą i boleść moja uczyniła mnie słabym i łagodnym, widzicie to dobrze, bo żyjecie. Ale gdybyście się poważyli pomyśleć o nowem małżeństwie, nie wiedząc, czy Lidia, Wasza prawa małżonka żyje jeszcze, natenczas przemówiłbym pewno. Ostrzegam Was, bo takiej zbrodni nie dopuszczę!“

— „Nie dopuścisz?“ — powtórzył Contarini, patrząc mu groźnie w oczy. Ich spojrzenia zetknęły się nawzajem jak błyszczące ostrza sztyletu. — „Nie dopuścisz? I cóż ty, nędzna istoto, możesz uczynić mnie, potężnemu Doży?“

— „Tego Wam nie powiem, signor!“ — odparł Benedetto uroczyście. — „To powierzę tylko paszczy lwa, który stoi tam na straży u bramy Waszego pałacu. *)

Doża wydał krzyk przytłumiony, i dłoń jego pochwyciła ramię Benedetty. — „Nieszczęsny!“ — mruknął. — „Ty...“ Umilkł i cofnął swoję rękę. — „Idź“ — zawołał — „radzę ci, oddal się!“

— „Idę, signor, ale pamiętajcie, że czuwam nad Wami.“

I Benedetto idąc wstecz, a oczu nie spuszczając z oblicza Doży, cofnął się ku skrytym drzwiom, otworzył je i zniknął za ścianą.

Doża patrzał za nim, czychając jak tygrys, który zamierza rzucić się na swoję ofiarę.

„Twoja godzina wybiła już“ — mruknął. — Bóg i ty jeden tylko wiecie o mojem małżeństwie z Lidią, dziewczyną z gminu. Na Boga, szlachta wenecka zdumiewałaby się i szydziła ze mnie, dowiedziawszy się, że byłem niegdyś mężem takiej dziewki. To być nie może! Powiedziałem ci przecież, Benedetto, że niebezpiecznie być przyjacielem Doży. Dzielić z nim tajemnicę, to znaczy grozić mu, a ty mnie groziłeś. Ja mogę zniszczyć tego, kto mi grozi, i na Boga, uczynię to!“

To mówiąc, przystąpił do biórka i zadzwonił trzykrotnie małym, srebrnym dzwonkiem, który stał na niem. Natychmiast otworzyły się drzwi w przeciwnej ścianie, i inna postać, całkiem podobna do Benedetta, w czarnym płaszczu i z czarną maską na twarzy, weszła i stanęła milcząca i nieruchoma.

— „Widziałeś starca, który właśnie wyszedł odemnie?“ — spytał Doża.

— „Widziałem go“ — odrzekła maska.

— „Znasz jego nazwisko i pomieszkanie?“

— „Nazywa się Benedetto i mieszka nad kanałem Foscari.“

— „Czy wiesz, co on robi?“

— „ Podróżował teraz.“

— „Dokąd?“

— „Do Padwy, Mantui i Werony.“

— „W czyjej sprawie?“

Maska nie odpowiedziała. Doża powtórzył gwałtownie swoje pytanie:

— „W czyjej sprawie?“

— „W Twojej“ — odrzekła maska powolnie.

Doża zadrżał i wyraz przerażenia przemknął po jego twarzy. Ale wnet przybrał napowrót spokojną postawę.

— „Czy znasz tę sprawę?“ — zapytał.

— „Nie, ale będą ją znał.“

*) Przed pałacem Dożów znajdowały się u głównego wchodu dwie głowy lwie z rozwartemi paszczami. Każde pismo, wrzucone tam, dostawało się do rąk owych trzech członków wielkiej rady, którzy sami tylko mieli klucze od tych kryjówek i jak najlepiej korzystali z tych denuncyacyj.

— „Dokąd Benedetto idzie teraz?“

— „Do swego pomieszkania.“

— „Pójdziesz za nim!“ — zawołał Doża spiesznie.

— „Dobrze, pójdę za nim.“

— „Jego życie już się skończyło“‘ — zawołał Doża rozkazującym głosem. — „Za godzinę powrócisz i powiesz mi, że Benedetto już nie żyje.“

— „Czy ma być pogrzebany?“ — spytała maska z obojętną spokojnością.

— „Nie, zatopiony w morzu!“

— „Za godzinę powrócę. Więcej nic, signor?“

— „Nic“ — rzekł Doża z odwróconą twarzą.

Lekki szelest dał się słyszeć za nim, i maska zniknęła w ścianie.

„Godzina jeszcze!“ — szepnął Doża do siebie, — „a tajemnica moja będzie już pogrzebana. Godzina jeszcze, a będę mógł oświadczyć się o rękę pięknej Bianki Maligieri. Ach, ta dumna dziewczyna! ona poważa się gardzić mną, szydzi ze mnie i naśmiewa się, a im więcej odpycha mnie, tem gorąciej ją kocham. Ona musi być moją, a gdy nią zostanie, wtedy się pomszczę za upór i dumę, z jaką mnie odtrącała.“

Lekkie drapnięcie o drzwi główne przerwało monolog Doży. Wszedł lokaj, podał mu na złotej tacy list, i skłoniwszy się aż do kolan wyszedł napowrót w milczeniu.

Doża spojrzał na list z obojętną ciekawością, ale gdy



spostrzegł herb wyciśnięty na pieczęci, drgnął przelękniony i rozerwał gwałtownie kopertę.

„Bianka pisze do mnie,“ — mruknął. — „Czegoż ona może chcieć odemnie?“ I czytał z pośpiechem list bardzo ściśło pisany.

„To niepodobna!“ — mruczał potem. — „To być nie może, moje oczy mnie zwodzą... a przecież... to prawda, tak rzeczywiście tu napisano.“ — I jakby niedość było, że oczy jego widziały, jak gdyby potrzebował jeszcze słyszeć to, co oczy czytały, przeczytał jeszcze raz dość głośno list Bianki. Pisała ona:

„Opuściliście mnie wczoraj w gniewie i przysięgliście „mi zemstę. Ta przysięga nie przestrasza mnie, i jeśli „teraz piszę do Was, nie czynię tego z obawy lub trwogi „niewieściej. Żądacie miłości i staracie się o moję rękę. „Ja nie kocham Was, ale jeźli możecie poprzestać na moim „szacunku, i jeśli sądzicie, żem godna być Waszą małżonką, „to jeszcze dziś oddam Wam moję rękę, jeźli niezwłocznie „zamianujecie mego brata, Ludwika, kapitanem i pozwolicie „mu udać się z flotą, która dziś jeszcze odpływa do Kandyi. Przyszlecie mi patent na kapitana dla mego brata, „to za cztery godziny zastaniecie mnie gotową do ślubu; „nie przyszlecie, to sprawa między nami skończona, i będzie „to dowód, że Wy sami gardzicie.

Bianka Maligieri.“

„Tak stoi tu rzeczywiście, tak ona istotnie napisała,“ — mówił Doża z oczyma ciągle jeszcze utkwionemi w pismo. — „To rzecz szczególna, za stopień kapitana dla brata sprzedaje siebie. Cała Wenecya mówi o tem, jak ona kocha tego brata. Tego brata, który przecież jest hańbą jej matki, bo dopiero po śmierci małżonka przyznała się do niego, i nigdy nie poważyła się przyznać mu imienia i herbu Maligierich. I dla miłości tego brata, naturalnego syna swej matki, chce oddać mi swoję rękę. To rzecz dziwna, bardzo dziwna, ale ja zgadzam się na to. Otrzyma stopień kapitana, natychmiast.“

Przystąpił szybko do biórka, wziął jeden z blankietów, ozdobionych herbem i pieczęcią rzeczypospolitej weneckiej, napisał na nim pospiesznie kilka wierszy, złożył i umieścił adres na wierzchu. Potem zadzwonił znowu, i gdy wszedł służący, podał mu list mówiąc:

— „Zanieść natychmiast do hrabiny Bianki Maligieri i oddać do jej rąk własnych, jak można najprędzej!“

„Ha!“ — zawołał Doża radośnie po odejściu służącego, — „teraz jestem szczęśliwy! Natrętny powiernik mojej tajemnicy nie żyje już, i Bianka Maligieri będzie moją małżonką!“

(Ciąg dalszy nast.)

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, 18 sierpnia 1872.

(Wystawa obrazów. — „Stefan Batory pod Pskowem“ Matejki. — Obrazy i rzeźby zakupione do losowania i przez strony prywatne. — Uprzedzenie do „głów idealnych“. — Brak wyrozumiałości dla niezamożnych miłośników sztuki — „Helio-chromografia“, wynalazku p. Aleksandra Nowickiego. — Teatr. — Prowizoryum w repertoarzu. — Kilka arcydzieł. — Opera. — Operetka. — Nowości księgarskie. — Nowe czasopisma. — Muzyka. — Rocznica r. 1772. — Oświata.)

Najnowszą kompozycya Matejki, świeże pomnikowe dzieło sztuki polskiej „Stefan Batory“, stanowi od dłuższego już czasu wyłączny prawie przedmiot zajęcia publiczności lwowskiej na polu objawów naszego życia artystycznego. Odsłoniony na wystawie lwowskiej po raz pierwszy nowy ten utwor genialnego mistrza naszego, dotychczas jeszcze liczne gromadzi zastępy widzów w sali wystawy, nie bez uszczerbku zapewne dla wszystkich tam zresztą wystawionych utworów, gdyż niepodzielne nad uczuciami widzów odnosi zwycięztwo.

Do świetnej kompozycyi, o której mowa, posłużyła Matejce równie świetna dziejów naszego narodu chwila: złamanie potęgi północnych carów pod Pskowem przez Batorego i prośba pokonanej Moskwy o pokój. W obrazie swym uwidocznił Matejko w charakterystyce aktorów tej historycznej sceny dwie strony wojujące z sobą od wieków o cywilizacyą wschodu Europy, czem zarazem nakreślił wybitnie ich stanowiska dziejowe cele i dążności. Wiernie oddał artysta polski w przedstawieniu idealnem stopnie cywilizacyi, w chwili sceny pod Pskowem zajmowane przez Polskę a Moskwę, a tem samem dojrzałość polityczną i moralną dwóch tych sąsiednich narodów, umiał się zaś przy tem utrzymać na tak objektywnem stanowisku, że Moskale wcale nie mają powodu użalać się na niego o sposób wprowadzenia i przedstawienia ich w tej scenie. Szlachetne to umiarkowanie artysty nadaje kompozycyi jego tem większej wartości i znaczenia, że dzięki owemu umiarkowaniu prawda historyczna dziwnie przekonywającą siłą tryska z jego obrazu. Opowiadać szczegóły treści tej wspaniałej kompozycyi lub wchodzić w ocenienie jej ze stanowiska czysto artystycznego zaprowadziłoby nas za daleko, w każdym razie po za ramy niniejszego artykułu; poprzestajemy tedy na tem najogólniejszem zaznaczeniu wrażenia, jakiego indywidualność sprawozdawcy doznała na widok tego imponującego pod każdym względem utworu. Wynurzyć nam się należy nadto z uczucia, jakie powstało w nas pod wrażeniem tego obrazu Matejki, uczucia, jak gdybyśmy już o jakąś całą przyszłość ciemną bliższymi byli chwili odrodzenia się w niepodległości ojczyzny Batorych i Zamojskich, mimowolnie bowiem rośnie dusza polska w tem słońcu dziejowej idei naszego narodu, co się tak cudownie odbiło w duszy i w dziele artysty. „Stefan Batory“ Matejki przypomni znów całemu światu, mianowicie na przyszłorocznej wystawie powszechnej w Wiedniu, nieprzedawnione nigdy prawa Polski do udzielnego dziejowego bytu.

Z dniem 31 b. m. kończy się wystawa sztuk pięknych we Lwowie. Zdaje się, że interesującem będzie dla czytelników dowiedzenie się, jakie obrazy zakupione zostały już to przez Towarzystwo sztuk pięknych do wylosowania dla członków, już też przez strony prywatne. Dotychczas więc zakupiło Towarzystwo: „Wnętrze sali średniowiecznej w zamku Podhajeckim“ przez Aleksandra Gryglewskiego, za 300 zł.; „Głowa dziewczynki“ studyum Zygmunta Sidorowicza za 80 zł.; „Głowa starca“ studyum Konstantego Dzbańskiego za 80 zł.; „Arabowie pod palmą kolczastą w Egipcie“ przez Franciszka Tepę za 150 zł.; Widok z Salzkammergut w Austryi przez Annę Baar za 50 zł.; „Wiosna“ przez Waleryana Brochockiego za 150 zł.; „Noc bezsenna na poddaszu“ przez Mireckiego Kazimierza za 150 zł.; „Wanda“ przez Gersona Wojciecha za 250 zł.; „Św. Jan Chrzciciel“ rzeźba z drzewa gruszkowego przez Kozakiewicza Piotra za 150 zł.; „Przedburze“ przez Grabińskiego Henryka za 80 zł.; „Widok“ akwarella Karola Hoffmanna za 15 zł. i medalion porcelanowy kompozytora Ryszarda Wagnera przez Tadeusza Barącza za 25 zł. Zakupione zostały nadto przez strony prywatne: „Wyścigi w Krakowie“ akwarella Kossaka Juliuszą przez p. Ludwika Skrzyńskiego za 150 zł.; „Ostatni przyjaciel“ tegoż samego artysty tudzież „Kapliczka“ rzeźba Piotra Kozakiewicza, zakupione przez p. Walerego Czajkowskiego, pierwszy za 250 zł. druga za 50 zł.; „W kąciku“ przez Zygmunta Sidorowicza zakupił p. Sternikel Robert w Białej za 60 zł.; „Wnętrze kościoła P. Maryi Stiegen w Wiedniu“ przez Aleksandra Gryglewskiego, zakupił p. Ludwik Skrzyński za 200 zł.; i „Krużganki w klasztorze Franciszkańskim w Krakowie“ przez Stanisława Bryniarskiego, zakupił hr. Dzieduszycki za 100 zł. Ogółem zakupiło Towarzystwo za 1480, prywatni za 810 zł. który to rezultat nazwać można świetnym, mając na względzie stosunki młodego jeszcze Towarzystwa naszego. Wymownie świadczą data powyższe z jednej strony o wzroście zasobów Towarzystwa, z drugiej o udziale publiczności, znacznie żywszym w tym roku niż w latach ubiegłych. Uznanie się należy również komitetowi artystycznemu wystawy za wybór utworów sztuki zakupionych do wylosowania dla członków Towarzystwa, zwłaszcza zaś za zakupno kilku idealnych głów, które natrafiało podobno na zaciętą opozycyą ze strony kilku niefachowych członków Wydziału Towarzystwa, utrzymujących, jakoby utwory tego rodzaju nie przypadały do gustu publiczności, więc i nie zadowalniały tych, którzy je przez wylosowanie nabędą. Niewczesny skrupuł ten nie powinien się nigdy wciskać do decyzyi komitetów rozpoznawczych dla sztuki, oglądanie się bowiem na „gust“ szerszej publiczności w rzeczach piękna i hołdowanie takowemu, z pewnością, jak doświadczenie uczy, nie wyjdzie na korzyść sztuki, której wzrost i rozpowszechnienie jest przecie celem wyłącznym wszelkich Towarzystw tego rodzaju. Wiadomo, co to jest „gust“ publiczności, a zadaniem właśnie sztuki jest uszlachetnienie tego gustu przez podawanie jej dzieł rzeczywiście „pięknych;“ dla czego by zaś głowy idealne mniej miały być pięknemi, niż n. p. obrazki rodzajowe lub widoki okolic, tego nie pojmujemy. Przeciwnie, zdaje się nam, że częstokroć w idealnej główce więcej znaleźć można estetycznej treści, więcej szlachetnych kształtów i linij, słowem więcej tego wszystkiego, co jest pięknem i sztuką, niż w po-

nętnych obrązkach rodzajowych lub pejsażach o najczarowniejszej malowniczości.

Mamy jednę pretensyą do Dyrekcyi Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. Dla czego pod koniee wystawy nie zniżyła ceny wstępu, ażeby tym sposobem uprzystępnić poznanie tylu pięknych dzieł sztuki ojczystej, a zwłaszcza „Stefana Batorego“, niezamożnej, a tak licznej u nas klasie publiczności? Rozbudzone dziś, choćby ofiarami, zamiłowanie dla sztuki w tej klasie, opłaciłoby się w przyszłości sowicie. Dawszy komuś sposobnosć zwiedzenia raz, choćby bezpłatnie, wystawy sztuki, za drugim razem można już nań liczyć, że pospieszy tam nawet za opłaconym biletem, już go bowiem pociągać będzie to piękno, którego nie znając przedtem nie poczuwał i nie szukał.

Wiadomości z dziedziny malarstwa nasuwają nam pod pióro nowinę, zasługującą na to, ażebyśmy się podzielili nią z czytelnikami.

Mamy tu na myśli nowy wynalazek fotografii. Wiadomo, że fotografia zwyczajna oddaje wiernie nie tylko postacie osób i widoki przedmiotów; że jest używaną do anatomii patologicznej, chwytając świeże rany; że ściga zbiegów; rekomenduje szpiegów, zanim przybędą do nieprzyjacielskiego obozu, ale że nadto ułatwia prace malarzom. Chodziło tylko o to, aby odbicia fotograficzne były trwałemi i nie ulegały wpływom powietrza. Otóż obecnie i temu zaradzono przez zastosowanie tak zwanej Helio-chromografii. Wynalazek ten świeżo dokonanym został przez ziomka naszego, p. Aleksandra Nowickiego, który pracując nad nim lat kilka w Paryżu, przybył do Lwowa i tutaj wszedłszy w spółkę z zakładem p. Józefa Edera przygotowuje okazy swego wyrobu na wystawę wiedeńską.

Heliochromografia jestto sztuka portretowania i zdejmowania widoków za pomocą światła, w kolorach naturalnych. Wyroby tej sztuki przedstawiają wyborne i harmonijne ujęcie przyrody we właściwym kolorycie; nie widać na nich żadnych smugów lub usterek w konturach, gdyż jedynym artystą było tam słońce. Portrety heliochromograficzne wykonują się na cienkich taflach twardej masy, imitującej kość słoniową, porcelanę, marmur, itd. Tworzenie się zaś wzmiankowanej masy odbywa się jednocześnie z portretem, który w miarę takowego nabywa od słońca mocy w zarysach i kolorycie, stosownie do cery osoby fotografowanej, nabierając przytem łudzącej na tle wypukłości. Wynalazek p. Nowickiego znaleźć powinien szybkie rozpowszechnienie.

Teatr i opera bez względu na martwość pory codziennie prawie zapraszają nas na widowiska. Co do dramatu i komedyi, dyrekcya teatru widocznie ma teraz na oku głównie zaopatrzenie się w pewien repertoar stały na miesiące jesienne i zimowe, ażeby wtedy dopiero przystąpić do sumiennego studyowania oryginalnych nowości scenicznych. Dotychczas z nowości przedstawiono tylko parę fars czy też „figlów“ scenicznych, po największej części pióra p. Stanisława Dobrzańskiego, artysty sceny lwowskiej, wcale gładko napisanych i zabawnych niekiedy, nie kwalifikujących się jednak do krytyki artystycznej. Powinien przecie p. Stanisław Dobrzański doświadczyć pióra swego także w kompozycyi poważnej, bo z takiej pracy dopiero wnosić będzie można o jego talencie, jako pisarza dla sceny, którego to talentu wskazówki składa nam już zresztą jako aktor inteligentny i zamiłowany w sztuce.

W ogóle mielibyśmy do zarzucenia dyrekcyi teatru, iż dotychczasowy swój repertoar przeciążała komedyjkami, farsami itp. niekiedy pozbawionemi nawet owych skromnych zalet, jakie jedynie uprawniają podobne utwory do figurowania na deskach przyzwoitej, pierwszorzędnej sceny.

Wszakże przez lat tyle toczyliśmy takie zacięte boje z p. Miłaszewskim, głównie o lichotę repertoara, o wystawianie bezmyślnych lub skandalicznych płodów zdegenerowanej muzy nowożytnej; miałażby i nowa dyrekcya w spadku po p. Miłaszewskim przyjąć i ten jego system? Źle czyni dyrekcya, jeśli w tej mierze ogląda się może na „gust“ publiczności, powinna bowiem pomiętać, że nie na to jest sztuka, aby dogadzała poziomym instynktom tłumu, lub przewrotnej wybredności zepsutych ludzi; że nie na to jest sztuka, zwłaszcza polska, mająca cel podwójny, bo oprócz właściwego sobie, ogólnego, także cel narodowy, patryotyczny. Szczególniejszą zaś ostrożność zalecamy co do wyboru sztuk niedzielnych, przeznaczonych dla tej „galeryi“ która korzyść jakąś odnieść powinna zawsze z teatru. Komedye, jak n. p. „O gdyby nie ja!“ z pewnością nie czynią zadość temu wymaganiu...

Z arcydzieł sztuki dramatycznej wystawiono ostatniemi czasy nieznaną prawie na scenach polskich tragedyą Calderona de la Barca p. t. „Lekarz własnego honoru“ pięknie na język nasz przełożoną przez J. N. Kamińskiego, tudzież sławną Molierowską tragi-komedyą p. t. „Don Juan“ w tłumaczeniu p. Karola Pieńkowskiego. Utwor Calderona nie sprawił głębszego wrażenia na publiczności; przeciwnie „Don Juan“ nadzwyczaj przypadł do jej usposobienia, tak że dyrekcya uznała za stosowne powtórzyć po kilku dniach jego przedstawienie i umieścić w stałym repertoarzu sztuk niedzielnych, na co rzeczywiście utwór ten zasługuje. Podobał się również powszechnie i niepospolicie odegrany po raz pierwszy d. 14 b. m. jednoaktowy dramat z francuskiego E. Manuela p. t. „Robotnicy“, pełen prześlicznych myśli i szlachetnej tendencyi społecznej. Przekładu tego utworu wierszem dokonała wiernie pani S. Duchińska.

Do opery zaangażowano znów świeże siły, mianowicie panów Köhlera, barytona opery warszawskiej i Zakrzewskiego, tenora, tudzież panny Kramer i Schürer. Dyrekcya ma również nadzieję, że uda jej się zaangażować stale panią Jakowicką. Już dziś więc opera lwowska posiada siły i warunki pierwszorzędnej; że na stanowisku takiem utrzymać się potrafi, nie wątpimy.

Dyrekcya zamierza obecnie wprowadzić stale do repertoaru operetki. Jeden wieczór w tygodniu można śmiało poświęcić takim widowiskom, nie więcej jednak jak jeden. Pozwalamy sobie przy tej sposobności zwrócić uwagę dyrekcyi na parę napisanych ostatniemi czasy oryginalnych operetek polskich, nieznanych dotąd jednak na scenie lwowskiej, jak „Żacy“ Hoffmana lub operetka, której tytułu nie pamiętamy, Żeleńskiego.

Nakładem Karola Wilda we Lwowie wyszła niedawno zajmująca książka, zawierająca dwa utwory charakterystycznego

pióra Berlicza Sasa p. t. „Obrazy z natury. — Giul Szada, powieść wschodnia“. Książka ta podobno najlepiej się zaleca sama miłośnikom literatury opisowej. Drugą książką, której świeże pojawienie się zaznaczamy, jest dzieło poważniejszej natury, jakkolwiek wcale nie mniej zajmujące od najlepszej powieści, dzieło dra Jana Stelli Sawickiego p. t. „Obrazy Wszechświata. Astronomia i Geologia popularna“ Dla młodzieży naszej, a zresztą i nie-młodzieży, nieocenioną jest ta książka! Brak dzieła, któreby w przystępny każdemu sposób zaznajamiało nie będących z fachu przyrodnikami z wiedzą o dziejach globu ziemskiego i stosunku jego do innych ciał niebieskich, dotkliwą zawsze stanowił lukę w literaturze naszej przyrodoznawczej; książka zaś p. Sawickiego nie tylko wypełnia tę lukę, ale wypełnia ją tak, że wystaje nad miarę tego, co w tym rodzaju dokonanem u nas zostało dotychczas. Mianowicie jasne przedstawienie rzeczy naukowej językiem gładkim a poprawnym czyni ją odpowiadającą najzupełniej celowi swemu. — W końcu polecić winniśmy łaskawym czytelniczkom wydaną właśnie przez Gubrynowicza i Schmidta książkę p. t. „Gawędy matki. Przez Anastazyę z Jełowickich Dzieduszycką“. Gładko opowiedziane są w tej książce doświadczenia matki w zakresie wychowania młodego pokolenia, i poglądy na takowe, poparte przykładami z życia i datami statystycznemi. Witamy ją tem serdeczniej, że nowym jest ona dowodem żywotności umysłowej Polek.

Mamy zapowiedzianych świeżo kilka wydawnictw peryodycznych; i tak w Krakowie z dniem 1 października wychodzić zaczną dwa czasopisma: „Dziennik Mód dla Polek“ pod redakcyą Władysława Sabowskiego (Wołodego Skiby) a nakładem księgarni Juliusza Wildta; i „Pochodnia“ dwutygodnik naukowy, literacki i artystyczny. We Lwowie zaś księgarnia Polska przystępuje we wrześniu do kolosalnego wydawnictwa „Dziejów powszechnych Fr. Schlossera“. Wszystkim usiłowaniom tym, podejmowanym w najlepszej chęci, życzymy żywego poparcia publiczności.

Z pola muzyki jednę też nowość zapisać dziś możemy. Jest nią wydana właśnie w litografii Pillera „Modlitwa matek. Spiew z towarzyszeniem fortepianu, przez Jana Czupskiego. Słowa Teofila Ostaszewskiego“. Drobny to kwiatek, ale miły i zalecający się nadto tem, że dochód z rozprzedaży jego przeznaczony jest na rzecz oświaty ludowej. Wydanie jest ozdobne.

Źle jest na świecie bez muzyki, a pora feryj Towarzystwa muzycznego wprowadza nas właśnie w takie położenie. Codziennie wprawdzie mamy tu produkcye muzyczne orkiestr wojskowych, niekiedy bardzo udatne w swoim rodzaju, nie tę muzykę jednak mieliśmy na myśli pisząc: źle jest na świecie bez muzyki... Najlepsza opera nawet nie da ożywczego i podniosłego czaru symfonii! Brak nam akademickich produkcyj muzycznych, które tutaj urządać może tylko Towarzystwo muzyczne. W jesieni i w zimie, spodziewać się należy, hojnie pod tym względem wynagrodzeni będziemy za ten kilkomiesięczny post...

Dyrekcya opery zamierzała podobno urządzać swemi siłami w połączeniu z siłami Towarzystwa muzycznego koncerta tak zwane ludowe, każdej niedzieli w południe lub popołudniu. Wielka istotnie byłaby szkoda, gdyby zamiar ten spełzł na niczem. Produkcye podobne najprędzej rozbudzić mogą zamiłowanie do muzyki. Urządzane bywają połączonemi siłami artystycznemi w każdem większem mieście za granicą; przyjście ich do skutku u nas najwięcej podobno zależy od osobistej chęci p. dyrektora Mikulego, o której nie godzi się nam powątpiewać. Mieliśmy zresztą w ostatnich czasach kilka dowodów, iż muzycy nasi w imię muzyki umieją stanąć w jednym szeregu, zapomniawszy w jakim zostają stosunku do Towarzystwa muzycznego. Requiem za Moniuszkę wspólnemi wykonane siłami całego niemal świata naszego muzycznego, wypadło świetnie.

Obchodziliśmy najgłośniej, bo w sercu, rocznicę upadku niepodległości politycznej ojczyzny naszej. Po stu latach nieustannych, ciężkich zapasów, po wieku daremnie żywionych nadziei, zawodów ciągłych i rozczarowań, możemy sobie powiedzieć, żeśmy ani się znużyli, ani zwątpili, a to najlepszą jest rękojmią że mamy prawo do przyszłości. Jesteśmy zawsze nie tylko intellektualnym i moralnym czynnikiem dziejów światowych, ale mimo odjętej nam niepodległości państwowej, pośrednio także politycznym. Gdzie tylko w imię ludów i cywilizacyi przychodzi do sprawy: duch Polski jest przy tem... i słuchają go, i słyszą nawet ci, co dawno już ogłosili, że go nie masz. Z całą wiarą dla tego poglądać możemy w przyszłość, pracując na drugą, już szczęśliwszą wiekową rocznicę roku 1772...

Udział w składce na oświatę ludową ożywił się znowu dzięki szczęśliwej myśli urządzenia wielkiej loteryi fantowej na ten cel. Panie nasze zaczynają brać składkę w swoje ręce, a to najwięcej dodaje otuchy, że się przecie zbierze fundusz, jeśli już nie dostateczny do założenia szkółek w każdej miejscowości kraju, to przynajmniej odpowiedni do rozpoczęcia tego dzieła, godny celu tak wielkiego, jakim jest oświata. Brak liczniejszego zastępu potężnych a szlachetnych umysłów w narodzie, sprawił, żeśmy w r. 1772 oprzeć się nie mogli spiskowi na byt nasz; i dziś tylko bronią inteligencyi byt ten sobie wywalczyć możemy i powinniśmy.

B. K.

Drezno w sierpniu 1872.

(Świeże mogiły. — Ostanie chwile ś. p. Pajgerta. — Żyjemy bo nie zwątpiliśmy. — Komedye Fredry syna. — Pamiętniki Natalisa Sulerzyskiego. — Publikacye pomniejsze.)

Rok to żałoby... przed nami wspomnienie dokonanego przed stu laty gwałtu, dokoła nas nowe groby. Co chwila otwiera się mogiła, zabierając nam jednego z poczciwych pracowników, którzy jedną stopą oparci na przeszłości, drugą kroczyli śmiało w te ciemności niezgłębione, zwane przyszłością... Smutno jest, ale ten wielki smutek budzi do życia i trudu. Nigdyśmy nie zwątpili, śmierć przypomina nam, że żyć powinniśmy, że na naszych barkach spoczywa żywota świadectwo...

Nieszczęśliwa ta część Polski wasza, straciła temi czasy najwięcej, a czy z rozsadnika przyszłości ma czem te podruzgotane dęby i lipy zastąpić? Wy mi odpowiedzcie, ja nie wiem... Tętni mi tylko w uszach i sercu Adam Potocki... który bądź co bądź dał w życiu dowody obywatelstwa, a i o te już dziś trudno; Jerzy Lubomirski, którego piękną duszę rwącą się do dobra i światła, znałem i ja niegdyś, była to siostrzana dusza

Zygmunta... a oto po nich... ubył nam Mieczysław Dzieduszycki (o którym więcej powiem gdzieindziej, bo mu się cześć należy), i wyspowiadawszy serce swe, tak nagle, tak niespodzianie, tak straszliwie piorunowo zgasł Adam Pajgert, jedna z tych gwiazd, których nie wszyscy znają, ale ci co je znają, wiedzą jak jasno i pięknie świeciły...

Wszystkich ich pomiótł zabierając w połę swego całunowego płaszcza ten złowrogi bratanek 1772 — 1872...

Na kilka tygodni przed zgonem poznałem Pajgerta... Jechał z rodziną przez Drezno, i zastukał do drzwi moich... Zdawał się żyw, zdawał zdrów, pełen sił... W kilkanaście minut byliśmy jakby starzy i dobrzy towarzysze... Na pamięć powiedział mi swe cudnie piękne Credo, jeszcze wówczas nigdzie nie drukowane, i zachwycił mnie... Zabawił chwilę, mieliśmy się niezawodnie spotkać, bo Karlsbad od Franzensbadu dzieli jakaś godzina drogi... Ale potem cisza głucha zaległa... Przerażony zostałem znalezioną jednego dnia kartą Ujejskiego, który przybiegł do Karlsbadu i rzucił mi tę smutną wieść, że Pajgert śmiertelnie chory. W kilka dni nie było go już na świecie. Jeden to z poetów, jakich mieliśmy nie wielu, cudowna forma, wiersz ze złota lany, a myśl w nim dyamentowa... W piersi jego gorzał jeniusz... przecież on mu tkał skrzydła pracą a trudem; uczył się, badał, kształcił, doskonalił, rósł, a gdy w pełni sił ducha stanął na tym szczeblu, gdy mógł wzlecieć najwyżej, przyszedł z góry rozkaz... i dusza piękna zamilkła... Po Kornelu Ujejskim, przyjacielu zmarłego, po rodzinie oczekujemy, że nam dadzą pełny zbiór pism jego... Pajgert nigdy się o sławę nie starał, wiedział on, że co ma wartość istotną, żyć musi... ale w naszym zobojętniałym świecie nikt nie ocenił go i nie podniósł, oprócz Ujejskiego... Pajgerta imię tak było mało znane, jak godne oceny i poznania... — Ananke!!

Nie przeto rozpaczać i zwątpić, życie rwie dalej i pędzi... pokłoniwszy się grobom, takim grobom, na których można zapisać zasłużone imiona, dalej a dalej... Siąść i płakać, to umrzeć, siąść i zasnąć w drodze do szczytu, to także śmierć, a tyle i tyle jest do czynienia... Na żywych spada ciężar nowy... Z pociechą to widzimy, że ten naród, przeznaczony na zagubę, któremu ją zawyrokowano i stokroć wydzwoniono jako spełnioną, żyje i dźwiga się. Co chwila nowe przychodzą świadectwa... A! tak, żywiśmy, dopóki pracujemy i nie wątpim. Praca nasza musi być wszechstronna, rozmaita, niezmordowana cicha, zamknięta w sobie. Czasy objawów życia minęły, chwila niemych wysiłków nadeszła... Prześladowanie ściga wszędzie, musimy zstąpić w katakomby, a w nich postawić warstaty i gromadzić zapasy dla przyszłości. Więc wszystko dobre, co się kolwiek w te zasieki dla jutra gromadzi... Jeden kuje pług, drugi maluje płótno, trzeci zapisuje kartę, czwarty zdobywa pieniądz; jedni rolę orzą, drudzy studnie kopią, więc będzie woda i chleb... Nie zwątpiliśmy, nie zwątpim... a te grzyby, co jęczą zapowiadając zgniliznę, rozdusim nogą na plamę błotnistą...

Zapowiedzi nowych prac są liczne, zadatki nie mniej, pisma i książki się rodzą, dowodząc, że po za ruchem powszechnym naukowym pozostać nie chcemy, zwłaszcza w naukach przyrodniczych doganiamy żwawo tych, co nas wyprzedzili... W ciszy i tajemnicy składa się owa akademia umiejętności, która miała być polską, a będąc choćby tylko krakowską, zawsze jeszcze polską zostanie. Wielkie gniewy około jej kolebki potrosze ostygają, lepsze to zawsze niż nic... a z błędów pierwszych poprawa możliwa... byle tkanka została. Gniewać się mogą ludzie chyba, co gniewem dowodzą, że nie dorośli do tych honorów akademickich. Cóż u licha? Akademie często się wstydziły, że zaniedbały się ludźmi zasłużonymi zbogacić, ale nigdy człowiek zasłużony nie stracił na tem, że do akademii nie należał.

Powiedzcie to sobie, wy, których boli, że wam drzwi przed nosem zamknięto. Nic się wam nie stanie, pracujcie dalej bez tytułu... aby na inny a daleko trwalszy zarobić...

Jeszcze jeden nekrolog zapomniany. Spojrzałem w tej chwili na drzeworyt w Tygodniku illustrowanym i poznałem w nim tego od dawna skazanego na śmierć, choć pełnego talentu i życia Józefa Narzymskiego... I ten zszedł z pola... Było to tylko przybrane Galicyi dziecko... ale rosnący nasz teatr był mu winien kilka najlepszych komedyj współczesnych. Cóż i to za strata dotkliwa! Mamy wprawdzie młodego Fredrę i Bałuckiego. Lecz autora „Pozytywnych" wątpię, by i największy talent mógł zastąpić, bo w nim żyła poważna myśl o zadaniu sceny, a z artystą łączył się człowiek myślący...

Wspomnieliśmy młodego hr. J. A. Fredrę. Właśnie dwa tomy jego komedyi wyszły w Warszawie i mamy je przed sobą. Z zawartych w nich rzeczy już pewien sąd o autorze i jego talencie wyrobić sobie można, chociaż sądzimy, że nie wypowiedział się w nich cały, i więcej jest zdolnym uczynić niż dał dotąd. Świetnie począwszy tą perełką która się zowie: Przed śniadaniem, młody hr. Fredro rzucił się poźniej w komikę, której może nadto poświęcił i zaprzątał więcej budową swych komedyj, niż wykonaniem ich i literackiem wykończeniem. Są to rzeczy dla sceny pisane, na scenie wyborne, w czytaniu o wiele mniej zaspokajające... Drzemka pana Prospera nie może się porównać z ojcowskiemi Przyjaciółmi, Ślubami, Odludkami, Mężem i żoną... Znajomość warunków scenicznych, rzeczywisty talent, każą się nam spodziewać, że to nie są ostatnie słowa, że teatr wiele jeszcze po nim wymagać i oczekiwać ma prawo. Podniesienie się sceny naszej w ostatnich czasach jest jednym z najbardziej pocieszających fenomenów, jakiemi się pochlubić możemy.

Z wielkiem zajęciem czytaliśmy w Krakowie wydane trzy tomy pamiętników pana Natalisa Sulerzyskiego, szczególniej pierwsze dwa są wyborne... Aż nadto mamy książek natchnionych książkami, naśladowanych, odbitych po raz setny, posłusznie wymodelowanych na wzór utarty i zużyty... Pamiętniki Sulerzyskiego są dziełem rodzimem, oryginalnem, z życia wyczerpniętem. Dla tego pociągają nas, czytają się jednym tchem i zostawują po sobie trwałe wrażenie. Odmalował się w nich człowiek prawdziwy, zacny, poczciwy, jak go Bóg stworzył, bez pretensyi na literata... gospodarz, rolnik, obywatel i zapaśnik, który długo walczył z Niemcami, jak jego przodkowie... z tą różnicą, że dziad szablą a pan Natalis życiem całem bić się z nimi musiał. Jakiż to dosadny i prawdziwy obraz wychowania, młodości, niedawno ubiegłych czasów społeczeństwa naszego i stosunków. Mimowolnie mutatis mutandis, przypomina się nam Pasek i Poczobut, którego dziwactwo nabywca

rękopismu od lat kilku trzyma w zamknięciu, nie puszczając na świat. P. Natalis jest prawowitym spadkobiercą tej szlachty, która się czuła w obowiązku konotować swe przygody dla wiadomości i nauki dzieci i wnuków. Matejko charakterystyczną głowę autora tych pamiętników pomieścił w obrazie swoim sejmowym, tak mu się zdała polską i wybitną... I pismo też jest czysto naszego żywota szlacheckiego płodem. Co tam w niem humoru! jaka niezachwiana wiara, jaki umysł nieugięty... Czytajcie proszę, a uznacie to sami... Nie chcemy ani treścią ani cytatami osłabiać wrażenia, jakiego ta miła i szacowna książka, historyczny dokument do dziejów życia pod rządem pruskim, dostarcza...

Kilka nowych pomniejszych publikacyj choć spiszemy przynajmniej... Z Pelplina: Echo z narodu, czyli rzecz o sumieniu narodowem... Broszura bardzo pobożnego człowieka, który żąda (ni mniej ni więcej) jak najliczniejszych bractw i zakonów, pozamykania wszystkich pism trącących indiferentyzmem, tolerancyą i t. p. zgubnemi zasadami, a oddania dzienników w ręce takich zacnych, przykładnych i uczonych mężów, jak wasz szanowny ks. Podolski; wprowadzenia Jezuitów i oddania im wychowania, pociągnięcia jak najwięcej młodzieży do stanu duchownego i zakonów, zapewnienia jak najobfitszych funduszów klasztorom i t. p. To wszystko ma nas nieochybnie zbawić i ocalić... Wdawać się w polemikę z autorem, byłoby zaprawdę próżnem, dość wypowiedzieć, czego żąda... i zapisać, że na okładce stoi r. 1872!! Apologia pisma przypada z urzędu „Przeglądowi lwowskiemu“, który sam jeden ze swym cynizmem potrafi ją wykonać... Druga broszura nosi tytuł — Psychomania. Odcień charakterystyczny p. M. N. (Kraków.) Jest w niej postać pewna panny Stolnikównej, godna powieściopisarza, a z natury odwzorowana... Dalej jeszcze... zbiorek poety Stanisława Grudzińskiego... młodocianej liry dźwięki... Są tu świadczące o studyach tłumaczenia dobrej wróżby. — Na wystawę wiedeńską cały zastęp malarzów naszych zbroi się i myśli wystąpić falangą zwycięzką; i francuzka krytyka w czasie paryzkiej wystawy wyrzekła po raz pierwszy to pochlebne dla nas imię szkoły polskiej w malarstwie; spodziewamy się, że je artyści nasi w Wiedniu usprawiedliwią i potwierdzą!!

J. I. Kraszewski.

Ze świata.

(Ostatni kapłan w Gretna Green.) Nasi czytelnicy znają już bez wątpienia początek i historyą tej szkockiej kuźni małżeńskiej. W jednym z przeszłych zeszytów podaliśmy bowiem najważniejsze o niej szczegóły; teraz zaś przytaczamy jeszcze dla uzupełnienia obrazu wiadomość o ostatnim kapłanie tamtejszym. Jak wiadomo, zawdzięczała Gretna Green głównie sławę swoję tamtejszemu kowalowi, który urzędując tam przez 40 lat jako sędzia pokoju uszczęśliwił swojem zatwierdzeniem niezliczone pary małżonków. Następca kowala ojciec Robert Euliot, który sprawował tę funkcyą jako kapłan, pisał w r. 1843 do dziennika Times, że od r. 1811 do 1839 zaślubił ogółem 7744 osób. Największa liczba zaślubionych w przeciągu roku wynosiła 198, najmniejsza 42. Oprócz niego było jeszcze kilku innych kapłanów w Gretna Green, a ostatni z nich, Sim Lang, umarł w kwietniu r. b. On i ojciec jego funkcyonowali razem ośmdziesiąt lat. Sim został pochowany na cmentarzu w Gretnie. Koleje życia obudwu Langów, ojca i syna, są właściwie angielskie. Dawid Lang, ojciec, przybył młodzieńcem jeszcze z Niemiec do Lancashire, i praktykował najprzód w handlu bławatnym, a potem podróżował po kraju jako domokrążca, aż go przymusowo zaciągnięto do służby marynarskiej. W ciągu tej służby zabrali okręt, na którym służył, rozbójnicy morscy pod dowództwem osławionego korsarza Pawła Jones. Ten zawiózł swoich jeńców do jednego z portów francuzkich, gdzie usiłował wszelkiemi sposobami pozyskać ich dla marynarki amerykańskiej, do której sam należał. Dawid Lang dostał się wkrótce potem napowrót do Gretna Green, nie brawszy żadnego udziału w walce przeciw Anglii; tam w r. 1792 przywdział suknię kapłańską i odtąd przez lat 40 zajmował się kojarzeniem małżeństw. Najważniejszym aktem jego urzędowania w Gretna Green było zaślubienie lorda Tomasza Erskine, który w poźnym już wieku zaślubił swoję kochankę, Sarę Buck z Marylebone. Za to miał stary Lang otrzymać równo sto gwineów. Prócz tego miał on szczęście zaślubić jeszcze kilku innych potomków znakomitych rodzin szlacheckich, jak n. p. Villier, Beauclerc, Coventry, aż wreszcie w r. 1827 zakończył nagle życie przeżywszy lat 72. Po nim objął to urzędowanie syn jego Sim, ale rywale jego płatali mu rozmaite figle. Gdy nowo przybyła parka pytała o księdza Langa, odpowiadano zwykle: „Już dawno umarł i zgnił.“ — „Ale przecież syn jego żyje?“ — pytali zatrwożeni przybysze. — „Także już nie żyje“ — odpowiadano. Ale mimo to nie zdołano pozbawić go chleba; miał on zawsze piękny zarobek i trzymał się wiernie ołtarza i warsztatu tkackiego, a przy sposobności ratował się także maleńkiem przemytnictwem. Tak przeżył wszystkich swoich rywalów, ale z nimi minęły także złote czasy Gretny, bo wydana w Anglii ustawa o małżeństwie cywilnem i wyraźne zakazanie ślubów szkockich dla Anglików zabiły romantyczną Gretna Green na zawsze. Sim Lang trzymał się jednak do samego końca, bo przed rokiem jeszcze niespełna dokonał ostatniej podobno ceremonii zaślubin, i to szczególniejszym sposobem — tylko w ubraniu nocnem. Powodem tej niezwyczajnej toalety było nagłe przybycie pary miłosnej nocnym pociągiem z Dumfries; a ponieważ, jak wszyscy zakochani, była i ta parka bardzo niecierpliwą, więc zbudzono czemprędzej starego kapłana ze snu i zmuszono do spełnienia aktu ślubnego w kostiumie nocnym. Taki był romantyczny koniec dziejów sławnej w całym świecie Gretna Green.

(Rodowód Robinsona.) W Nether-Largo, wiosce portowej w szkockiem hrabstwie Fife, wzrastał niesforny chłopak, który urodził się tam w r. 1676 i nazywał Alexander Seldcraig. Nie zbudowany wcale chłostami, jakie odbierał od ojca, uciekł krnąbrny ten chłopiec pewnego dnia z domu i wstąpił do służby jako majtek na jakimś okręcie. Przepędziwszy sześć lat na morzu zdezertował i przybył napowrót do Szkocyi, gdzie dla zachowania incognito zmienił nazwisko swoje na Selkirk. Ale nie długo wytrzymał w kraju, i gdy William

Dampier w r. 1704 przedsiębrał pierwszą swoję wyprawę na Cichy ocean, szukał Selkirk służby u niego i został przyjęty. Wrodzona jednak zuchwałość odzywała się w nim ciągle; w drodze karano kilkakrotnie krnąbrnego majtka, i służba ta tak mu w końcu obmierzła, że przemyśliwał znowu o ucieczce. Pewnego dnia zarzucono dla nabrania wody kotwicę u skalistej wyspy Juan Fernandez, naprzeciw Chili, którą odwiedzały niekiedy statki łowiące wieloryby. Tam wysiadł Selkirk na ląd i ukrył się w pustyni, dopokąd znienawidzony przez niego okręt nie odpłynął. Pozostał tedy sam jeden na tej pustej wyspie i przeżył na niej cztery lata i cztery miesiące. Dopiero w r. 1709 znalazł go kapitan Rogers, przywiózł w r. 1711 do Anglii i opowiedział potem jego historyą w swoim opisie podróży.

W kilka lat potem użył Daniel Defoe tych awanturniczych wypadków do napisania dzieła, które nosi tytuł: „Życie i przygody Robinsona Cruzoe," które przełożone wkrótce na wszystkie języki żyjące zachwyca i kształci do dziś dnia umysł dziecięcy na całej kuli ziemskiej. Ale któż był ten Defoe? Osobliwszy człowiek, pominąwszy nadzwyczajną sławę jego Robinsona. Nazywał on się z domu Daniel Foe (z niewiadomych powodów pisał się potem Defoe) i był synem zamożnego rzeźnika w Londynie, gdzie urodził się w roku 1661 i odpowiednie swoim zdolnościom staranne otrzymał wychowanie. Będąc młodzieńcem, stanął z namiętnością po stronie uciskanej przez kościół biskupi partyi dyssydentów purytańskich, do której jego ojciec należał, i bronił jej praw z odwagą i wytrwałością, piórem i orężem, ze zmiennem powodzeniem. Dopiero gdy Wilhelm, książę Oranii, zajął tron Stuartów, uspokoił się nieco Defoe, ale w ciągu walki stronniczej zaniedbał tak dalece swój handel towarów bawełnianych, że stracił wszystko i musiał uciekać przed wierzycielami. Za pomocą dzieła, które w tym czasie napisał, pozyskał względy nowego króla, i obdarzony przez niego uzyskał znów stanowisko i wielkie znaczenie w Londynie; ale odwróciła się karta, gdy za panowania królowej Anny wybuchły nanowo zatargi kościelne i zapalczywy Defoe wystąpił znowu do walki. Nieszczęśliwy szermierz musiał uciekać, ale poźniej stawił się dobrowolnie i został skazany na pręgierz i więzienie. Wkrótce potem zmiana ministerstwa powróciła mu wolność i znaczenie publiczne, a nawet powierzano mu misye dyplomatyczne, a mianowicie przyczynił on się głównie wpływem swoim do utwierdzenia politycznego węzła między Anglią i Szkocyą. Poźniej jednak zachwiała się znowu szala jego szczęścia, i powtórzyło się więzienie, ułaskawienie i rehabilitcya. Dofoe liczył już teraz pięćdziesiąt lat z okładem, stracił zdrowie i majątek, tylko odwaga jego pozostała niezachwiana i ulubione u ludu pióro jego nie zasychało nigdy. Liczba dzieł jego (politycznych, historycznych, epicznych i innych) urosła do 200, między temi wyż wspomnione „Dzieło o projektach", które zjednało mu łaskę księcia Oranii, i o którem Benjamin Franklin, jego rówieśnik duchowy, z wdzięcznością powiada, że całą swoję działalność winien ożywczej potędze tego dzieła. Banki, asekuracye, kasy oszczędności i inne ważne instytucye ekonomiczne zawdzięczają założenie swoje Defoemu.

Na wiosnę r. 1719 wyszedł jego Robinson; z trudnością jednak znalazł autor nakladcę i otrzymał od niego jako honorarium dziesięć funtów szterlingów. Ale książka ta przypadła tak dalece do fantazyi, umysłu i w ogóle całego ówczesnego usposobienia narodu, że literalnie ją pochłaniano tak w pałacach jak i chatach, i że wkrótce wywołała ona mnóstwo Robinsonad. Obudzająca wiarogodność sztuka opowiadania, którą Walter Scott za wzór stawiał, praktyczna pedagogika, wychwalana przez Rousseau'a, socyalny mikrokosmos, pokrewna człowiekowi osobistosć bohatera, oto zalety, które nadają klasyczną wartość temu dziełu.

Odtąd zaczął atrament Defoego zamieniać się w srebro i złoto, z którego urósł piękny majątek. Ten kapitał odstąpił Defoe swemu najstarszemu synowi, który jednakże odpłacił się niewdzięcznością swemu siedmdziesięcioletniemu ojcu, odmawiając mu zawarowanego dożywocia, tak że Defoe na wiosnę r. 1731 prawie w nędzy umarł. Taki niestety był koniec człowieka, który tak wielką przysługę wyświadczył ludzkości.

(Ścięcie i niezwłoczna śmierć.) Wiadomo zapewne, że przy sposobności stracenią Traupmana w Paryżu poruszano na nowo kwestyą, czy po ścięciu pozostaje jeszcze jakie czucie w ciele straconego. Zbadanie tajemnic śmierci właśnie z tej strony było zawsze przedmiotem ciekawości ludzi uczonych, i jak opowiadają kroniki, starano się już nawet w najdawniejszej starożytności rozwiązać to pytanie, i to po części śród nader szczególnych okoliczności, Pewnego razu pojmali Saksonowie dowódzcę dawnych Normanów, i na mocy istniejących ustaw wojennych skazali go na śmierć. Przed samem straceniem spytał go się ten, który miał mu ściąć głowę, co też on myśli w obliczu śmierci. — „Idę z radością na śmierć — odpowiedział skazany — i te chwile ostatnie sprawiają mi wiele przyjemności. Proszę tylko, by odcięto mi głowę jak najprędzej, bo z moimi przyjaciółmi rozmawiałem często o tem, czy też po ścięciu pozostaje jeszcze człowiekowi jakie uczucie. Wezmę przeto ten nóż do ręki; jeżeli po odcięciu głowy podniosę go jeszcze na ciebie będzie to dowodem, że nie całkiem jeszcze zagasło życie; jeźli go zaś upuszczę, będzie to znak, że już nie żyję. Spiesz się więc, ażeby ten spór się rozstrzygnął!" Egzekutor przystąpił do dzieła, i w chwili ścięcia wypadł także nóż z ręki straconego. Inaczej jednak utrzymuje legenda o głowie Karoliny Corday. Opowiada ona, że po ścięciu ta głowa okazywała najwyraźniejsze znaki oburzenia. Gdy kat podniósł ją do góry, była zupełnie blada, ale zaledwie otrzymała policzek, którym znieważył ją ten gbur, miały poczerwienieć okropnie obadwa policzki, co przypątrujący się tłum największą zgrozą przejęło. Któreż z tych opowiadań godniejsze jest wiary?

(Taniec z szalem.) Jednej z najpiękniejszych kobiet 18go stulecia, Lady Emmie Hamilton, powiodło się, nadać tańcowi nowy powab duchowy, i nie tylko wyrażać nim uczucia duszy, ale nawet za pomocą sztucznego drapowania przedstawiać idealne utwory poezyi, malarstwa i rzeźbiarstwa.

Istnieje kilka opisów tego „tańca z szalem," jak go Lady Hamilton nazwała; jeden z nich powiada:

„Lady Hamilton, której budowa ciała jest doskonale piękna, i która mogłaby każdej chwili przedstawiać wychodzącą z morza boginią miłości, wystąpiła w sukni z białego indyj-

skiego muszlinu, która była tylko tak długa, że dozwalała widzieć wszelkie poruszenia najpowabniejszych jej nóżek. W ręku trzymała szal z błękitnego muszlinu. Przy pierwszych dźwiękach muzyki, skomponowanej umyślnie do tego tańca, zarzuciła szybkiem, nader powabnem poruszeniem szal w taki sposób na głowę, że twarz była nim zupełnie okolona jak ramkami. I wtedy, przy wykonywanych nadobnie figurach tańca, nastąpił cały szereg prześlicznych, cudownych obrazów, tworzonych jedynie za pomocą tego niebieskiego szalu, który w ciągle nowych a zawsze wymownych kształtach albo układał się około promieniejącej wesołością lub zasępionej żalem twarzy, albo też okrywał prześliczne ramiona i plecy tancerki. Zdawało nam się zaprawdę, że wszystkie boginie Olimpu, wszystkie idealne postacie poetów przesuwały się przed naszemi oczyma, i z pewnym rodzajem roskosznego opojenia patrzyliśmy na to niespodziane widowisko."

Poźniej naśladowała ten taniec pani Krüdener przy pierwszym występie swoim w Paryżu, i zachwyciła wszystkich niesłychanie. W naszym wieku znikł już ten taniec z salonów i chyba tylko w baletach na scenie jego cień się pojawia.

(Nowa podróż napowietrzna.) Pan Dupuy de Lome zdawał niedawno w Paryżu sprawę z podróży napowietrznej, którą odbył tej wiosny. Zapewniał on, że kierowanie balonem jest możliwe, gdyż on prowadził sam swój balon z jednego punktu do drugiego w oznaczonym poprzód kierunku i spuszczał się na ziemię, gdzie mu się podobało. Balon jego, puszczony z fortu Vincennes, ma kształt ogromnego jaja, 45 metrów długości a 18 szerokości. W pośrodku przytwierdzona jest nawa, 10 metrów długa a 1 metr 40 centymetrów wysoka; w tylnej części nawy znajduje się trójgraniasty żagiel, a na drugim końcu śruba, której obadwa ramiona mają 18 metrów długości; tę śrubę porusza walec, który sześciu ludzi obraca. W tym balonie znajduje się wewnątrz drugi balon, dziesięć razy mniejszy od tamtego, który napełniony jest powietrzem i służy do wypróżnienia. Wreszcie 450 worków ziemi, każdy ważący 15 kilometrów, zawieszone po bokach, utrzymują balon w równowadze.

(Olbrzymia praca drzew) mało komu znana jest dokładnie. Przyczyna tego leży głównie w tem, że działalność drzew i w ogóle roślin nie wpada bezpośrednio w oczy, ale mimo to rzecz sama jest niewątpliwa. Sławny naturalista Perly powiada o tem zjawisku: Roślina zamienia wyciągnięte z powietrza, ziemi i wody ciała nieorganiczne w substancyą organiczną, i praca ich przytem jest prawdziwie olbrzymia. Obliczono, że roczna praca jednego morga lasu wysokopiennego wynosi bilion jednostek cieplika, co wystarczyłoby na zagotowanie 22,170.000 funtów zamarzniętej wody. Jeden dąb wielki pracuje w przecięciu dziennie tyle, co siedm koni!

(Początek sztucznych jaj wielkanocnych) odnosi się do czasów panowania Ludwika XV. we Francyi. Przedtem były w modzie tylko gotowane na twardo pisanki czerwone i żółte. W wielką sobotę poświęcano te jaja i król rozsyłał je koszami dworakom, będącym u niego w szczególnych łaskach. Księżna Chateauroux wystąpiła pierwsza przeciw temu zwyczajowi, zaprowadzonemu podobno przez Ludwika świętego. Oświadczyła ona w pewną środę popielcową swemu oblubieńcowi królewskiemu, że oczekuje upominku godnego jego wspaniałomyślności i jej piękności. W siedm tygodni potem kazał arcychrześciański król przywołać swego złotnika i zamówił u niego sześć jaj złotych, napełnionych najdroższemi klejnotami, które mogłyby się w nich pomieścić. Za czasów pani Pompadour kosztowały jaja wielkanocne, rozdawane syrenom dworskim, przeszło trzy miliony. Sławni malarze wachlarzów w owym czasie wysilali swoję fantazyą na upiększanie tych jaj. Pani du Barry była bardzo hojną w rozdawaniu takich jaj wielkanocnych. Przez kardynała Rohana posłała ona jedną taką pisankę Maryi Teresie. Poźniej dostała się ona przez królowę neapolitańską do rąk Lady Hamilton. Skorupa tego jaja była 9 cali długa, i były na niej wyryte rozmaite sceny męki Zbawiciela. Wewnątrz znajdował się krucyfiks z kawałkiem cierniowej korony, którą Ludwik święty przechowywał w swojej kaplicy. Z Francyi rozszerzył się z czasem ten zwyczaj po całej Europie, ale dziś należą już do rzadkości takie sztuczne pisanki.

(Szukający kluczów.) O Papieżu Syktusie V., który jako pastuch zwał się „Felice Paretti", a jako kardynał „Montalto" i który zajmuje ważną kartę w dziejach 16go stulecia, pozostała anegdota, która może być prawdziwą, ponieważ zgadza się zupełnie z charakterem bohatera. Pomiędzy kardynałami, którzy po śmierci Grzegorza XIII. zebrali się w Conclave dla wybrania nowego papieża, nie wydawał się żaden tak zgrzybiałym i prawie nad grobem już stojącym starcem, jak Montalto, tak pochylony, bezwładny i drżący suwał się opierając na lasce. Ten pewnie nie długo pociągnie, myśleli wyborcy (każdy dla siebie, ale każdy z myślą i życzeniem drugiego), i wszyscy dali swe głosy temu starcowi. Ale zaledwie skończyło się Conclave i nowo obrany Papież wystąpił na balkon Kwirynału, by ukazać się ludowi, urósł ów niepokaźny dotąd człowieczek w oczach zdumionych kardynałów jakby cudem w górę, i zamiast ułomnego staruszka udzielał silny, rosły mąż potężnym głosem błogosławieństwa apostolskiego klęczącemu chrześciaństwu. Czy nas oczy mylą? czy to cud? — pytali się kardynałowie, a Syktus odpowiedział im z uśmiechem: „Dotąd chodziłem schylony, bo szukałem kluczów Piotra świętego; teraz je znalazłem i będę umiał ich użyć." I dotrzymywał też wiernie słowa przez pięć lat.

(Szczególny zaszczyt). Gdy Pizarro wyruszał przeciw członkom rejencyi w Lima, wysłał naprzód dzikiego Carbajala do miasta, ażeby zrobił tam porządek. Ten przybywszy w nocy, kazał kilku przywodzców szlachty wywlec z łóżka, wsadzić na muły i wyprowadzić na przedmieście, gdzie po krótkiej spowiedzi mieli być powieszeni na najbliższem drzewie. Carbajal był obecnym przy exekucyi, i gdy jeden z tych nieszczęśliwych przedstawiał mu, że to niesłychana hańba dla całej szlachty hiszpańskiej, iż taki przybłęda jak Carbajal poważa się w sposób tak nikczemny pozbawiać życia mężów znakomitych godnością i urodzeniem, odparł tenże z szyderstwem: „Ze względu na Twoję godność i urodzenie, szlachetny rycerzu, pozostawiam Ci ten nieoceniony przywilej, że możesz wybrać sobie sam najwyższą gałąź, na której zechcesz być powieszonym."

Kącik humorystyczny „Strzechy.“

Skwapliwość fantazyi.

Nad tonią wód błękitną
Chylasz się nimfo sielska,
Nóżkami depcąc zielska
I jąskry co tu kwitną —
O! jesteś pół-anielska
Owego tła ozdobą
Co z słońca masz za sobą!

Więc powiedz: cała biała,
Z szyją okoraloną,
Do rąbka szaty łono
Tuląca, gracyo mała:
Kto tak cię tą oponą
Okrył — i w blask oprawił —
I z grecka tak ustawił?...

„Co też się panu widzi!
Nie z słońcam ani z tęczy,
A praca chociaż męczy
Prostaczków nas nie wstydzi —
Któż zresztą mię wyręczy
Gdy prać mam — sama praczka—
Pieluszki dla synaczka?.:“

B. K.



„Przeglądowi lwowskiemu.“

Z twoich zgorszeń „pobożnych“, z twoich wykrzykników
Znać, że wystawiasz sobie naszych czytelników
Na sposób, jak powyższa wskazuje rycina —
Po swojemu!... lecz chociaż taka kobiecina
Przystaje najzupełniej do formy i treści

Twych brutalnych przeglądów, kronik i powieści,
To przeciwnie: my dla niej nie piszemy „Strzechy“ —
Nie twą obłudę bowiem, lecz czyste uśmiechy
Niesiemy czytelnikom, zdrową myśl i słowo!
Oni też — nie ty! — sądzą nas sercem i głową,

„Strzecha.“

Na oświatę ludową wpłynęło do puszki wystawionej przy księgarni F. H. Richtera do dnia 3 sierpnia r. b. ***25 złr. 50 c.**, które właściwemu komitetowi oddane zostały.*

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.